nsa dla spóźnialskich!
„Przekrój" z wydaniem
ecjalnym „Przekrój nauki"
na z dodatkiem 6 zł

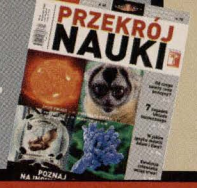

FENOMENALNI 2006:
Manuela Gretkowska, Kayax, Jan Madey, Anna Streżyńska, Rafał Dutkiewicz
s. 16

Manuela Gretkowska

PRZEKRÓJ

9/3219 • 1 marca 2007 • cena 4,50 zł
/tym 7% VAT/

ZIOBRO przeciw PRAWU
s. 26

PROPAGANDOWE WYSTĘPY MINISTRA PODKOPUJĄ WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

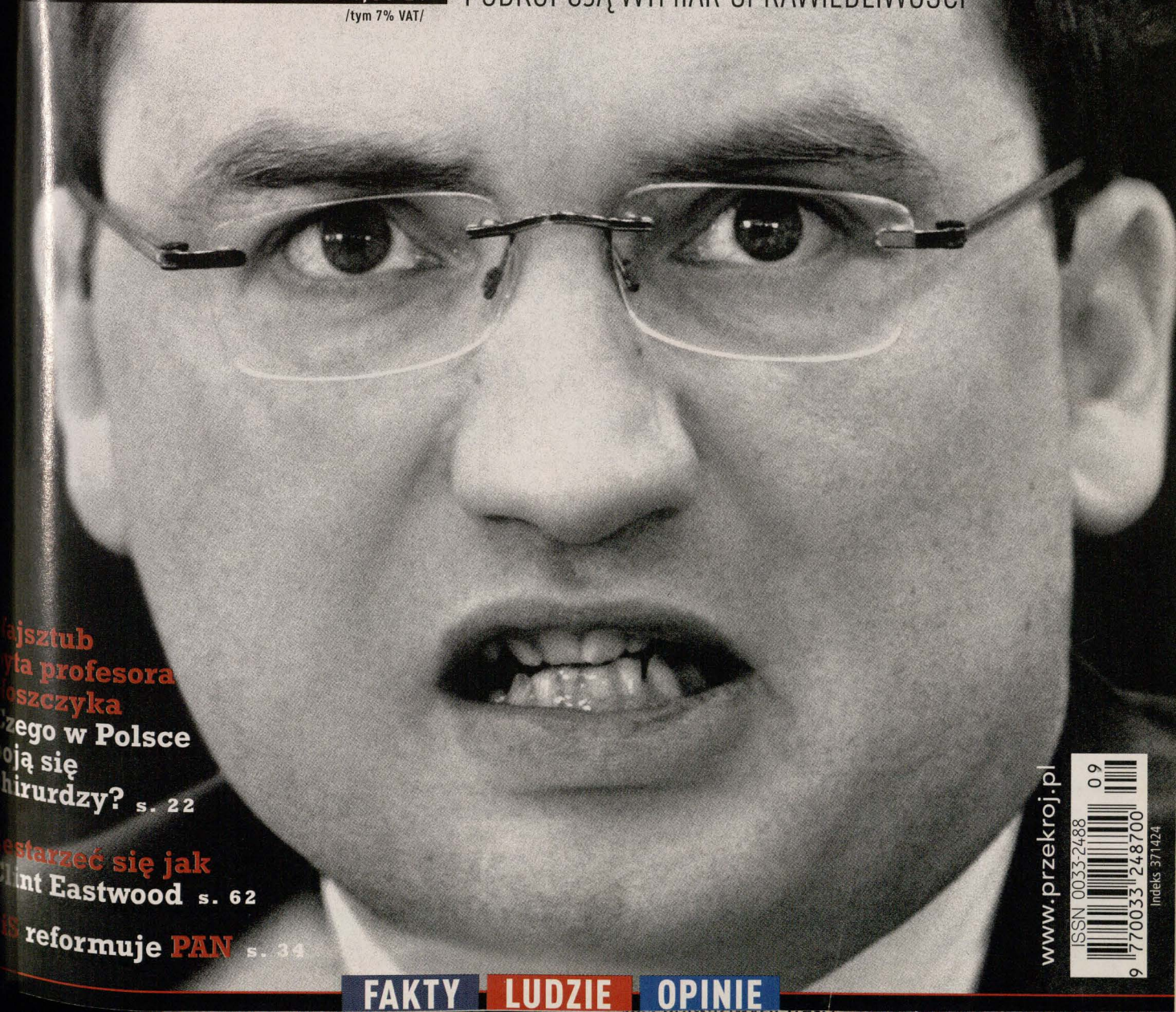

ajsztub
yta profesora
oszczyka
zego w Polsce
oją się
hirurdzy? s. 22

estarzeć się jak
lint Eastwood s. 62

reformuje PAN s. 34

www.przekroj.pl

ISSN 0033-2488
9 770033 248700 09
Indeks 371424

FAKTY LUDZIE OPINIE

DOSKONAŁA PARA

Najlepsze procesory
Najnowsze oprogramowanie

intel Core™ 2 Duo inside™
Dwa rdzenie. Możesz więcej.

KOMPUTER PROcomp PRO-HOME MS

z dwurdzeniowym procesorem Intel® Core™ 2 Duo E4300 (1.80 GHz, 2 MB L2 cache, 800 MHz FSB)

Procesor	Intel® Core™ 2 Duo E4300
Pamięć RAM	2.048 MB DDR
Dysk twardy	200 GB
Napęd	DVD-RW + czytnik kart pamięci
Grafika	GAINWARD GF-7300GT PX 256
System operacyjny Windows®	Vista Home Premium Edition i Office 2007

Nowe konfiguracje komputerów wyposażone w doskonałe **dwurdzeniowe procesory Intel® Core™ 2 Duo** oraz najnowsze oprogramowanie Windows® Vista Home Premium Edition wraz z promocyjną wersją 60-dniową pakietu Office 2007. Już dzisiaj dowiedz się co potrafi zdziałać ta doskonała para.

Para to dla Ciebie zbyt mało? W komplecie otrzymasz dodatkowo doskonały bezprzewodowy zestaw Microsoft® Wireless Optical Desktop 700, złożony z myszy optycznej oraz kompaktowej klawiatury, które na zawsze uwolnią Cię od kabli i bałaganu na biurku.

Szczegółowe informacje o promocji, ceny zestawów oraz adresy dobrych sklepów komputerowych dostępne na stronie **www.procomp.pl/produkty/promocje**. Komputery dostępne w sieci sprzedaży PRONOX.

www.procomp.pl PROcomp

Celeron, Celeron Inside, Centrino, Centrino Logo, Core Inside, Intel, Intel Logo, Intel Core, Intel Inside, Intel Inside Logo, Intel Viiv, Intel vPro, Itanium, Itanium Inside, Pentium, Pentium Inside, Xeon, i Xeon Inside są zarejestrowanymi znakami towarowymi firmy Intel Corporation lub jej podmiotów zależnych w Stanach Zjednoczonych Am. Płn. lub innych krajach.

RACZKOWSKI *na Czwartek*

Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o wierszu, który nam się przypomniał znienacka: „kiedy runą żelaznym wojskiem / i pod drzwiami staną, i nocą / kolbami w drzwi załomocą". Bo to całkiem głupie skojarzenie przyszło nam do głowy, gdy TVN24 doniósł o nocnym odwołaniu Bronisława Wildsteina ze stanowiska prezesa TVP. Może dlatego, że nowy członek Rady Nadzorczej TVP Andrzej Urbański jest polonistą z wykształcenia i na pewno lubi Broniewskiego.

...o tym, że wicemarszałka Senatu Krzysztofa Putrę znowu wybrali na prezesa zarządu okręgowego Prawa i Sprawiedliwości w Podlaskiem. Bo otrzymaliśmy brzmiące prawdopodobnie, ale jednak niepotwierdzone doniesienie, że delegaci zostali wprowadzeni w błąd: byli przekonani, że uczestniczą w plebiscycie na najpiękniejsze wąsy Podlasia. Stąd dopiero drugie miejsce (pod szyldem wiceprezesury) Krzysztofa Jurgiela, za to ex aequo z Jarosławem Zielińskim, który wprawdzie wąsów jeszcze nie ma, ale zamierza je w czynie partyjnym zapuścić.

...o coraz liczniejszym zakonie rycerzy, którzy mówią „nie" – „nie współpracowałem", „nie pamiętam", „nie kierowałem", „nie wpływałem", „nie naciskałem", „nie przeproszę". Bo w sumie to tylko średnio udana polska wersja Montypythonowskich rycerzy, którzy mówili „Ni".

...o zarejestrowanej przez sąd partii pod nazwą Sztandar Matki Boskiej Licheńskiej Bolesnej Królowej Polski. Jej założyciel, 58-letni, uznający się za jasnowidza Edward Bezner, wypatrzył już około 180 członków swojej partii, o którą mimo sprzeciwu episkopatu zabiegał od dawna. Bo nawet nie będąc jasnowidzami, widzimy jasno: bez względu na program partia występująca pod skrótem SMBLBKP nie ma szans. Członkom partii sugerujemy, żeby sprawdzili, czy szefowi nie pomyliła się parapsychologia z paranoją.

...o poparciu, jakie według sondażu Polacy udzielili Partii Kobiet założonej (przy pewnym współudziale „Przekroju") przez Manuelę Gretkowską. Bo choć jest dwa razy większe niż dla demokratów.pl, to i tak do progu wyborczego jeszcze dość daleko. Dużo ciekawsze jest zabawne przejęzyczenie Matki Założycielki: „Jesteśmy przebiśniegiem wśród dobrze zakorzenionych kaktusów" – powiedziała. Nie chce nam się wierzyć, że tak znana skandalistka miała na myśli kaktusy.

...o posłance Jolancie Szczypińskiej (PiS). Bo w ciągu tygodnia, jaki minął, od kiedy nie warto było o niej pisać, niewiele się w życiu pani Jolanty zmieniło – kocha, jak kochała, stronkę internetową ma równie obciachową, jak miała. Jedyna zmiana to ta, że w „Księdze gości" po wszystkich wpisach, najogłędniej mówiąc, krytycznych, już następnego dnia nie było śladu, pozostały same ciepłe pozdrowienia. My też pozdrawiamy, choć chłodno.

CYTAT tygodnia

Chciałem w tym miejscu serdecznie podziękować: zrobiliśmy ogromną promocję Polsce. Europa zobaczyła również i Polska również, że mamy tak uroczy zakątek. Nie wszyscy, ale wiele z nas protestuje, nawet nigdy tam nie byli. Odwiedźcie tych ludzi, zobaczcie, co oni zrobili dla dziedzictwa kulturowego, i uszanujmy to

– JAN SZYSZKO, minister środowiska, popierający przebieg obwodnicy Augustowa w zaplanowanym kształcie, czyli przez środek Doliny Rospudy

fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

spis prawdziwych treści s. 4

Okładka: Fot. ANDRZEJ WIKTOR/ PAP, K. ŻUCZKOWSKI/ FORUM

PRZEKRÓJ TYGODNIA
6 Krótka rozmowa z Henrykiem Woźniakowskim o książce księdza Zaleskiego
8 Kraj
10 Teczki
12 Zagranica

A WŁAŚCIWIE TO...
14 Komentarze Wojciecha Mazowieckiego, Wawrzyńca Smoczyńskiego, Mariusza Ziomeckiego

POWIĘKSZENIE
16 Fenomeny „Przekroju"

NAJSZTUB PYTA
22 Chirurga profesora Wojciecha Noszczyka: Czego boją się teraz lekarze?

KRAJ
26 Ziobro wbrew prawu
30 O cudach niepamięci Jarosława Kaczyńskiego mówi Andrzej Anusz

TEMAT „PRZEKROJU"
34 PAN – reforma łże-elit

ZAGRANICA
40 Tarcza antyrakietowa to technologiczne muzeum
44 Nacjonalistyczna olimpiada chińska
46 Lokalne waluty wypierają euro

NAUKA
48 Skóra – klucz naszej fizjologii
52 Żebyś wiedział

TWOJE SPRAWY
54 Magazyn Mosza
55 Zdrowie

Ilustracja JOANNA SZACHOWSKA

TEMAT „PRZEKROJU"

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY
56 **Wydarzenie**: Ameryka folkuje
59 **Muzyka**: Muzyka dla klasy średniej
60 **Książki**: John le Carré „Pieśń misji"
62 **Twórca**: Clint Eastwood
65 **Film**: „Czarna księga"
68 **Gry**: „Final Fantasy XII"
70 **Komiks**: Krzysztof Owedyk „Ósma Czara. Genesis"
71 **Teatr**: „Arabska noc"

ZAWSZE CZYTAJ
3 Na czwartek Raczkowski, W tym tygodniu nie piszemy
78 Bubloteka Kuby Wojewódzkiego
79 Raczej Raczkowski
80 Krzyżówka, jolka
82 Na czczo Igora Zalewskiego i Łżem i wobec Romana Kurkiewicza
83 Rozmaitości

34 PAN na celowniku PiS. O tym, jakie projekty i jakie badania będą mogli realizować uczeni Polskiej Akademii Nauk, będzie decydować minister nauki i szkolnictwa wyższego oraz nowo utworzone Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. To początek zapowiadanej przez premiera „wielkiej reformy nauki", która zakłada marginalizację PAN i upaństwowienie instytutów.

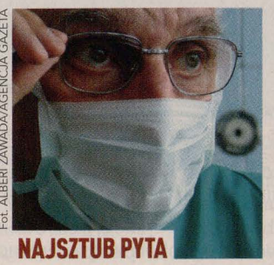

Fot. ALBERT ZAWADA/AGENCJA GAZETA

NAJSZTUB PYTA

22 Teraz już wszystkiego się boję. Teraz decyzja o tym, kogo odłączyć od respiratora, stała się jeszcze trudniejsza, a zawsze była trudna – mówi chirurg profesor Wojciech Noszczyk.

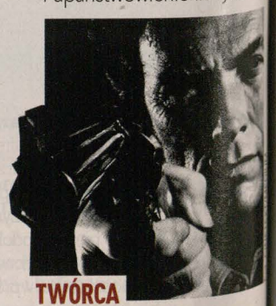

TWÓRCA

62 Clint Eastwood uchodzi dziś za „sumienie Ameryki", twórcę, który konsekwentnie rozlicza własny kraj.

Bez Cenzury

HBO zaprasza na film dokumentalny Aleksandra Manica *Księga rekordów Szutki.*

Data: 3 marca (sobota)
Godzina: 22.00

Księga rekordów Szutki opowiada o bałkańskim miasteczku, które jest niepodobne do żadnego innego na świecie! Szutka to tygiel kultur, wiar i najróżniejszych przesądów, a przy tym oaza wolności i nieustannej zabawy. To także miasto rekordów - mieszkańcy sprowadzają najprostsze czynności do zagorzałej rywalizacji. Czy można być mistrzem nieposiadania niczego lub najlepszym kochankiem w wieku 75 lat?

HBO jest zarejestrowanym znakiem towarowym Home Box Office, Inc. © 2006 Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone.

patronat medialny:
gazeta
PRZEKRÓJ
onet.pl
HBO HOME BOX OFFICE

www.toyota.pl

Wyposażenie klasy GOLD
Nowa Toyota Yaris

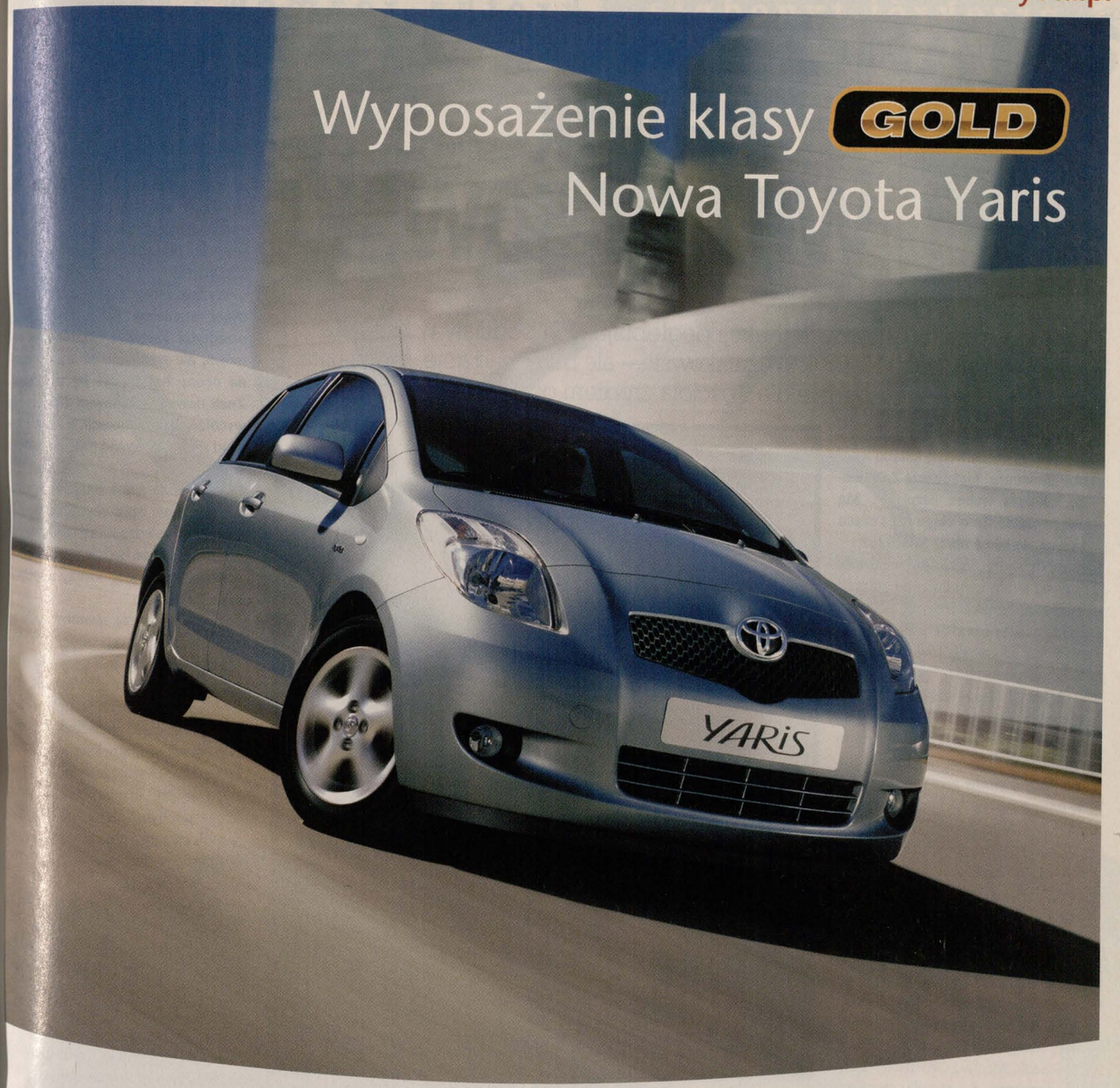

Toyota Yaris GOLD w nowej, limitowanej wersji

Ile nowoczesnych rozwiązań technicznych mieści nowa Toyota Yaris Gold, prócz silnika 1.3, klimatyzacji, bocznych poduszek i centralnego zamka? Tyle, byś mógł jeździć samochodem najwyższej klasy Gold. Zapraszamy do salonów!

TODAY TOMORROW TOYOTA

Toyota Motor Poland Co. Ltd Sp. z o.o. i Autoryzowane Stacje Dealerskie otrzymały certyfikat potwierdzający, że wdrożone systemy zarządzania jakością i zarządzania środowiskowego w zakresie sprzedaży i serwisu samochodów Toyota spełniają wymagania norm ISO 9001:2000 i ISO 14001:2004.

Yaris – zużycie paliwa (UE 80/1268 z późniejszymi zmianami) w cyklu mieszanym wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 4,0 do 7,2 l/100 km. Emisja CO_2 (UE 80/1268 z późniejszymi zmianami) wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 119 do 141 g/km. Szczegółowe informacje o działaniach podejmowanych przez Toyotę w zakresie ochrony środowiska, a w szczególności dotyczących odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji, są zawarte na stronie internetowej: www.toyota.pl.

KATARZYNA KOLENDA-
-ZALESKA, „FAKTY", TVN

HENRYK WOŹNIAKOWSKI

Obawiam się gwałtownych reakcji pogłębiających podziały w Kościele – mówi szef Znaku Henryk Woźniakowski – ale mam nadzieję, że książka księdza Zaleskiego będzie dla Kościoła źródłem oczyszczenia i pojednania

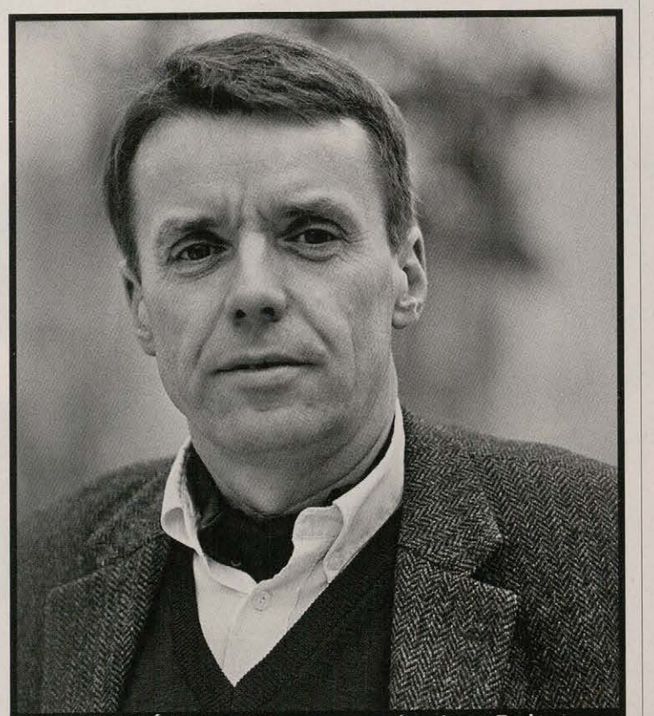

HENRYK WOŹNIAKOWSKI – prezes wydawnictwa Znak

Minęły 24 godziny od publikacji najbardziej oczekiwanej książki księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, „Księża wobec bezpieki". Ma pan poczucie, że w ciągu tego czasu zmienił się jakoś obraz Kościoła?

– Nie sądzę. Wiele już wiedzieliśmy na temat uwikłania niektórych księży, a książka jedynie pogłębia naszą wiedzę i podaje wiele nieznanych dotąd szczegółów. Ale obraz Kościoła pozostaje ten sam.

Z jednej strony szlachetny i niezłomny, o czym świadczą postawy biskupów Kazimierza Nycza, Tadeusza Rakoczego czy Jana Szkodonia, a z drugiej strony grzeszny – tak jak w przypadku arcybiskupa Paetza.

– Dla mnie najważniejsze w tej książce jest to, że pokazuje, w jak perfidny sposób SB próbowała łamać ludzi, jakimi brudnymi metodami parła do celu, a tym celem była dezintegracja i Kościoła, i ludzi, którzy się wokół niego gromadzili. Niektórzy księża zachowali się szlachetnie, inni – z różnych powodów ulegli.

To był szok dla pana, gdy wypływały kolejne nazwiska?

– Szok, można powiedzieć, został mi darowany, bo w toku prac najpierw pojawiały się jakieś sygnały o takiej czy innej osobie. Potem podejrzenia nabierały realnego kształtu i z prawdą oswajaliśmy się powoli. Szokujące były dla mnie metody, jakimi posługiwała się SB. Demoniczne wręcz metody. Bezpieka pozbawiona była jakichkolwiek skrupułów w procederze niszczenia ludzi.

Czy w ten sposób chce pan trochę usprawiedliwiać tych, którzy poszli na współpracę?

– Nikogo nie usprawiedliwiam. Stwierdzam jedynie, że bezpieka, podobnie jak Stalin, miała niesamowitą zdolność wyczuwania w ludziach ich najsłabszych stron. Co do usprawiedliwienia, to w wielu przypadkach widzę, że księża starali się prowadzić jakieś własne gry z bezpieką, mówić rzeczy ogólnie znane. Jednak SB potrafiła z tych pozornie mało ważnych informacji zbudować sobie spójny obraz Kościoła i relacji w nim istniejących. Ta wiedza była wykorzystywana do represji. I to też jest fakt, z którym opisywani księża muszą się pogodzić.

Nie obawia się pan, że ta książka będzie drugą listą Wildsteina?

– Oczywiście, że się obawiam, ale też zwracam uwagę na opisane postaci księży niezłomnych, na równowagę między tymi, którzy ulegli, a tymi, którzy nie. W książce wiele miejsca poświęcono prześladowaniom Kościoła. Po raz pierwszy materiały IPN są udostępnione w taki sposób – popularnonaukowy, ale równocześnie niezwykle rzetelny. Mam nadzieję, że książka nie stanie się przedmiotem rozgrywek i sensacji.

Już była. W poniedziałek, zanim książka się ukazała, media sensacyjnie informowały o współpracy arcybiskupa Paetza.

– Oczywiście, część osób zatrzyma się wyłącznie na nazwiskach. Jednak wartość tej książki polega na tym, że ksiądz Zaleski stara się zrozumieć motywy postępowania księży. Nie zamierza ich z góry osądzać i przekreślać. Mam nadzieję, że z tej publikacji wyniknie jednak coś dobrego dla Kościoła, że będzie drogą do oczyszczenia i w końcu do pojednania. Mam też poczucie, że nasza publikacja chroni wiele opisanych osób przed nieodpowiedzialnymi formami upubliczniania materiałów IPN.

W jaki sposób chroni?

– Poprzez rzetelny przekaz poparty oceną historyków. To nie tylko strzelanie nazwiskami, ale opisana cała historia człowieka, który często nie potrafił przeciwstawić się szantażowi.

Wydawnictwo zabiegało, aby kardynał Stanisław Dziwisz wcześniej przeczytał książkę. Metropolita odmówił, ale zastrzegł, że wyda moralną ocenę książki po jej publikacji. Znak nawet zastanawiał się, czy nie wycofać się z publikacji, a ksiądz Zaleski groził, że wyniki prac opublikuje w Internecie.

– To już za nami. Książka się ukazała, więc nie ma o czym mówić. Co do reakcji księdza kardynała, to spodziewam się, że będzie życzliwa.

A reakcja księży, którzy współpracowali z SB?

– Obawiam się gwałtownych reakcji pogłębiających podziały w Kościele. Mieliśmy już przykład przy sprawie arcybiskupa Wielgusa, kiedy to część wiernych stanęła po jego stronie, a część przeciwko niemu. Nie chciałbym, aby książka wywołała podobne reakcje wobec opisanych księży. Trzeba nad tą publikacją pochylić się z pokorą i ze współczuciem, aby zrozumieć cały historyczny kontekst opisywanych wydarzeń.

Nie obawia się pan procesów sądowych?

– Nie przewiduję. Wszystko oparte jest na dokumentach IPN i autor na ich podstawie formułuje wnioski. Każdy z księży mógł odpowiedzieć na zarzuty. Część skorzystała, część nie. Niewątpliwie opublikowanie nazwiska jest formą sankcji. Inne sankcje tych osób nie dotykają. Dlatego decydując się na ich publikację, podporządkowaliśmy się regułom, można powiedzieć, sądowym, a także naukowym. Wszystko jest szczegółowo udokumentowane.

Spodziewa się pan, że ta książka będzie bestsellerem?

– Spodziewamy się oczywiście, ale aby uprzedzić następne pytanie, odpowiem, że część zysków zamierzamy przeznaczyć na cele charytatywne. Nie podjęliśmy jeszcze decyzji, kto okaże się beneficjentem sukcesu książki. Przypomnę, że pół miliona złotych z zysku z książki Jana Pawła II „Pamięć i tożsamość" również przeznaczyliśmy na cele charytatywne. ■

TRZYGŁOWY GRATIS

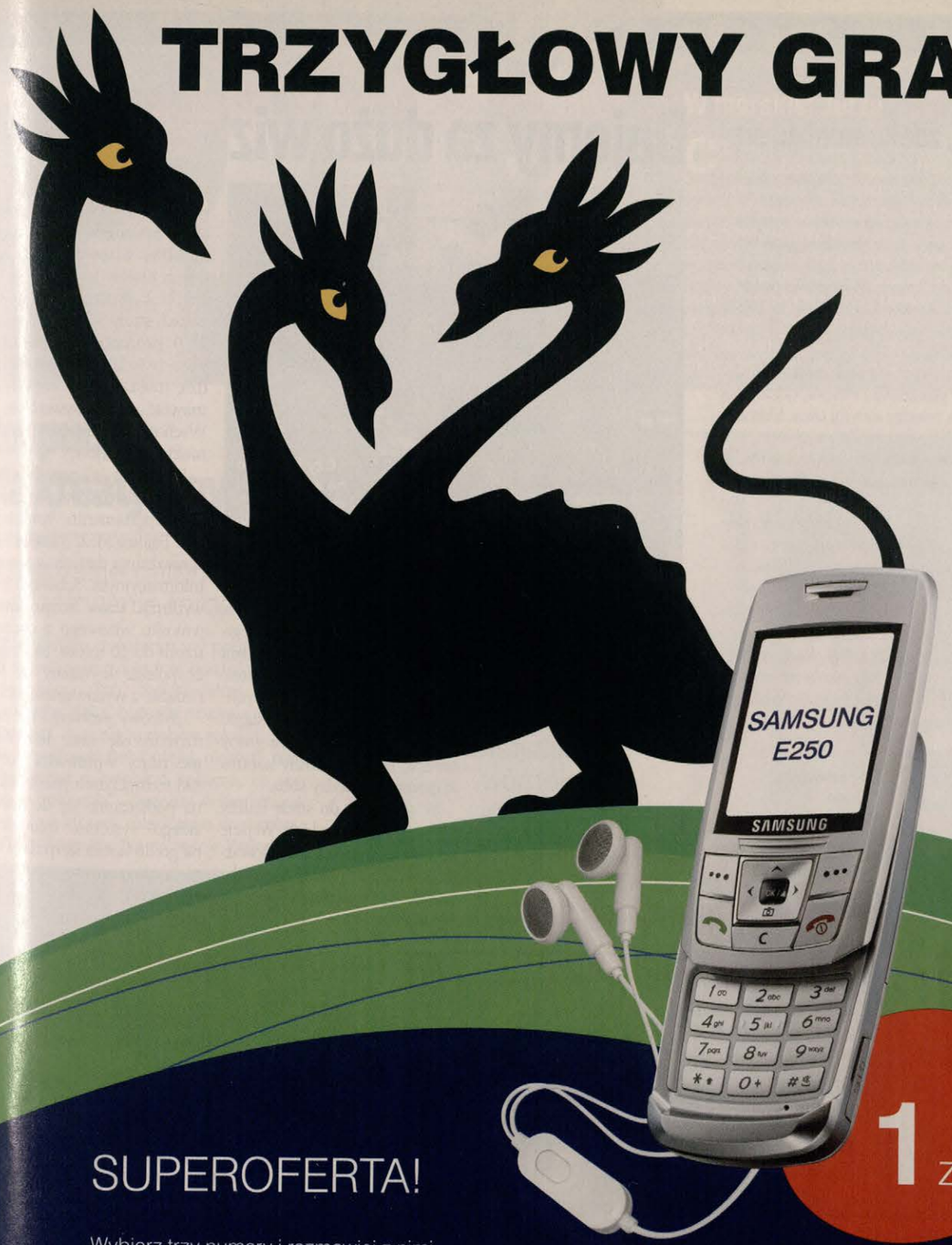

1 zł

SUPEROFERTA!

Wybierz trzy numery i rozmawiaj z nimi za darmo – w Plusie i na stacjonarne.

A do tego wszystkomający Samsung E250 z odtwarzaczem MP3, wideokamerą i Bluetooth™ w jednozłotowej cenie.

Sprzedaż: 0 801 400 601
Szczegóły w regulaminie i na www.plusgsm.pl

Plus

Tabliczko, zdekomunizuj się

Dekomunizację nazw ulic, placów, skwerów, pomników oraz szkół zamierza w najbliższym czasie przeprowadzić Instytut Pamięci Narodowej. Na pierwszy ogień pójdzie Mińsk Mazowiecki, gdzie są jeszcze ulice generała Berlinga, generała Popławskiego, który dowodził pacyfikacją Poznania w 1956, i Adama Rapackiego – byłego ministra spraw zagranicznych PRL.
Podobne wnioski zostaną skierowane do samorządowców Warszawy i Płocka, gdzie znajdują się jeszcze między innymi ulice Marcelego Nowotki z PPR, Franka Zubrzyckiego, partyzanta Gwardii Ludowej, i Juliusza Rydygiera, który był filarem sowieckiej siatki szpiegowskiej w II RP.
Według pomysłu IPN, komunistycznego patrona ulicy czy placu będzie mógł teraz zgłosić każdy. Zgłaszane sygnały będą badać historycy IPN. – My będziemy tylko zwracać uwagę samorządom, bo w żaden sposób takiej decyzji nie możemy wyegzekwować – mówi Andrzej Arseniuk z IPN. Rady miast będą mogły odmówić dokonania zmiany. Nawet w sytuacji, gdy będzie chodziło o ulicę Bolesława Bieruta. ŁAZ

Fot. PRZEMYSŁAW POKRYCKI

IPN zamierza pomóc samorządom w walce z ulubieńcami PRL-u panoszącymi się na ulicach

Dajemy za dużo wiz

Fot. ROMAN JOCHER/AG

Czy kontrole na zachodnich i południowych granicach Polski znikną? Okaże się to w sierpniu

Wejście Polski do strefy Schengen może oznaczać początek problemów z naszymi sąsiadami zza wschodniej granicy

Szlabany na zachodniej i południowej granicy naszego kraju znikną 1 stycznia 2008 roku – zapewnia Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wtedy to Polska ma wstąpić do strefy Schengen, czyli grupy państw, które poznosiły kontrole graniczne między sobą.

W tej chwili do strefy należy 15 krajów europejskich. Wejście do niej to korzyści, ale i poważne kłopoty: w 2006 roku Polska wydała Ukraińcom, Rosjanom i Białorusinom 1,14 miliona wiz, czyli cztery razy więcej, niż wydaje im cały obszar dzisiejszego Schengen. Za to procent odmów wizowych dla tych trzech krajów jest znacznie niższy (1,2 procent) niż w państwach strefy Schengen (średnio 11,5 procent). Niewykluczone więc, że w 2008 roku Polska będzie musiała dużo częściej odmawiać wiz obywatelom ze Wschodu. To zapewne zirytuje naszych sąsiadów.

Poza tym – jak przyznaje Jacek Junosza-Kisielewski, wicedyrektor departamentu konsularnego i Polonii MSZ – konieczność sprawdzania danych w Systemie Informacyjnym Schengen (SIS) wydłuży czas rozpatrywania wniosku wizowego z obecnych trzech do 10 minut, co oznacza, że polskie konsulaty nie będą nadążać z wydawaniem wiz.

„Wizowy problem" być może rozwiąże się sam. Jeśli Polska nie zdąży wprowadzić rozwiązań technicznych pozwalających na podłączenie się do europejskiego systemu informatycznego do końca sierpnia (a takie niebezpieczeństwo istnieje), nie wejdziemy do strefy Schengen w 2008 roku. APA

Marek Raczkowski

Lustracja w Kościele
· RAPORT SPECJALNY · RAPORT SPECJALNY · RAPORT SPECJALNY ·
Czytaj tylko w serwisie *wiadomosci.wp.pl* WP.PL
INFORMACJE KOMENTARZE RELACJE ZDJĘCIA REPORTAŻE OPINIE FELIETONY CIEKAWOSTKI

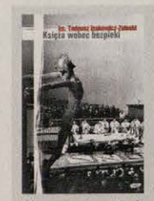

Ksiądz Isakowicz-Zaleski ujawnia

Najbardziej oczekiwana książka roku jest już w księgarniach. Sensacją nie będzie, bo ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski na 589 stronach „Księży wobec bezpieki" publikuje nazwiska 130 kapłanów, które albo są poza Krakowem nieznane, albo dawno zostały ujawnione przez media (Mieczysław Maliński, Janusz Bielański, Wiktor Skworc). Wyjątkiem jest arcybiskup Juliusz Paetz. Książka nie jest jednak lekturą o agentach w sutannach. Duża jej część to skrupulatnie opisane przypadki heroicznej walki duchownych z osaczającymi ich mackami SB. Autor pokazuje też, ile sił wkładała bezpieka w łamanie tych, których jedyną winą była niezależność od władzy. Dzięki temu łatwiej zrozumieć, dlaczego niektórzy jej ulegli. Głównie jednak „Księża wobec bezpieki" to wyzwanie rzucone biskupom. Isakowicz-Zaleski nie ujawnił wszystkich nazwisk agentów. W przypadku trzech kapłanów nie zrobił tego ze względu na niepełne informacje, zaś w przypadku jednego księdza – ze względu na jego ważną funkcję w Kościele. GREG

W morskiej Jurze

Czwartym Śnieżnym Morskim Rollowaniem pożegnali sezon ferii zimowych fani zimowego szaleństwa w ośrodku narciarskim Morsko w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. W konkursie na najciekawszy pojazd śnieżny i najoryginalniejszy strój narciarski rywalizowało 15 ekip. W kategorii osób dorosłych furorę zrobiła częstochowska ekipa „Jeziora Łabędziego". Panowie z „Łabędziowozu" (na zdjęciu) zgarnęli pierwszą nagrodę – tysiąc złotych. AJ

Rospuda dla kreatywnych

Ekolodzy mają ekstremalne patenty na przetrwanie mrozów

Niby jestem doświadczony polarnik, ale zapomniałem o jednej bardzo, bardzo ważnej rzeczy. Otóż zapomniałem butelki do siusiania. Taka butelka pozwala siusiać w śpiworku, a jak się ją dobrze zakręci, grzeje jak termoforek. Bez butelki, niestety, trzeba wychodzić z ciepłego śpiwora, co jest okropne i okrutne" – napisał Adam Wajrak w blogu, w którym relacjonuje wydarzenia w Dolinie Rospudy. Na szczęście Wajrakowi

Fot. JERZY GUMOWSKI/AG

Ogrzewanie własnym moczem to jeden ze sposobów na przetrwanie mrozów

z pomocą przyszedł bard Jacek Kleyff, który wspomógł go szczelnym słoiczkiem. Młodzi obozowicze ze starych sposobów polarników lekko się nabijają. – Stary, my mamy takie chemiczne wkładki wielkości karty do gry. Wkładasz w skarpetę i grzeje 6 albo 12 godzin – mówi 19-letni Ufo. Nosi podkoszulek, dwie bluzy, dwa polary, kurtkę goreteksową, kalesony bawełniane, kalesony z polaru, spodnie narciarskie i trzy pary skarpet. Ludzka sympatia rozwiązała inne problemy. – Przywożą tyle jedzenia, że chyba nieźle tu utyjemy – martwi się Adam Wajrak jedzący pomidorówkę od sympatyka akcji z Kwidzyna (pomorskie). JULL

REKLAMA

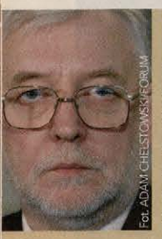

Fot. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

CHWAŁA

JERZY STĘPIEŃ

Prezes Trybunału Konstytucyjnego, choć powołany na stanowisko przy poparciu PiS, jako jedyny przedstawiciel władz przyznał, że Zbigniew Ziobro złamał konstytucję i powinien stanąć przed Trybunałem Stanu za publiczne orzeczenie o winie kardiochirurga Mirosława G. Zabójstwo pacjenta przez G. to dopiero podejrzenia, ale dwa dni po zatrzymaniu lekarza minister sprawiedliwości stwierdził, że „nikt nigdy nie będzie już pozbawiony życia przez tego pana". GREG

CHAŁA

ALEKSANDER SZCZYGŁO

Ministrem obrony narodowej jest dopiero od trzech tygodni, a na koncie ma już co najmniej dwie gafy. Najpierw nie pojechał na światowe spotkanie przywódców do Monachium, gdzie dyskutowano o tarczy antyrakietowej w Polsce, a teraz publicznie ujawnił, gdzie w czasie misji w Afganistanie operował będzie GROM. – To prezent dla terrorystów, którzy na bazy żołnierzy sił specjalnych polują w pierwszej kolejności – denerwuje się jedna z osób blisko związanych z GROM. JULL

Fot. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM, DAREK REDOS/REPORTER

Polska Condi

Szefowa gabinetu prezydenta RP **Elżbieta Jakubiak** coraz śmielej rozwija skrzydła na arenie międzynarodowej

Elżbieta Jakubiak wkrótce wybierze się do Waszyngtonu

Jakubiak swych ambicji zajmowania się polityką zagraniczną nie kryła od początku objęcia funkcji szefowej gabinetu prezydenta. Początkowo musiała rywalizować o wpływy z szefem Kancelarii Prezydenta Andrzejem Urbańskim oraz doradcą Lecha Kaczyńskiego do spraw międzynarodowych Andrzejem Krawczykiem. Ale obaj podali się do dymisji (Urbański po ujawnieniu, że łączył funkcję publiczną z biznesową, a Krawczyk, gdy został oskarżony o współpracę ze służbami specjalnymi).

Czująca wiatr w żaglach Jakubiak w ciągu dwóch ostatnich tygodni odbyła podróż do Izraela, gdzie rozmawiała na temat stosunków polsko-izraelskich, oraz podjęła w Warszawie delegację z Belgii, z którą omawiała sprawę europejskiej polityki bezpieczeństwa i eurokonstytucji. Niebawem wybiera się do Waszyngtonu. Niektórzy w pałacu już mówią o niej „polska Condi". Naszej minister do sekretarz stanu gabinetu prezydenta Busha jednak daleko. Ciemnoskóra Condoleezza Rice już wieku 27 lat zdobyła tytuł doktora nauk politycznych, a tytuł profesora uzyskała na jednej z najbardziej prestiżowych amerykańskich uczelni – Uniwersytecie Stanforda. Tymczasem Jakubiak ukończyła Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, a do polityki trafiła jako sejmowa asystentka. Jej kariera nabrała pędu u boku Lecha Kaczyńskiego, gdy ten został prezydentem Warszawy. – Z amerykańską sekretarz stanu łączy ją chęć bycia dwa razy lepszą – mówi nam jeden z pracowników Kancelarii Prezydenta. Kilka miesięcy temu Jakubiak przyznała „Przekrojowi", że chętnie objęłaby stanowisko wiceprezydenta, gdyby tylko takie w Polsce istniało. APA

Francja ma jedną kucharkę

Do panteonu najlepszych francuskich kucharzy dołączyła kobieta **Anne-Sophie Pic**

Fot. GAMMA/BE&W

Restauracja Maison Pic w Walencji od tygodnia przeżywa oblężenie. W tegorocznej edycji słynnego Guide Michelin francuscy cenzorzy kulinarni przyznali lokalowi trzy gwiazdki. W całej Francji tak wysoko notowanych restauracji jest tylko 26, a Maison Pic to jedyna, w której szefem kuchni jest kobieta. W historii Michelina najwyższą notę zdobyły tylko trzy kucharki, ostatnia w 1951 roku. Restauracja 37-letniej pani Pic specjalizuje się w przyrządzaniu ryb i owoców morza. ACH

Fot. AP

To moja laleczka

Proces, który ma rozstrzygnąć awanturę o ciało zmarłej gwiazdki „Playboya", zmienił się w płaczliwy melodramat z sędzią **Larrym Seidlinem** w roli głównej

Chodzi o ciało 39-letniej Anny Nicole Smith. 56-letni sędzia Larry Seidlin wprawił wszystkich w osłupienie, stwierdzając, że „ciało tej laleczki należy do mnie", a nim odczytał wyrok, czterokrotnie zaniósł się szlochem. Zaczął od dramatycznej deklaracji do kamer, że „płomień tej świecy gaśnie", a następnie zabrał się do pocieszania matki. – Wiem, co czujesz, mamusiu. Też z tego powodu cierpiałem. Wylewałem łzy za twoją małą dziewczynką – mówił sędzia, dodając, że śmierć Anny Smith była dla niego osobistą tragedią. A następnie ze łzami w oczach przyznał prawo dysponowania ciałem Smith jej pięciomiesięcznej córce. ACH

Pisze Subotić do Jachowicza

List otwarty do Jerzego Jachowicza, czyli mój pierwszy donos

Milana Suboticia, byłego dyrektora programowego TVN, oskarżono o współpracę ze służbami wojskowymi po emisji taśm Begerowej. Przyznaje, że podpisał w 1984 roku deklarację o współpracy z wojskowym wywiadem PRL, zaprzecza jednak współpracy z WSI po 1989 roku. Jego nazwisko jest w raporcie Macierewicza

Drogi Jurku,

Dziękuję Ci za pamięć. Bardzo Cię lubię, więc wiele Ci wybaczam. Wybaczam nieumiejętność liczenia powyżej 20. Przecież jesteś tylko publicystą, a nie ministrem finansów. Wybaczam brak dziennikarskiej dociekliwości. Przecież jesteś tylko publicystą „Dziennika", więc nie może Cię dziwić, że moje nazwisko pada w raporcie WSI czterokrotnie, ale nie ma wobec mnie żadnego zarzutu dotyczącego WSI…

Wybaczam Ci, bo Cię lubię i rozumiem Twoją trudną sytuację. Ale czy niejaki Macierewicz wybaczy? Biedaku, a jak się wyda, że pod koniec lat 90. zapraszałeś mnie do domu na nocną wódkę. Gorzej niż Oleksy Ałganowa. Przecież wtedy każdy prawdziwy Polak i uczciwy obywatel (na przykład cenzor polityczny w TVP Piotr Skwieciński) wiedział, że jestem agentem WSI. Jak się będziesz tłumaczyć z takich spotkań? Niewiedzą? Żałosne. Ty? Doświadczony dziennikarz śledczy? Ciekawością? Jeszcze bardziej żałosne. Plagiat!!!! Podjęciem gry? Jak wyżej.

Więc w oczywisty sposób wiedziałeś! I potajemnie się spotykałeś. A co mi wtedy mówiłeś? Na pewno nic o krajowej polityce? Żadnej ustnej analizy? Pół nocy gadania i żadnego nazwiska? A może coś złego o dziś rządzących? A ja tylko Cię słuchałem? Nic nie mówiłem? Na pewno nie inspirowałem? Ani trochę? Ty wiesz, że nie. Ale może kłamiesz? A może tylko myślisz, że nie. A ja jednak Cię inspirowałem. Ja mogę potwierdzić, że nie. Ale przecież to Cię tylko bardziej pogrąży. Każdy Semka Ci powie, że Oni zawsze tak bronią swoich.

Mógłby Cię obronić brak kwitów na Ciebie. Ale po pierwsze, nie ma braku kwitów, tylko brak odnalezionych kwitów. A po drugie, najcenniejsi pracowali bez żadnej dokumentacji. Aneks do raportu już niedługo. Potrzeba będzie trochę świeżego towaru, parę nowych nazwisk. Jak nie będzie żadnych dowodów, to najpierw puści się zmyślone do zaprzyjaźnionej prasy. A jak prasa bardzo zaprzyjaźniona, to może nawet sama zmyśli. Możesz więc mieć przechlapane. Chyba że obroni Cię bieżąca działalność publicystyczna. Czego Ci, Jurku, życzę.

Z wyrazami sympatii

Milan

(przebiegle ukrywający się przez wiele lat pod tajnym pseudonimem „Milan")

Jerzy Jachowicz, były dziennikarz „Gazety Wyborczej", napisał w „Dzienniku", że jeśli powstanie stowarzyszenie poszkodowanych przez raport o WSI, to prezesem powinna być osoba zasłużona. Zaproponował Suboticia w związku ze zbliżającą się 25. rocznicą jego współpracy

REKLAMA

Książę chce walczyć

Harry, wnuk królowej Elżbiety II, jedzie na front w Iraku. 1500 Brytyjczyków ruszy tymczasem w drugą stronę

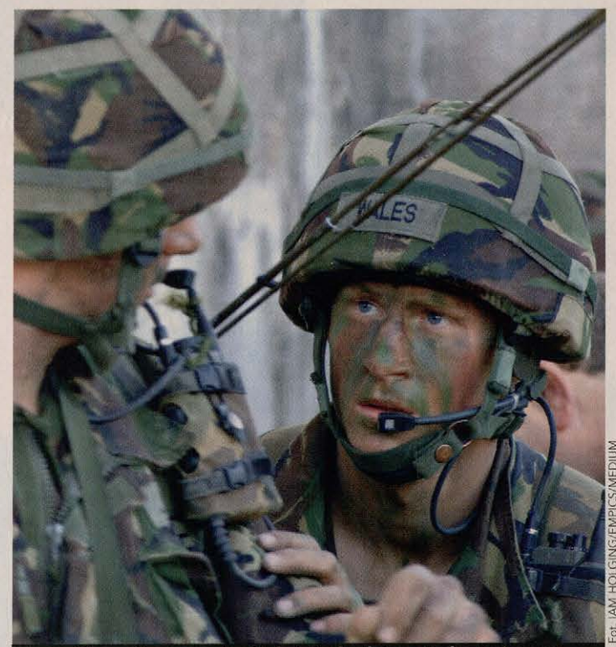

Rzecznik armii zapewnia, że książę będzie w Iraku świetnym dowódcą. Na zdjęciu: porucznik Wales na manewrach na Cyprze

Fot. IAM HOLGING/EMPICS/MEDIUM

22-letni porucznik Harry Wales (syn księcia Karola i Diany Spencer) pojedzie do Iraku z najnowszą brytyjską zmianą. Jako oficer obejmie dowództwo 12-osobowego oddziału rozpoznawczego poruszającego się w czterech pojazdach opancerzonych. Będzie pierwszym od 25 lat członkiem brytyjskiej rodziny królewskiej na froncie. Ostatnim był wuj Harry'ego książę Andrzej, który pilotował helikopter na wojnie o Falklandy.

Porucznik Wales przechodzi właśnie specjalne szkolenie. Uczy się uważać na szczegóły: świeżo zasypany krater po bombie, podejrzaną górkę śmieci, przydrożną beczkę po ropie lub przestawioną zaporę drogową – w takich miejscach kryją się najczęściej chałupnicze ładunki wybuchowe, którymi rebelianci prześladują oddziały koalicji.

Książę, który będzie stacjonował w okolicach Basry, stał się już obiektem troski narodowej. Brytyjskie ministerstwo obrony dementuje pogłoski, że Harry jedzie do Iraku z cichą obstawą komandosów SAS – oficjalnie armia przydzieliła mu tylko anioła stróża w osobie doświadczonego oficera, ale jest niemal pewne, że podczas służby będzie jedną z najlepiej chronionych osób w Iraku. Główną bolączką wojska będzie zapewnienie Harry'emu ochrony przed brytyjskimi tabloidami, które przez wścibskość mogą wskazać rebeliantom książęcy oddział i zwiększyć przez to ryzyko ataku lub porwania.

Informacja o wyjeździe księcia na front przyćmiła nieoczekiwaną zapowiedź wycofania wojsk brytyjskich z Iraku. Premier Tony Blair oświadczył, że do czerwca bieżącego roku Zjednoczone Królestwo zredukuje swój kontyngent nad Eufratem z 7100 do 5500 żołnierzy. Kontrolowane dotąd przez Brytyjczyków okolice Basry przejdą pod opiekę armii irackiej, a część wycofanych oddziałów JKM zamiast na Wyspy pojedzie prosto do Afganistanu.

LUC

Fot. AFP/EAST NEWS

Milioner w nieważkości

Były informatyk Microsoftu Charles Simonyi ćwiczy latanie w stanie nieważkości na pokładzie samolotu Ił-76. 9 kwietnia 58-letni Simonyi poleci rakietą Sojuz w 10-dniowy lot na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Piąty z kolei turysta kosmiczny zapłacił za podróż 20 milionów dolarów. ACH

Żegnaj, kibucu!

Decyzję podjęto demokratycznie. „Za" prywatyzacją najstarszego kibucu w Izraelu było aż 85 procent mieszkańców Deganii. Tym samym zmienił się on w regularne przedsiębiorstwo – pracujące na jak największy zysk i wypłacające pensje zależne od wydajności. – Nie możemy żyć tu jak na wyspie oderwanej od świata – tłumaczy główny zarządca Szai Szoszani.

Degania to kibuc legenda. Założony w 1910 przez 12 pionierów syjonistów, którzy przybyli na terytorium Palestyny budować państwo Izrael, stał się pierwowzorem spółdzielczych gospodarstw działających na zasadzie komuny, które stały się podstawą izraelskiej gospodarki. Mieszkańcy kibuców nie mieli własnych majątków, dobra były im wydzielane „według potrzeb", a wspólnym celem była praca (najczęściej fizyczna) na rzecz Izraela.

Kryzys kibuców rozpoczął się w latach 80. Coraz więcej zaczęło przechodzić na gospodarkę rynkową. Dziś z 270 kibuców tylko 30 wierzy jeszcze w życie ideały socjalizmu – reszta to dobrze prosperujące przedsiębiorstwa. JO

Zbiory daktyli w Deganii w 1950

10-15

procent więcej dzieci niż rok wcześniej poczęli Niemcy w trakcie mistrzostw świata w piłce nożnej 2006. Wyż na oddziałach położniczych spodziewany jest w marcu.

François Bayrou uwodzi centrowy elektorat Francji

Fot. GAMMA/BE&W

Gdzie dwoje się kłóci...

Nicolas Sarkozy i Ségolène Royal mają rywala w wyścigu o francuską prezydenturę. I nie jest nim Jean-Marie Le Pen

François Bayrou zgłosił swoją kandydaturę jako ostatni, z nadzieją na godną porażkę w pierwszej turze, w najlepszym razie na czwartym miejscu. Tymczasem najnowszy sondaż poparcia na 50 dni przed wyborami wstrząsnął całym wyścigiem: lider małej partii prawicowej UDF zgarnia 17 procent głosów. To cztery procent więcej niż miesiąc temu i pewne trzecie miejsce. A z trzeciego już blisko do drugiej tury.

Skok popularności Bayrou to skutek późnego startu i zniechęcenia wyborców do dwojga głównych kandydatów – Sarkozyego, którego kampania prezydencka ciągnie się już dwa lata, i Royal, która w ostatnich tygodniach obnażyła się jako ignorantka i polityczna amatorka. Bayrou plasuje się jako alternatywa dla obojga – w przeciwieństwie do socjalistki ma polityczne doświadczenie i nie rzuca pustych obietnic, jest też bardziej umiarkowany od Sarkozyego, którego radykalizm zniechęca część elektoratu prawicy.

Brytyjskie gazety już okrzyknęły Bayrou przyszłym prezydentem Francji – w hipotetycznej drugiej turze rzeczywiście bije zarówno socjalistkę Royal, jak i lidera prawicy Sarkozyego. Dziś szanse na to, że do niej wejdzie, wydają się małe, ale nieprzewidziany przez nikogo sukces Jean-Marie Le Pena w 2002 roku pokazał, że czarny koń na kilka tygodni przed głosowaniem może zmienić wynik. Tym razem kandydatka socjalistów jest zdecydowanie słabsza niż pokonany pięć lat temu przez Le Pena Lionel Jospin. ACH

Ta bandycka Finlandia

13 lutego fińska straż graniczna usiłowała skontrolować bilety i paszporty dwóch Koreańczyków z Korei Północnej w pociągu relacji Moskwa–Helsinki. Pasażerowie, niemówiący w żadnym języku poza koreańskim, po krótkiej rozmowie na migi wyrzucili kontrolerów z przedziału. Celnicy wezwali na pomoc policję, która wpuściła do wagonu gaz łzawiący, a przedział wzięła szturmem. Na najbliższym posterunku policji okazało się, że nieszczęśni pasażerowie są północnokoreańskimi dyplomatami w drodze do Sztokholmu. Teraz oburzony Phenian domaga się wszczęcia śledztwa w sprawie zatrzymania kurierów dyplomatycznych i zarzuca Helsinkom łamanie praw człowieka. LUC

REKLAMA

Lato TUI 2007

Ruszajcie na podbój lata

Zabierz swoją **rodzinę** tam, gdzie słoneczna przygoda nigdy się nie kończy! Czeka na Was **moc rodzinnych atrakcji. Stałe ceny dla dzieci** w wielu hotelach TUI oraz **kluby Baadingoo** z polskojęzycznymi animatorami!

Tylko do 31 marca wyjątkowa promocja na Krecie i Majorce!

* **KRETA**
Hotel Cactus Beach ❋❋❋❋
All Inclusive, 2-osobowy pokój z dostawką
1 tydzień już od 1953 zł/os.
2 tygodnie już od 2695 zł/os.
Wylot z Warszawy, np. 12.05.07

od **785** zł
Stała cena dla dzieci w wieku 2-14 lat

W promocji wiele innych atrakcyjnych ofert!

LATO TUI 2007. Zapraszamy do biur lub na www.tui.pl

UWAGA! TYLKO DO 31 MARCA OSTATNIE RABATY TUI DLA WCZEŚNIE REZERWUJĄCYCH!

BIURA TUI CENTRUM PODRÓŻY: BYDGOSZCZ: 052 321 54 00; **GDAŃSK:** 058 346 24 39; **GDYNIA:** 058 669 33 00; **GORZÓW WLKP.:** 095 720 57 76; **KALISZ:** 062 502 52 01; **KATOWICE:** 032 354 11 11; **KRAKÓW:** Galeria Krakowska, ul. Pawia 5, 012 628 70 44; ul. Św. Marka 11A, 012 431 11 20; Galeria Kazimierz, ul. Podgórska 34, 012 433 01 51; **LEGNICA:** 076 727 74 50; **ŁÓDŹ:** 042 632 25 01; **OPOLE:** 077 453 17 18; **POZNAŃ:** 061 847 11 78; **SZCZECIN:** 091 488 66 00; **WARSZAWA:** ul. Marszałkowska 104/122, 022 551 44 66; ul. Wilcza 33, 022 622 33 00; ul. Świętokrzyska 36, 022 620 74 41; MDL Okęcie (Hala Odlotów), ul. Żwirki i Wigury 1, 022 650 25 96; CH Klif, ul. Okopowa 58/72, 022 531 45 95; CH Reduta, Al. Jerozolimskie 148, 022 823 90 25; CH Blue City, Al. Jerozolimskie 179, 022 311 72 17; ul. Wołoska 7, bud. Mars, 022 874 57 27; CH Promenada, ul. Ostrobramska 75 B, 022 740 57 10; Plac Trzech Krzyży 18 (wejście od ul. Brackiej), 022 621 28 56; ul. Tamka 38, 022 826 96 04; Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12, 022 541 32 32; **WROCŁAW:** Plac Teatralny 1, 071 344 98 50; **ZIELONA GÓRA:** ul. Kupiecka 23, 068 452 74 74

Ceny wg kursu sprzedaży banku WestLB Polska S.A. z dnia 07.02.2007. 1€ = 3,9454 zł.

+0 Po prostu! Żadnych dopłat.

Ceny TUI zawierają wszystkie obowiązkowe opłaty, np. ubezpieczenie, opłaty lotniskowe.

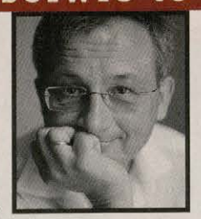

Nasze Fenomeny

W poniedziałek wieczorem, kilka godzin przed zesłaniem tego wydania tygodnika do drukarni, na gali w warszawskim Teatrze Narodowym ogłosiliśmy nazwiska osób nominowanych do naszej najważniejszej nagrody za rok 2006. Była to impreza optymistyczna w środku zimy. Pokazała czarno na białym, że nie jest z nami w Polsce tak źle, jak czasem może się wydawać, gdy słuchamy wiadomości. Czego trzeba dokonać, by zostać Fenomenem „Przekroju"? Zrobić coś w szeroko rozumianym obszarze publicznym, co daleko wykracza poza przeciętność. I choć najłatwiej wyróżnić ludzi sztuki, nie tylko spośród nich wyłaniamy laureatów. To nie jest nagroda dla przyzwoitej, średniej czy nawet dobrej roboty. Fenomeny zarezerwowane są dla dokonań rzadkich: które inspirują, zachwycają, budzą podziw dla ludzkiej kreatywności i pokorne uznanie dla imponującej służby publicznej.
Sylwetki laureatów i relację z uroczystości znajdziecie Państwo w rubryce „Powiększenie" w pierwszej części wydania. To był prawdziwy zaszczyt i przyjemność, móc gratulować tym fenomenalnym osobom.

MARIUSZ ZIOMECKI

Polityka jest w lesie

Dlaczego Rospuda nie interesuje polityków? Dlaczego politycy, którzy po ostatnich wyborach łajali nas za niską frekwencję, nie myślą o tym, jak podtrzymać naturalną mobilizację obywatelską w obronie przyrody? Jak włączyć w proces polityczny organizacje pozarządowe? Nie, Rospuda nas nie obchodzi. Sprawami wagi państwowej były w ubiegłym tygodniu: spór o mandat prezydenta Warszawy, przyszłość Sikorskiego i Marcinkiewicza, doktorat Andrzeja Leppera i szorstka przyjaźń Tuska z Rokitą. Rospuda tylko o tyle, o ile można było „przywalić" rządowi albo ekologom. Szukać rozwiązania? Mediować? Panie, to problem obywateli, a nie polityków! Dlatego obywatele dostaną teraz symboliczne, bo prawnie niewiążące, referendum. Obojętność w sprawie Rospudy pokazuje, jak niewiele jest polityki w naszej polityce. Sprawy, które nas bezpośrednio dotyczą, ba, będące konsekwencjami działań państwa, przegrywają z wirtualnym światem potyczek międzypartyjnych. Jeśli mieszkańcy Augustowa nie chcą dziś dyskutować o alternatywach, a ekologów witają krzyżami, to dzieje się tak również dlatego, że ich cierpliwość została wyczerpana, czas na konsultacje zmarnowany, a lokalni politycy nie uderzyli na alarm, że w ich mieście tiry zabijają ludzi. Nie wiem, czy obwodnica Augustowa musi biec przez Rospudę. Ale mając do wyboru ministra ochrony środowiska, który akceptuje projekt autostrady wytyczonej przez chronione torfowisko, i działaczy pozarządowych, którzy mówią, że droga może biec inaczej, bardziej ufam tym ostatnim. W tej sprawie to oni są dla mnie państwem, a nie minister. A już na pewno nie zastępy wygadanych na co dzień polityków, którzy w konkretnym sporze publicznym nie mają nic do zaproponowania.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

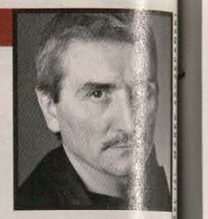

Nie podpiszę lojalki IV RP

Zaczyna się wszechlustracja. Osoby uznane za „pełniące funkcje publiczne" będą musiały podpisać oświadczenie, że pracowały bądź nie, służyły bądź nie lub współpracowały bądź nie* (* właściwe podkreślić) z organami bezpieczeństwa PRL. Wśród „publicznych" lustrowani będą kandydaci na wszelkie funkcje państwowe i samorządowe obsadzane drogą wyborów. To bardziej zrozumiałe, choć zabawne, że dziś, kandydując do parlamentu, trzeba się usprawiedliwiać na wyrost, zapewniając, czego się nie robiło za PRL. Bo być dziś kryminalistą z prawomocnym wyrokiem sądowym – jak urzędujący wicepremier – parlamentarzyście wolno, i tłumaczyć się nie trzeba. Problem w tym, że wykaz „osób publicznych" do lustracji został istotnie poszerzony, zwłaszcza o środowiska nieprzychylne dzisiejszej władzy: naukowców i nauczycieli, wydawców oraz dziennikarzy. Obejmie też osoby zatrudniane na zwykłą umowę o pracę w urzędach państwowych i samorządowych czy w spółkach z dominującym udziałem Skarbu Państwa lub strategicznych. Ciekawe, że ustawodawca kierował się tu troską o „łamanie praw człowieka i obywatela na rzecz komunistycznego ustroju totalitarnego", a nie zauważył nadwerężania tychże praw dzisiaj. Ustawa służy zdecydowanie bardziej tym, którzy donosili czy pracowali w SB. Wystarczy, że to opiszą i nic już im nie grozi.
Prawo do prawdy historycznej ma usprawiedliwiać poniżający obowiązek podpisania swego rodzaju lojalki przez porządnych obywateli, o ile rządzący dziś zakwalifikowali ich do sektora „publicznego". Pod groźbą utraty „funkcji publicznej". Dla osób sprawujących tę „funkcję" nie z wyboru, lecz w ramach umowy oznacza to groźbę utraty pracy. Pytanie do Trybunału: jak w przypadku dziennikarzy ta pogróżka ma się do konstytucyjnej wolności słowa? Czy tych „nielojalnych", którzy nie złożą oświadczeń, nie wolno będzie już publikować? Dla ludzi dzisiejszej władzy to problem zupełnie niezrozumiały. Jak zwykle użyją szantażu: „jak ktoś nie ma nic na sumieniu, to się nie ma czego bać", by ukryć smutną prawdę, że państwo jest już bezradne w tropieniu perelowskich agentów i ich współpracowników. Dla mnie – osoby niepchającej się do władzy – podpisywanie dziś pod groźbą utraty pracy oświadczenia, że nie byłem świnią w PRL, jest równie upokarzające jak wymuszane przez ubeków w stanie wojennym lojalki o przestrzeganiu prawa PRL. Bez osądzania kogokolwiek, jeśli podpisał wtedy. Bez osądzania, jeśli podpisze dziś. Ale zachęcam do niepodpisywania. Ja nie podpiszę.

WOJCIECH MAZOWIECKI

MACIEJOWSKI

– Zapewniam, że na 95% nie biorę łapówek.

© MARCIN MACIEJOWSKI

MULTIMEDIATOR

Z uniwersalnym pilotem zdalnego sterowania Logitech® Harmony® 785 okiełznasz najbardziej skomplikowany system rozrywki domowej. Po prostu wciśnij przycisk „Watch a DVD" a Harmony® 785 automatycznie włączy Twój telewizor i odtwarzacz DVD, ustawi odpowiedni kanał oraz wciśnie Play. Kolorowe grafiki, ikony i teksty na ekranie wyświetlacza sprawiają, że obsługa Harmony® 785 jest dziecinnie prosta.
Sprawdź dodatkowe funkcje i możliwości urządzeń Logitech® na stronie internetowej: www.logitech.pl/harmony

Logitech
Designed to move you™

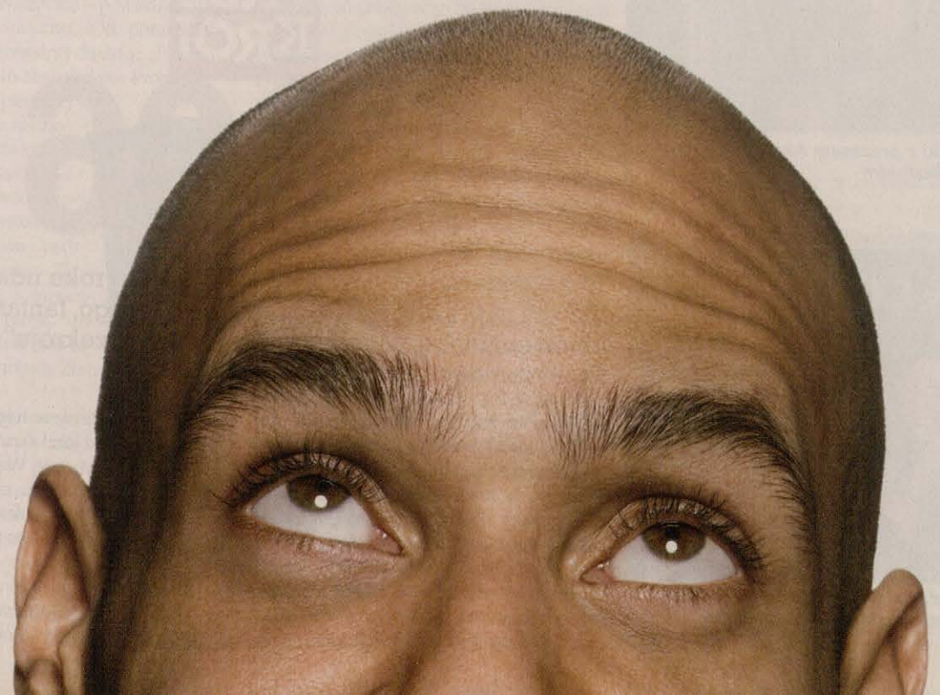

© 2006 Logitech. Wszystkie prawa zastrzeżone. Logitech, logotyp Logitech i inne znaki Logitech należą do firmy Logitech i mogą być zastrzeżone. Pozostałe znaki towarowe pozostają własnością odpowiednich podmiotów.

Mariusz Ziomecki, redaktor naczelny „Przekroju", i nagrodzeni fenomenalni: Jan Madey, Anna Streżyńska, Manuela Gretkowska z córką Polą, Kayah i Rafał Dutkiewicz

Mariusz Ziomecki z prezesem Axela Springera Wiesławem Podkańskim

Wiceprezes wydawnictwa Edipresse Ewa Redel-Bydłowska z Karoliną Korwin-Piotrowską

FENOMEN PRZEKRÓJ 2006

To nagroda dla tych, którym w minionym roku udało się zrobić coś naprawdę dobrego – fascynującego, fantastycznego, fenomenalnego. W tym roku redakcja „Przekroju" przyznała „Fenomeny" już po raz trzeci

Ta nagroda jest tak ciężka, jak ciężko ją zdobyć – powiedziała Kayah, odbierając w miniony poniedziałek Fenomena za osiągnięcia 2006 roku. Tym razem nie jako piosenkarka, ale założycielka firmy fonograficznej Kayax, która promuje młode polskie talenty.

Fenomeny zrodziły się, gdy „Przekrojowi" stuknęło 60 lat. Uznaliśmy wówczas, że tak sędziwa rocznica pozwala na ocenianie innych. Pierwsze nagrody otrzymali arcybiskup lubelski Józef Życiński, muzyczna rodzina ojciec i synowie Wąglewscy, najmłodszy, niepełnosprawny zdobywca biegunów Jan Mela oraz profesor Magdalena Fikus, współtwórczyni festiwalu nauki. Tak było w 2005 roku.

W 2007 roku na gali „Przekroju" w Teatrze Narodowym w Warszawie zebrało się kilkaset osób. W tym 15 nominowanych, spośród których redakcja wybrała pięciu laureatów. Szóstego wytypowali sami czytelnicy. Czytelniczym fenomenem został bohater Rospudy i niezmordowany pasjonat przyrody, który od lat najstraszniejszą ortografią dyslektyka pisze najlepsze teksty o naturze w „Gazecie Wyborczej". Krótko mówiąc: Adam Wajrak.

– Ja dałem tylko twarz. Ta nagroda musi trafić do Rospudy – powiedział Wajrak w przekazie telewizyjnym transmitowanym prosto z Doliny Rospudy, o którą walczy wraz z ekologami. Wajrak był jedynym laureatem, który nie odebrał statuetki osobiście.

Oprócz Wajraka i Kayah z Fenomenami wrócili w tym roku do domu także pisarka Manuela Gretkowska – za zaangażowanie artystycznej weny do polityki i założenie pierwszej w Polsce Partii Kobiet – oraz prezes Urzędu Telekomunikacji Elektronicznej Anna Streżyńska uhonorowana za coś, czego nie udało się zrobić żadnemu z jej poprzedników – obronę zwykłego człowieka przed firmami telekomunikacyjnymi i ich słonymi rachunkami.

Tegoroczne Fenomeny otrzymali również profesor Jan Madey, który na Uniwersytecie Warszawskim stworzył kuźnię talentów informatycznych, oraz Rafał Dutkiewicz, prezydent Wrocławia, jakiego pozazdrościć może Wrocławiowi każde z polskich miast.

– Ulubione przysłowie wrocławian brzmi: Będzie dobrze – powiedział, odbierając Fenomena i przyznając, że optymizmu uczył się właśnie dzięki „Przekrojowi". – A konkretnie, rozwiązując jego krzyżówki. Dzięki nim nauczyłem się, że Wolski miał na imię Natenczas – powiedział, wywołując salwy śmiechu. Od poniedziałku w naszej fenomenalnej drużynie „Przekroju" gra więc już 16 zawodników. Prócz tegorocznych i tych z pierwszej edycji jest też szóstka uhonorowana Fenomenem rok temu: satyryk Szymon Majewski, były przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego Marek Safjan, twórca Skype'a Niklas Zennström, aktorka i piosenkarka Maria Peszek, pisarz Eustachy Rylski oraz organizacja wolontariuszy Ziemona Akcja.

– Dzięki takim ludziom w dzisiejszym plastikowym świecie powstają rzeczy odważne i prawdziwe – powiedziała prowadząca tegoroczną galę Fenomenów Karolina Korwin-Piotrowska.

APA

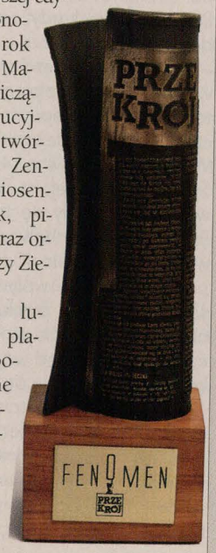

Kayah i Tomik Grewiński stworzyli nowy na polskim rynku model wytwórni płytowej

Kuźnia nowej muzyki

Do niedawna nikt nie sądził, że niezależna firma płytowa KAYAX stanie się czymś więcej niż wydawcą płyt Kayah. Teraz to największa siła promująca nowych polskich twórców muzyki popularnej

Jeszcze trzy lata temu, gdy wychodziły pierwsze płyty z logo Kayax, firma zajmowała ciasną kawalerkę i zatrudniała cztery osoby, wliczając w to dwie najważniejsze – Kayah i jej długoletniego menedżera Tomika Grewińskiego. Dziś ludzi jest trzy razy tyle, przestrzeń biurowa sześć razy większa, a marka Kayaksu już pewnie z dziewięć razy silniejsza. Świadczy o tym rekordowa liczba 14 nominacji do Fryderyków dla artystów Kayaksu za 2006 rok i aż 370 jeszcze nieprzesłuchanych płyt demo od wykonawców z całej Polski, które czekają w biurze firmy.

– Po doświadczeniach Kayah z dużymi wytwórniami stwierdziliśmy, że praca z nimi przynosi za dużo stresu i złych decyzji – tłumaczy dziś Grewiński decyzję sprzed kilku lat. – Kayax powstał więc po to, by wydawać albumy Kayah, ale chętnie wzięliśmy pod skrzydła parę ciekawych projektów z muzyką elektroniczną, na których uczyliśmy się wydawać płyty.

Tych kilka projektów dostało świetne recenzje w prasie, a cały pomysł promowania debiutantów okazał się ożywczy w bardzo ciężkim dla wielkich koncernów płytowych okresie. Przez ostatnie trzy lata Kayax zanotował i sukcesy sprzedażowe (88 tysięcy sprzedaży płyty Krzysztofa Kiljańskiego, 33 tysiące – Marii Peszek, którą „Przekrój" nagrodził Fenomenem rok temu, 17 tysięcy Zakopowera, a ostatnio już 17 tysięcy Smolika), i artystyczne, wspomagając wykonawców związanych ze sceną elektroniczną i alternatywną (15 Minut Projekt, Envee, L. U. C., Novika) oraz wydając płyty kolejnych debiutantów (Sofa, Bisquit, Mosquitoo). Teraz podpisał zagraniczne umowy na dystrybucję muzyki z Kayaksu w postaci elektronicznej, tak by można ją było kupić wszędzie na świecie, choćby w serwisie iTunes.

Powstaje też drugi label – Kayaxcom, który zajmie się właśnie nowymi technologiami, a także składankami. Pierwszą ma być projekt muzyczno-społeczny, pionierska kompilacja z muzyką o otwarcie gejowskim klimacie i pod prowokującym tytułem – „Music for Boys and Gays".

Kayah jest twarzą, rzecznikiem firmy, agentką PR, która przy każdej okazji wspomaga wykonawców Kayaksu. Odpowiada też w dużej mierze za kreatywną stronę działalności. Interesy prowadzi Tomik, a strategiczne decyzje podejmują razem. – Płyta, którą wydajemy, musi nam się podobać i być dobra artystycznie. Jesteśmy skłonni promować raczej talent niż produkt – mówi Tomik. – Jeśli mamy do wyboru projekt, na którym możemy doraźnie zarobić, ale który nam się nie podoba, a dostawaliśmy już takie propozycje, to wolimy artystę, w którego warto zainwestować na lata.

BACH

PRZE KRÓJ

Informatycy made by Madey

Niegdyś słynęliśmy z polskiej szkoły matematyki. Dziś dzięki profesorowi JANOWI MADEYOWI zaczęliśmy produkować wybitnych informatyków, o których głośno jest na całym świecie

Profesor Madey tydzień zaczyna od wejścia na stronę internetową konkursu TopCoder. Tu aktualizowany jest ranking najlepszych uczelni kształcących informatyków. I od 9 lutego 2005 roku profesor co tydzień oddycha z ulgą. Uniwersytet Warszawski wciąż jest na pierwszym miejscu. Wysoka pozycja młodych studentów z Warszawy to w znacznej mierze jego zasługa.

Triumfalna droga do sukcesu zaczęła się 14 lat temu. To był znamienny rok dla światowej informatyki. Pojawiła się pierwsza graficzna przeglądarka WWW o nazwie Mosaic, a w Polsce na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego uruchomiono pierwszy serwer WWW. W budynku obok, w Instytucie Informatyki, profesor Madey usłyszał od wykładowców z Politechniki Poznańskiej o Mistrzostwach Świata w Programowaniu Zespołowym (ACM) – konkursie dla studentów informatyki.

Polacy w tak prestiżowej imprezie nie brali udziału jeszcze nigdy. Madey, który przez blisko 10 lat pracował w Stanach i Europie Zachodniej, wiedział, że tego typu konkursy doskonale potrafią pomóc w pogłębianiu

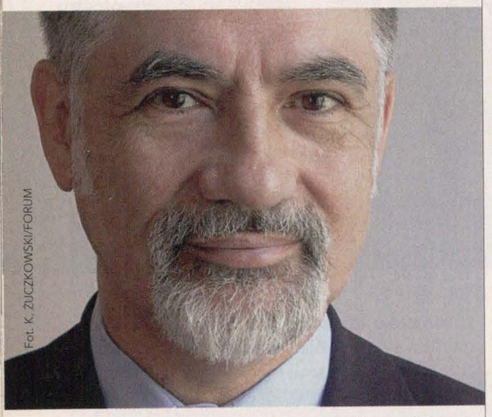

Fot. K. ŻUCZKOWSKI/FORUM

Sukces Madeya to sukces jego wychowanków

wiedzy teoretycznej. Postanowił więc spośród najlepszych studentów wybrać trzyosobowy zespół i pojechać z nim do Amsterdamu. Ku zaskoczeniu wszystkich polska drużyna konkurs wygrała. Od tamtej pory studenci UW coraz częściej wracają z zawodów w sławie.

Wygrane zespołów kierowanych przez Madeya wzbudziły chęć rywalizacji na innych uczelniach. W ślady UW poszły szybko uniwersytety Wrocławski, Jagielloński i Politechnika Poznańska. Obudził się również świat biznesu. – Zaczęło się wręcz mówić o polskiej szkole informatyki – zauważa Adam Góral, prezes zarządu firmy Asseco, jednego z największych dostawców oprogramowania dla sektora bankowego w Polsce. – A właściwie powinno się mówić o szkole Madeya, bo on nie tylko przygotował tych młodych ludzi, ale dzięki bardzo zręcznemu ich promowaniu nagłośnił ich sukcesy. To dzięki niemu nie zostały one zaprzepaszczone.

Sukcesy wychowanków Madeya coraz częściej przyciągają firmy zagraniczne. Google, które otworzyło w Krakowie centrum badań, zdecydowało się na taką lokalizację po kolejnym sukcesie jednego z wychowanków Madeya – Tomka Czajki, który zwyciężył w europejskim konkursie Google Code Jam. O możliwość sponsorowania warszawskich zespołów zaczęli się też bić tacy giganci, jak: Yahoo, Microsoft czy Sun Microsystems.

– To nie jest tak, że nagle objawiły się nam złoża talentów – tłumaczy Madey. – O wszystkim zdecydowała przemyślana organizacja.

Jej podstawą jest system wyłaniania młodych talentów. Tych Madey szuka razem z Krajowym Funduszem na rzecz Dzieci, w którym działa od ponad 20 lat. Młodzi są też wyłapywani na olimpiadzie informatycznej dla uczniów szkół średnich oraz towarzyszących jej konkursach. Najlepszych szybko wyłuskuje Uniwersytet Warszawski, proponując wstęp na uczelnię bez egzaminów.

– Profesor Madey jest nieoceniony organizacyjnie – opowiada profesor Krzysztof Diks, który pracuje razem z Madeyem od 10 lat i wspólnie z nim opiekuje się zawodnikami. – To on jest naszym kierowcą. I w przenośni, i w praktyce, bo potrafi nawet usiąść za kierownicą wynajętego za własne pieniądze mikrobusu i jak chłopaki chcą, zabrać ich do jakiejś restauracji czy parku rozrywki. W ten sposób dba o ich dobre samopoczucie.

Dziś wychowanków Madeya można znaleźć na najbardziej prestiżowych uczelniach i w największych firmach świata. Większość jednak, tak jak Diks, który 30 lat temu także uczył się u Madeya, wybiera karierę w Polsce. Jeden ze studentów Madeya, Andrzej Gąsienica-Samek, jeszcze w czasie studiów został dyrektorem laboratorium badawczo-rozwojowego firmy Comarch.

Madey uważa, że jego największym sukcesem naukowym są właśnie sukcesy jego byłych studentów. I choć z pewną melancholią wspomina wypracowane przez siebie metody nauczania pierwszych ważnych w dydaktyce języków programowania – Algol 60 i Pascal – to i tak zaznacza: – Moi studenci już dawno mnie w kwestiach naukowych przerośli, więc teraz ja jestem od tego, by im ich możliwości pomóc wykorzystać.

SYLWIA CZUBKOWSKA

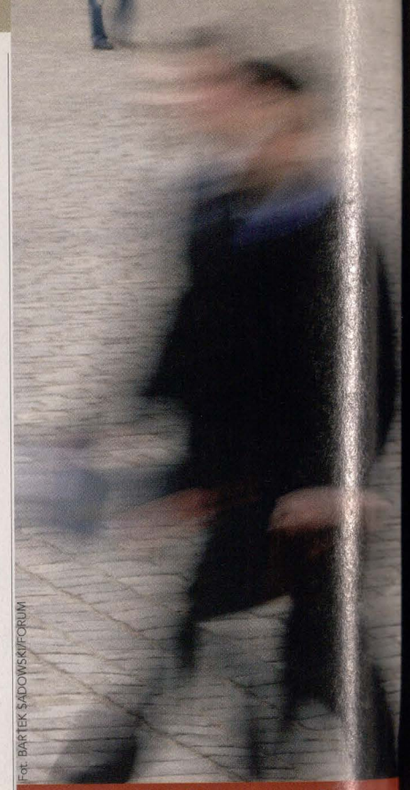

Fot. BARTEK SADOWSKI/FORUM

Warto być normalnym

Na tle innych polityków największym atutem RAFAŁA DUTKIEWICZA jest to, że to po prostu normalny facet, i ludzie to kupują

Rafał Dutkiewicz sam w sobie jest fenomenem. To chyba jedyny polityk, który potrafił wypracować sobie taką pozycję, że w ostatnich wyborach na urząd prezydenta Wrocławia poparły go: PO, PiS, SdPl, a nawet Samoobrona, a ludzie dali mu 85-procentowy kredyt zaufania. Startował, bo dokonał rzeczy jeszcze bardziej fenomenalnej – dotrzymał obietnicy wyborczej. Kiedy w 2002 roku po raz pierwszy został prezydentem Wrocławia, zapowiedział, że będzie walczył o drugą kadencję, jeśli bezrobocie we Wrocławiu spadnie z 14 poniżej 10 procent. Spadło. Co więcej, na liście wrocławskich inwestorów znalazły się takie giganty, jak: LG Philips, Siemens, Volvo, 3M, HP i Toshiba, a w mieście powstało 40 tysięcy nowych miejsc pracy. W efekcie wpływy do miejskiej kasy wzrosły w ciągu pięciu lat z niewiele ponad miliarda złotych do 2 miliardów 700 tysięcy złotych. Dziś pod względem inwestycji tylko Warszawa rozwija się szybciej.

O stosowanych przez Dutkiewicza przy rozmowach z inwestorami marketingowych fortelach i sztuczkach krążą już legendy. Zapytany o to, na czym opierała się tajemnica sukcesów w tej dziedzinie, odpowiedział lakonicznie: „na przejawianiu optymizmu". Nie dodał

Dutkiewicz przez 10 lat szefował firmie headhunterskiej. Dzięki temu nauczył się dobierać ludzi bez partyjnego klucza

tylko, że w odróżnieniu od sporej grupy polskich polityków może emanować tym optymizmem dzięki świetnej znajomości języka niemieckiego i nie gorszej angielskiego. – Dutkiewicz to niezwykły facet z darem od Boga do zjednywania sobie ludzi. Zaczyna rozmowę, a po chwili rozmawia z człowiekiem, jakby znał go od lat. A przy tym jest niezwykle elastyczny. Trafia zarówno do żużlowców, jak i akademickich profesorów – mówi Ryszard Czarnecki, eurodeputowany Samoobrony i były rywal Dutkiewicza w walce o fotel prezydenta.

Dutkiewicz rządzi normalnie. Bez skandali korupcyjnych, spektakularnych wpadek ani zbytniego przepychu. Przez pierwsze dwa lata miasto zaciskało pasa, bo zadłużenie zbliżało się do czerwonej kreski 60 procent. Dutkiewicz nie bał się jednak niepopularnych cięć w szkolnictwie czy w wydatkach na pomoc socjalną. W efekcie udało się zredukować dług miasta poniżej 30 procent, a w 2006 rok wejść z nadwyżką w budżecie wynoszącą 238 milionów złotych. Dzięki temu, gdy pojawiły się naprawdę duże pieniądze z UE, Wrocław stać na wymagany przy unijnych projektach wkład własny.

Roman Gutek, który jak sam twierdzi, potrzebował aż 15 minut, żeby całkowicie ulec urokowi włodarza Wrocławia, kojarzy go z postaciami z filmów Herzoga. – Myślę, że najbardziej przypomina mi bohatera „Fitzcarraldo", który chciał zbudować operę w dżungli. Obydwaj mają równie śmiałe i szalone pomysły. Fitzgerald opery nie zbudował i mam nadzieję, że tym się różnią – mówi Roman Gutek.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Bóg, szatan, Manuela

MANUELA GRETKOWSKA, tworząc pierwszą w Polsce Partię Kobiet, sprawiła, że prawa polskich kobiet będą wreszcie mogły na serio zaistnieć w świadomości polityków

Gretkowska 20 lat temu: jasnowłosa studentka filozofii, z nieodłącznym plecakiem. – Wulkan. Zmysłów i umysłu – mówi o niej jeden z jej ówczesnych przyjaciół. – Cokolwiek bym o niej chciał powiedzieć, od razu włącza mi się autocenzura. Pamiętam tylko, że odkryliśmy, iż jej imię ma wyjątkowe znaczenie. Po hebrajsku znaczy: Bóg z nami.

Bóg przy Manueli wówczas z pewnością był. Ale niewątpliwie był również szatan. W tamtym czasie Gretkowska – sama to dziś przyznaje – nie przywiązywała się zbytnio do rzeczywistości. Rzeczywistość bardziej ją irytowała. Pisała ostre wiersze publikowane w obrazoburczym, anarchizującym piśmie „bruLion". Pojawiała się na ulicznych demonstracjach i buntowała się przeciw władzy, jak dziś twierdzi, przede wszystkim przeciw jej głupocie i agresji.

Napisała wówczas na krakowskim murze „Strzelaj albo emigruj". Wolała emigrować. Najpierw do Francji, gdzie zamieszkała z ówczesnym mężem Cezarym Michalskim, podobnie jak ona związanym z „bruLionem", obecnie zdeklarowanym prawicowcem i wicenaczelnym „Dziennika". Dziś, gdy pytamy Gretkowską o tamten związek, odpowiada, że nie chce mówić o kimś, kto jest dla niej obcym człowiekiem o obcych jej poglądach.

We Francji Gretkowska niańczyła cudze dzieci i sprzątała cudze mieszkania, studiowała antropologię i wieczorami pisała. Najpierw „My zdies' emigranty" (dobrze przyjęty debiut prozatorski), potem kolejne powieści, z których przebijała fascynacja gnozą i kabałą. I erotyką. A potem? Potem był rozwód, powrót do rodzinnego kraju, kariera – została zastępcą redaktor naczelnej „Elle", wreszcie dyrektorem literackim pisma. Pisała felietony do „Wprost", „Polityki" i „Machiny". I znów wyemigrowała. Tym razem do Szwecji. Stawała się coraz bardziej popularna, kolekcjonowała coraz więcej literackich i nie tylko literackich skandali. Jak rzadko kto zirytowała krytykę scenariuszem „Szamanki", wyreżyserowanej przez Andrzeja Żuławskiego opowieści o kobiecie, która wyżera mózg ukochanemu mężczyźnie, a potem „Namiętnikiem", po którym oskarżono Gretkowską o... szerzenie pornografii.

Gretkowska zawstydza, obrzydza i wstrząsa – pisali recenzenci. Owszem, wstrząsnęła publicznym radiem i publiczną telewizją. Na antenie Trójki wdała się z Wojciechem Mannem w rozmowę o orgazmie, a w „Pegazie" z Kazimierą Szczuką prowadziła gorącą dyskusję na tematy waginalne. Efekt? Szczuka straciła posadę w „Pegazie", a Gretkowska stała się dla publicznych mediów persona non grata. W 2006 roku stała się nią także dla miesięcznika „Sukces". Jej krytyczny felieton o braciach Kaczyńskich dziennikarze miesięcznika wespół z jego biurem marketingowym pod osłoną nocy wycinali z całego nakładu gazety nożykami do tapet.

Kim jest Gretkowska dzisiaj? Co ją wyróżnia? Siwe włosy, szczęśliwy związek z mężczyzną, macierzyństwo? Nowe i stare etykietki: matka Polka i matka pięcioletniej Poli, katoliczka, skandalistka, feministka? Co właściwie się stało, że pod koniec ubiegłego roku napisała w „Przekroju" manifest w obronie kobiet pod znaczącym tytułem „Dość upokorzeń"? – Zrobiłam to, bo podobnie jak 20 lat temu polityka wdarła się teraz w moje życie, nie pytając o pozwolenie – przyznaje pisarka. W efekcie Gretkowska założyła pierwszą w Polsce Partię Kobiet. Postulaty partii są proste i nie dotykają kwestii kontrowersyjnych. – Ta formacja pozwoliła dojść do głosu kobietom, a pozwoli, mam nadzieję, zawalczyć o najważniejsze dla nich prawa – przede wszystkim o prawo do godności – mówi znana fotografka Lidia Popiel, która zdecydowała się poprzeć partię Gretkowskiej.

ANNA SZULC

Fot. K. ŻUCZKOWSKI/FORUM

Partia Gretkowskiej zamierza łączyć, a nie dzielić, więc aborcją na pewno zajmować się nie będzie

Prezes od zbijania cen

ANNA STREŻYŃSKA objęła stanowisko szefa Urzędu Komunikacji Elektronicznej rok temu, a dziś drży przed nią cały rynek telekomunikacji warty sto miliardów złotych rocznie

Anna Strężyńska uważa, że właśnie teraz przyszła pora, by zrobić coś dla innych

Fot. ALINA GAJDAMOWICZ/AGENCJA GAZETA

Dzisiaj (a właściwie wczoraj, bo zaczynałam pisać przed północą i niepostrzeżenie nadszedł nowy dzień) minął rok, jak premier Kazimierz Marcinkiewicz (...) powierzył mi pełnienie obowiązków prezesa UKE. (...) Myślę, że to dobry moment na rozpoczęcie pisania bloga" – napisała 15 stycznia 2007 roku Anna Strężyńska. Do blogowania namówiły ją córki. „Ten blog będzie jeszcze jednym kanałem informacyjnym, ponieważ jest ważne, żeby tłumaczyć ludziom, co się robi za ich pieniądze" – wyjaśnia pani prezes.

I pisze, że jej praca to zbijanie cen za usługi telefoniczne, pocztowe i internetowe oraz zapewnienie klientom ochrony takiej, by w obliczu wielkich firm nie czuli się bezradnie.

Przez rok prezesury Strężyńskiej wpłynęło do UKE (i zostało załatwionych) 10 tysięcy skarg. To 50 spraw dziennie: od zawyżanych rachunków telefonicznych po podstępne kruczki zawarte w umowach. – Przyrost jest lawinowy, bo klienci przekonali się, że na odpowiedź nie czeka się już miesiącami, ale kilka dni. Chyba że sprawa jest wyjątkowo pogmatwana. Żadnej jednak nie odkładamy na bok – zapewnia Strężyńska.

Sama czyta 200 maili od klientów dziennie. – To moja wiedza o rynku. Jego rzeczywistych problemach zmuszających do szukania rozwiązań – mówi.

Rynek zna jednak od podszewki, bo miała własne firmy. W jednej doradzała operatorom telekomunikacyjnym w walce z konkurentami oraz z urzędem, którego obecnie jest prezesem. UKE nie miał przed nią wielu tajemnic – przyjęcie posady było więc tylko przejściem na drugą stronę lustra.

Inna firma Strężyńskiej zajmowała się analizowaniem prawnych rozwiązań telekomunikacyjnych w Polsce i na świecie, organizowaniem konferencji, publikacjami. Anna Strężyńska była też wtedy redaktorem kwartalnika „Prawo i Ekonomia w Telekomunikacji". Do tego należy dodać trzyletnie doświadczenie pracy w Ministerstwie Łączności za rządu Jerzego Buzka oraz trzy lata pracy w Urzędzie Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

– Najważniejsze to być blisko rynku, wiedzieć, co się na nim dzieje. Wyznaję zasadę, że po trzech latach każdy urzędnik powinien być obowiązkowo wykopany na zewnątrz, żeby zobaczył, jak jego decyzje działają w praktyce – opowiada pani prezes. – Zdarza się, że głupio podjęta decyzja administracyjna daje efekt kuli śnieżnej. Staje się groźna. Mam nadzieję, że i mnie ktoś stąd wyrzuci za dwa lata, bym otrzeźwiała i na wszystko spojrzała rynkowymi oczami.

Do partii nie należy, ale po ogłoszeniu wyników wyborów w 2005 roku piła szampana. – Poczułam, że teraz coś będzie można zrobić dla kraju – tłumaczy.

Za największy sukces roku swej prezesury uznaje oddzielenie usługi internetowej od abonamentu w TP SA. Dzięki temu nie trzeba już wykupywać abonamentu telefonicznego w Telekomunikacji Polskiej, by korzystać z dostępu do sieci. Wpłynęło to na obniżkę cen Internetu – w przypadku TP SA nawet o 70 procent. To z kolei wymusiło niższe stawki u innych operatorów. Dziś „trzy w jednym", czyli abonament telefoniczny, telewizję kablową i dostęp do Internetu, można mieć już za niespełna sto złotych. – I na tym nie koniec – zapowiada Strężyńska.

Zasłynęła jako prezes nakładający na niepokornych operatorów kolosalne kary. Tele2 za wprowadzanie w błąd klientów przy podpisywaniu umowy dostało w sumie milion złotych kar. TP SA za blokowanie rozdzielenia usług telefonicznych i internetowych sto milionów złotych.

– Regulator musi być kimś, kogo się boi rynek. Tu zresztą nie tyle chodzi o strach, ile o przekonanie, że istnieje gospodarz, który ustala reguły i od nich nie odstępuje – mówi Strężyńska.

Komentujący jej blog ludzie piszą, że jest pierwszym prezesem, którego znają z nazwiska. Nie brakuje jednak i takich, którzy twierdzą, że nie lubi TP SA, bo pracownica tej firmy odbiła jej męża.

„Miałam w życiu tylko jednego męża i mam go do tej pory (już 15 lat), jeszcze ode mnie nie uciekł, chociaż nie jest mu chyba łatwo utrzymać wszystkie sprawy domowe na swojej głowie" – odpowiada na blogu Strężyńska.

Nam dodaje, że gdyby nie mąż, który zrezygnował z pracy, by ona mogła pracować przez siedem dni w tygodniu, to „jej prezesowanie wzięłoby w łeb". – Do mnie – dodaje – należy teraz tylko pranie i zajmowanie się ogrodem, bo to moja pasja.

Rezygnacja męża Anny Strężyńskiej z kariery zawodowej to niejedyna cena, jaką płaci jej rodzina. Gdy na blogu napisała, że dzieci mają się dobrze, starsza, 14-letnia Julka, zapalona blogowiczka, odpisała: „wcale nie".

– Odkryłam ten wpis po paru dniach – przyznaje pani prezes. – Wiem, że Julka i młodsza od niej o rok Emilka mają niedosyt mamy. Czuję, że coś mi ucieka, a mimo to wierzę, że warto podjąć obecne wyzwanie. Każdy ma w sobie naturalną potrzebę zrobienia czegoś dla innych i zaznaczenia swojej obecności na świecie.

ALEKSANDRA PAWLICKA

Fenomenalna!

Domowa Smaczna Zupa na wynos. Do kubka.

CHORZY ze strachu

Fot. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

Profesor Wojciech Noszczyk, 72 lata, wybitny specjalista chirurgii naczyniowej, kierownik I Kliniki Chirurgii Ogólnej Akademii Medycznej w Warszawie oraz Kliniki Chirurgii Naczyniowej Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, redaktor naczelny „Polskiego Przeglądu Chirurgicznego". Żonaty z aktorką Grażyną Staniszewską. Wybitnym chirurgiem był też jego ojciec, ten sam zawód wykonują dwaj bracia profesora oraz dzieci. „Państwo Noszczykowie i ich dzieci to taka rodzina, o której chytrzy Anglicy zaraz nakręciliby sagę" – podsumowała kiedyś Agnieszka Osiecka.
Jest autorem podręczników chirurgicznych, jego pasją jest też historia chirurgii – opublikował książki „Zarys dziejów chirurgii" i „O chirurgii polskiej końca XX wieku". Członek Polskiego Związku Kawalerów Maltańskich. Przeprowadził ponad 10 tysięcy operacji, operował wielu aktorów, polityków, księży, malarzy i pisarzy. Dzięki jego zaangażowaniu powstała „Lekcja anatomii, czyli spotkania z chirurgią", w której o swoich operacjach opowiadali między innymi: Erwin Axer, Bronisław Geremek, prymas Józef Glemp i Krzysztof Zanussi.

Rzucone publicznie przez władze oskarżenia wywołały psychozę strachu i zerwały niezbędną nić zaufania między pacjentami a lekarzami. Wybitny chirurg profesor WOJCIECH NOSZCZYK tłumaczy, w jaki sposób odpłatne leczenie zniwelowałoby korupcję

Jakie lęki towarzyszą chirurgowi?

– Większość chirurgów odczuwa jeden stały lęk – przed operacją, w czasie operacji i po operacji. Przed operacją, zwłaszcza wykonywaną w trybie nagłym, drżymy, czyśmy dobrze postawili diagnozę. Potem jest moment prawdy, kiedy otworzy się brzuch, klatkę piersiową i widać wtedy, czy rozpoznanie było trafne. Później – mówię o trudnych operacjach – w czasie operacji powstają pierwsze takie dziwne myśli, lęki: czy dobrze to zrobiłem, czy przez to przejdę, jak pokonam jakąś nieoczekiwaną trudność?

Największy lęk jest po operacji. Przychodzę do domu i ją analizuję, myślę ciągle o niej i wydaje mi się, że może ten szew niedobrze założyłem, a czy trzeba było to przecinać, czy nie lepiej byłoby dokładniej wypreparować? I z tym lękiem się człowiek budzi. Niezależnie od tego, ile lat już jest chirurgiem. Rano czeka już następny chory, ale jeszcze idzie się do tamtego i podejrzliwie patrzy, czy wszystko w porządku, czy nie ma niepokojących objawów. To silne i stałe lęki chirurga. Wydawałoby się, że w momencie pożegnania z chorym lęki ustępują.

Pożegnania, czyli kiedy?

– Pacjent idzie do domu, jest radość. Czasami chorzy reagują dziwnie, na przykład chcą w rękę pocałować chirurga. I ty jesteś przez chwilę zadowolony, ale zamykają się drzwi za jego plecami i myślisz tak: w pięciu procentach przypadków po tej operacji wystąpi takie i takie powikłanie w ciągu trzech miesięcy, a w 10 procentach powikłań jest tyle i tyle procent. Na przykład wszczepiamy protezę w tętnicę, to są takie najprostsze zabiegi. Ale ja wiem, że 15 procent w ciągu roku się musi zatkać, a u pięciu procent pacjentów dojdzie do zropienia tej protezy, a jak dojdzie do zropienia, istnieje groźba odjęcia kończyny. On tego nie wie, ja wiem, więc nawet w tych radosnych momentach jest lęk. Zawsze się niepokoimy.

A po tej sprawie z doktorem G. i po konferencji prasowej ministra Ziobry czegoś jeszcze się pan zaczął bać?

– Teraz już wszystkiego się boję. U mnie w klinice leżała, już odeszła, chora, która miała guz mózgu, była operowana przez

neurochirurgów i w czasie rehabilitacji, a była nieprzytomna, doszło do niedrożności jelit, kolejnych powikłań, musiałem ją operować. Okazało się, że ma liczne przerzuty. Później wystąpiła niewydolność krążenia. Nerki przestały pracować. Przyszło konsylium i ustaliliśmy, że trzeba dać jej godnie odejść, niech nie cierpi, nie przetaczajmy jej krwi, osocza, dajmy jej łagodnie umrzeć, złagodźmy tylko cierpienie. Ale wybuchła ta sprawa... Przez następne dni odżywialiśmy ją sztucznie, przetaczaliśmy jej krew i płyny, bezskutecznie walczyliśmy z nerkami, dlatego że się po prostu baliśmy, uznaliśmy, że lepiej przeczekać tę nagonkę. Odeszła sama kilka dni później.

Więc teraz decyzja o tym, kogo odłączyć od respiratora, stała się jeszcze trudniejsza, a zawsze była trudna.

Zawsze podejmuje ją konsylium?

– Nigdy sam chirurg nie podejmuje decyzji, zawsze to jest konsylium, ale konsylium zwołujemy dopiero wtedy, gdy jesteśmy przekonani, że nie możemy pomóc. Walczymy mimo wszystkich trudności, mamy za mało antybiotyków, nie ma krwi, nie ma pieniędzy na nic, ale jednak się tego chorego ratuje, gdy jest nawet najmniejsza szansa. My umiemy ocenić, kiedy jest ta szansa.

Nie boi się pan, profesorze, jeszcze czegoś, że w wyniku takiej właśnie konferencji prasowej i dosyć autorytatywnych twierdzeń medycznych – z ust nielekarzy, szefa CBA i ministra sprawiedliwości – co jest błędem lekarskim, pacjenci i ich rodziny mogą inaczej na was teraz patrzeć?

– To już się dzieje. Nagle zaobserwowaliśmy pewną agresję pacjentów, pacjenci nie dowierzają. W Polsce od lat jest pewna nieufność do lekarza, nieufność, którą sprowokowały kiedyś media, podważając zaufanie do lekarzy. W latach 70. byłem biegłym w takiej sprawie: chirurg na prowincji wyciął zamiast wyrostka fragment jelita, bo miał niezwykłą sytuację – wszystko było zrośnięte razem – ale połapał się w czasie operacji, popełnił błąd, ale się połapał. Odtworzył ciągłość jelita, wszystko opisał dokładnie w książce operacyjnej i powiedział rodzinie chorego. Chory poszedł do domu i wytoczono chirurgowi proces. Przegrał pierwszy proces. I potem się zaczęła gehenna kolejnych procesów. Co rok ukazywały się wiadomości „chirurg popełnił błąd", choć chodziło cały czas o tę samą sprawę. Wtedy media podważyły autorytet lekarzy, a przecież już i tak u każdego pacjenta jest absolutnie zrozumiały lęk przed operacją, zrozumiałe są jego wątpliwości. I my musimy umieć pokonać te lęki. A dzisiaj, po tej całej sprawie, pacjenci stali się bardzo nieufni.

W jakim sensie?

– Wielu pacjentów już nie pyta „a dlaczego?", „a co to będzie?", tylko mówią tonem podniesionym, są podekscytowani i – wiem to z naszego ambulatorium – pytają: ale czy wy umiecie, czy wy na pewno tak zrobicie? To już nie jest niepewność, to strach. Z rozmów z kolegami wiem, że tak jest wszędzie, w całej Polsce. A wynik będzie taki, że coraz więcej chorych będzie szło najpierw do znachorów, szarlatanów, oszustów, których są tysiące. Podważenie zaufania do lekarzy jest straszną rzeczą dla lekarzy, ale przede wszystkim dla zdrowia pacjentów.

Ale gdyby rzeczywiście trafił się lekarz, który by w sposób opisywany przez ministra Ziobrę postępował, czyli zabijałby pacjentów z chęci zysku...

– Absurdalne.

Nie wierzy pan w taką możliwość?

– Nie, to absurdalne.

A statystyka?

– Jaka statystyka?

Że w każdej grupie zawodowej może się ktoś taki trafić?

– Nie, nie, nie pacjenta! On może żonę zamordować, w to mogę uwierzyć, kolegę chirurga, ale żeby zamordował pacjenta?! – nie. Poza tym technicznie to jest niemożliwe, bo my działamy w zespołach, przecież nikt sam nie operuje, nikt sam nie odłącza respiratora. Wszyscy wszystko widzimy. Chirurg może popełnić błąd, może próbować ukryć ten błąd, w to mogę uwierzyć i że to może się odbić na życiu pacjenta.

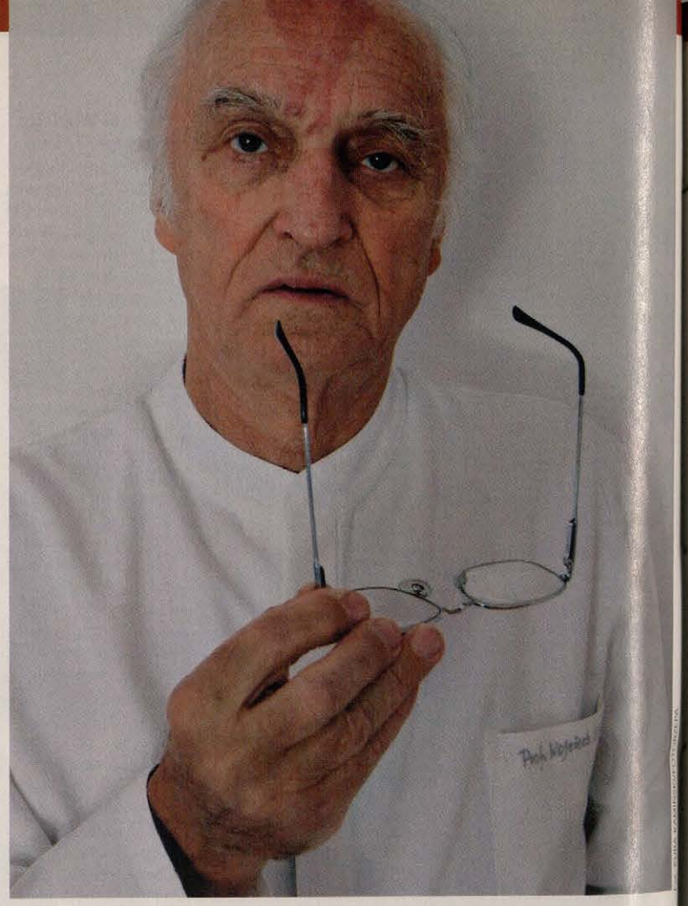

Co to jest błąd?

– To jest postępowanie niezgodne z dzisiejszym stanem wiedzy medycznej.

Czy można popełnić niekaralny błąd medyczny, na przykład wtedy, gdy się nie zna aktualnego stanu wiedzy medycznej?

– Chirurdzy znają ten stan. Czytają. Uczą się stale. Trzeba pamiętać, że najpierw nad młodym chirurgiem stoją starsi, którzy kontrolują jego wiedzę, a jeszcze wcześniej on się od nich latami uczy. Nikt mu nie da operować, jeśli przedtem przez kilka lat nie będzie stał przy stole operacyjnym i patrzył, i patrzył. I przychodzi moment, kiedy doświadczeni chirurdzy mówią: „tak, on już może sam operować". Zdaje swoje egzaminy i wtedy staje się samodzielny. Ale od tego momentu na niego patrzą ci młodsi. To nie jest tak, że ja sobie wezmę pacjenta, zamknę się z nim w kuchni i będę robił z jego klatką piersiową, sercem, tętnicami, co chcę. Na mnie patrzy zawsze kilka osób. Mogę próbować ukryć błąd, ale to jest bardzo trudne – takie postępowanie z trudnością mogę zrozumieć. Natomiast absolutnie nigdy nie uwierzę, że lekarz celowo popełnia błąd, nie mówiąc już o zabójstwie.

Wasze środowisko od lat oskarżano o to, że błędy sobie nawzajem tuszujecie.

– Nie mogę zgodzić się z tym, że tuszujemy. Zresztą odkąd działają izby lekarskie, kontrola naszej pracy jest o wiele, wiele większa.

Ale procent lekarzy skazanych za błąd lekarski przed izbami jest bardzo nikły w stosunku do liczby spraw.

– Oczywiście, bo oskarża się o byle co. Dam kolejny przykład. Chory przychodzi do mojego zespołu, moich kolegów, z niedrożnością jelit. I operujemy go siedem razy. Siedem razy! Bo zawsze były powikłania i naprawdę nie z naszej winy. Uratowaliśmy mu życie, ale został mu taki kilkunastocentymetrowy kawałek jelita. I on do końca życia będzie musiał odżywiać się w dużym stopniu pozajelitowo. Po siódmej operacji, kiedy on się już poczuł zupełnie dobrze, zaistniał problem żywienia pozajelitowego. I wtedy się zwróciliśmy do specjalistów od żywienia pozajelitowego, żeby go przejęli. Przez tydzień go wyprowadzili i został na tym żywieniu. On nas nie oskarża o to, że go siedem razy operowaliśmy, tylko że posłaliśmy go do specjalistów od żywienia za późno. Więc jest oskarżenie. Zbiera się kilkakrotnie sąd lekarski i mówi mu: nie, oni posłali wtedy, kiedy byłeś wygojony, kiedy trzeba było ci ustawić to jedzenie. Ale chory tego nie rozumie. Ma pretensje, że za późno skierowaliśmy go na żywienie pozajelitowe. Biegli stwierdzili, że nie popełniliśmy błędu. To drastyczny przypadek. Mniej drastycznych przykładów są dziesiątki. Na pewno są błędy i na pewno nie ma nieomylnych. Ale skala wizyt rocznie...

A jak dalece lekarz powinien odpowiadać za swój błąd, jeśli go naprawdę popełni? Tylko finansowo, zawodowo czy też kodeks karny – z karami więzienia – powinien być w użyciu?

– Kodeks karny to powinien wkroczyć wtedy, kiedy działając niezgodnie z zasadami wiedzy i sztuki, lekarz narusza nieumyślnie przepisy karne chroniące życie i zdrowie człowieka.

Słuchał pan tej pierwszej konferencji ministra Ziobry?

– Słuchałem.

I co pan myślał, jak on wypowiadał te najmocniejsze zdania?

– Dosłownie nie powiem. To było oburzające, najdelikatniej mówiąc. Zrobił wielką krzywdę społeczeństwu, relacjom między lekarzem a pacjentem. Zadał cios w niezwykle czułe miejsce, jakim jest relacja pacjent–lekarz, pozbawił lekarzy zaufania ludzi. To jest straszne. Użył określenia „nikt nigdy nie będzie już pozbawiony życia przez tego pana".

Środowisko lekarskie spotkało się potem z ministrem. O czym rozmawialiście?

– Po pierwsze, minister się spóźnił, ale trudno, można zrozumieć. Potem mówił tak długo, a powiedziano nam, że ma tylko dwie godziny, że mogli się wypowiedzieć tylko prezesi Izby Lekarskiej i Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, specjalista od przeszczepów serca i ktoś jeszcze, bo już nie było czasu. Minister mówił o nieumyślnym morderstwie i podał taki przykład, że ktoś się mści na sąsiedzie w ten sposób, że postanawia podpalić mu dom. Podpala go, a w domu leży staruszka, która ginie w wyniku pożaru, i to jest nieumyślne spowodowanie śmierci, nieumyślne zabójstwo. I to porównał z zachowaniem aresztowanego lekarza.

Odniósł pan wrażenie, że on rozumie, o czym mówi, rozumie tę medyczną materię?

– Nie, on jej nie rozumie. Minister Ziobro... Byłem nim zachwycony, od momentu kiedy premier Miller powiedział mu: „pan jest ministrem". Miałem dla niego szacunek i sympatię od chwili, kiedy wygrał z panią Błochowiak. Byłem tym zdumiony, myślałem: przed tym człowiekiem przyszłość, takich trzeba nam więcej. Później, jak zaczął sprawy z adwokatami, kiedy było za dużo kryminału, kiedy ciągle były sensacyjne afery, a on gdzieś za tym stał, zacząłem do niego tracić zaufanie. A po tej ostatniej sprawie zupełnie je straciłem, bo on w dalszym ciągu nie jest w stanie powiedzieć: „przepraszam, zagalopowałem się", tylko ciągle, niby łagodząc, brnie w to. A przecież już wszyscy wiemy, że popełnił – oskarżając w ten sposób doktora G. – rzecz niewiarygodną po prostu.

Już od jakiegoś czasu jest oskarżany o to, że feruje wyroki na konferencjach prasowych, zanim procesy się odbędą, zanim nawet powstanie akt oskarżenia.

– Tak nie można. On tego chyba po prostu nie rozumie.

Media pytały CBA, dlaczego lekarz był skuty kajdankami podczas aresztowania przed kamerami. CBA tłumaczyło, że miał opinię agresywnego. Dobiegały do pana informacje, plotki o jego agresji?

– Podobno, jak teraz się publicznie mówi, kopnął kogoś w czasie operacji. To śmieszne. Ja nie znam chirurga, który się w czasie trudnej operacji nie denerwuje, jedni rzucają kurwami, inni narzędziami. I mnie się zdarzało narzędziem walnąć w podłogę, zdarzyło mi się, że instrumentariuszka wyszła, płacząc, ale nikt mi nie powiedział, że ja się zachowuję anormalnie. Na sali stres jest straszny i jeżeli ktoś poda nie to narzędzie, którego potrzebujesz, to trzaśniesz nim o podłogę. Wyjątki wśród chirurgów nie przeżywają napadów złości czy czegoś podobnego w czasie operacji, jak im nie idzie. Jak panu nagle krew tryska na sufit, a nie ma pan narzędzia, które jest potrzebne, i dostaje je pan trzy sekundy później, to pan może nie tylko wrzasnąć. I dlatego te zarzuty są tylko częściowo, według mnie, uzasadnione – że zmieniał pielęgniarki, był agresywny wobec asystentów. To taki zawód i różni ludzie różnie go odreagowują.

Podważenie zaufania do lekarzy jest straszną rzeczą dla lekarzy, ale przede wszystkim dla zdrowia pacjentów

Nadchodzi fala protestów lekarzy. Wasze poprzednie protesty większość społeczeństwa popierała. Ta sprawa może to poparcie osłabić?

– Boję się nawet pomyśleć, że te sprawy mogą mieć jakiś związek. Ale prawdopodobnie protestujący niedługo usłyszą, że kryli morderców. Jednak nie można przestać walczyć o lepsze płace dla lekarzy. Także w interesie pacjentów. Bo czy pan sobie zdaje sprawę, że chłopak, asystent, który skończył 10 lat temu studia, z doktoratem i specjalizacją, ma u mnie na rękę dwa tysiące? Jak on ma wyżywić rodzinę? A żeby się uczyć dalej – a jak panu mówiłem, lekarz uczy się całe życie – musi mieć na to pieniądze. Musi przyjechać na przykład do Warszawy i siedzieć dwa tygodnie na kursie specjalistycznym. Część może się dostać do Domu Lekarza, ale to tylko garstka. A książki? Kosztują. A języki? Jak ma nie być korupcji, jak nie ma z czego żyć?

Już najwyższy czas, żebyśmy wprowadzili częściową odpłatność. Powinno być tak, że jeżeli ktoś zarabia 10 tysięcy, to daje tysiąc, jeżeli ktoś zarabia tysiąc – daje sto złotych, jeżeli ktoś zarabia sto złotych – daje 10 złotych, ale wszyscy muszą się ubezpieczyć i dać odpowiedni do swoich zarobków procent. A słucham pana premiera i pan premier mówi, że nie dopuści, żeby chorzy byli różnie traktowani. Na całym świecie tak jest.

Jak by to wyglądało w mojej klinice? Człowiek, który płaciłby więcej, leżałby sobie w separatce, miałby telewizję, swój ustęp, może codziennie zmienianą pościel. To wszystko. Ale na to pan premier powie, że by był inaczej traktowany. Nie, proszę pana, bo te pieniądze, które byśmy od niego uzyskali, to włożylibyśmy nie do własnej kieszeni, tylko dali na tych, którzy nie płacą. Oni by mieli też częściej zmienianą pościel i też by leżeli – tyle że w pokojach trzyosobowych, i mieliby lekarstwa, których dzisiaj nie mamy. W skali naszego szpitala, jeżeliby było 10 pacjentów, od których mielibyśmy dodatkowe ubezpieczenie, to – jak obliczyliśmy – 30 miałoby wszystko za te pieniądze, które by z tamtymi przyszły. Pan premier mi na to powie: tak, ale by byli pierwsi operowani. Nie, bo na świecie obowiązuje bardzo prosta zasada – pierwszy musi być operowany ten, którego choroba zagraża życiu. I tu nie ma dyskusji.

A jeżeli stan wszystkich byłby podobny?

– To jest proste. Przy ratowaniu życia, przy przeszczepie serca, nerki, jeśli jest odpowiedni dawca, specjaliści kolejność umieją ustalić. Potem jest inna grupa chorych – nowotwory. I tu można ustalić kolejność, bo wielu musi mieć operację nie natychmiast, tylko szybko. I tu się może zdarzyć, że będzie szybciej przyjęty ten, co płaci, ale on wypadnie z kolejki, a jego pieniądze pójdą na innych i przyśpieszą ich leczenie. A na końcu są takie choroby jak żylaki. Chory może czekać pół roku, rok, więc ten, który będzie miał, zapłaci i będzie miał ją szybciej, ale nikomu nic się nie stanie. Bez takiego rozwiązania lub podobnych nigdy nie wyjdziemy z tej zapaści.

Panie profesorze, gdyby okazało się w toku długotrwałego procesu, że z tych, nazwijmy to, medycznych zarzutów doktor G. zostanie oczyszczony, to ma jeszcze szansę być chirurgiem?

– Nie, w Polsce nie, mimo że jest bardzo dobry. Już go zniszczyli, już to – niezależnie od wyroku – będzie się za nim ciągnęło w nieskończoność. A poza tym on psychicznie, według mnie, nie jest w stanie wytrzymać tego ciężaru. A to strata, bo jak słyszałem, to wybitny chirurg, a wszyscy wybitni są trudni charakterologicznie. Napada się na tych, którzy coś znaczą, dla popisu, dla pokazania się, żeby rzucić społeczeństwu ofiarę.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 23 LUTEGO 2007 R.

Huczne zapowiedzi, wątpliwe realizacje. Tylko zupełne oddanie premierowi trzyma w rządzie **ZBIGNIEWA ZIOBRĘ** – propagandzistę, który zdaniem wielu łamie konstytucję i powinien stanąć przed Trybunałem Stanu

Agnieszka Jędrzejczak
Sylwia Czubkowska
Grzegorz Rzeczkowski

ZIOBRO Jarosława

36 lat, absolwent prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, poseł, wiceminister sprawiedliwości, wreszcie minister tegoż resortu. Zbigniew Ziobro sprawnie pokonuje kolejne szczeble kariery

Kilka minut przed godziną 14 wkroczył (twardym krokiem) na salę konferencyjną (w blasku fleszy) i zaczął snuć opowieść „o wstrząsających szczegółach sprawy", którą spuentował metaforą o złu „żerującym na ludzkiej nadziei". Tym złem był wyprowadzony dwa dni wcześniej w kajdankach ze szpitala MSWiA kardiochirurg Mirosław G. Media żądne konkretów (na czym polegał mechanizm łapówkarski lub jak mocne są dowody winy) dowiedziały się na konferencji w siedzibie Centralnego Biura Antykorupcyjnego, że ich pytania są niestosowne i mogłyby doprowadzić do zakłóceń w śledztwie. W zamian dostały – po trzykroć powtórzoną – anegdotkę o krowie na łapówkę, do której sprzedaży w celu opłacenia lepszej opieki miał namawiać rodzinę pacjenta doktor G.

Minister rozumie także potrzeby telewizji, której sprezentował zmontowany z materiałów CBA filmik, w którym sceny z wyprowadzenia lekarza mieszają się ze stertami drogich alkoholi, piór i pieniędzy znalezionych w jego domu. Efektu relacja w „Wiadomościach" pod tytułem „doktor śmierć" zaczęła się zdaniem: „Zamordował pacjenta, bo nie dostał od niego łapówki".

– Ziobro wie, że istnienie w mediach rządzi się swoimi prawami. Konieczne są zwroty akcji, dynamiczny montaż i jednoznaczny przekaz – wylicza politolog i specjalista od socjotechniki Mirosław Karwat.

Jak jednak intrygować zwrotami i dynamiką w sytuacji, gdy nawet spektakularne zatrzymanie domniemanego sprawcy to dopiero początek żmudnego śledztwa? Widz nie będzie czekał na orzeczenie sądu, więc rozstrzygnięcie musi nastąpić natychmiast. Dla medialnego efektu Ziobro nie cofnie się przed niczym, nawet łamaniem konstytucji. Zapomniał, że minister sprawiedliwości nie może występować w roli oskarżyciela, bo łamie w ten sposób podstawową zasadę domniemania niewinności.

STAWIA NA SHOW I REKWIZYTY

Tydzień przed konferencją – 6 lutego – Polska po raz pierwszy przegrała proces w sprawie łamania tej zasady. Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu w wyroku jasno przestrzegł, że „zasadę domniemania niewinności narusza każde twierdzenie funkcjonariusza publicznego, które wyraża opinię co do winy oskarżonego, zanim wina ta została mu udowodniona. (...) może to zachęcić opinię publiczną do uznania jego winy, zanim sąd dokona analizy faktów".

Mimo to minister Ziobro na konferencji nie zawahał się rzucić stwierdzenia: – Nikogo nigdy już ten pan (Mirosław G.) nie pozbawi życia.

Buty ministra nie powstrzymała nawet krytyka prezesa Trybunału Konstytucyjnego, profesora Jerzego Stępnia, który te wypowiedzi ministra uznał za naruszenie konstytucji i zagroził za nie postawieniem przed Trybunałem Stanu.

– Jestem gotów to wszystko powtórzyć – zaręcza się minister Ziobro. – Prezes Stępień powinien pójść dalej i postawić mnie przed Trybunałem do spraw Zbrodni w byłej Jugosławii albo w Ruandzie.

– Ziobro od początku stawiał na show i teatralne rekwizyty, bo nimi najłatwiej ukryć pustkę, jaka czai się za sceną – tłumaczy Karwat.

Dwa miesiące wcześniej rekwizytem podsumował „pierwszy rok reformy wymiaru sprawiedliwości". Sprezentował dziennikarzom i opozycyjnym politykom czarne pudło z 42 projektami zmian ustaw.

Zważyliśmy. Ponad osiem kilogramów papieru. Przejrzeliśmy. Tylko dwie z ustaw przeszły dotąd całą ścieżkę legislacyjną i mają zacząć obowiązywać w tym roku: reforma procedur karnych i ustawa upraszczająca procedurę w sprawach gospodarczych. Reszta utknęła gdzieś po drodze. – Tworzenie prawa to nie jest pieczenie bułeczek – tłumaczy się Ziobro.

Dlaczego więc rozdaje legislacyjne zakalce?

ZMNIEJSZYĆ DŁUGOŚĆ PRZEWODU

Zbigniew Ziobro naprawdę wierzy w swe chwytliwe pomysły. – Wszedł do ministerstwa z rewolucyjnym zapałem idealisty, któremu się wydaje, że zna receptę na każde zło – tłumaczy mecenas Roman Nowosielski, rzecznik gdańskiej rady adwokackiej.

W ministerstwie teoretyk zderzył się z praktyką. Okazało się, że ustaw – choćby o „więzieniach weekendowych" – nie da się pisać w weekend. Nawet te pisane w dni robocze są niedoróbkami i – jak ustawa o dostępie do zawodu adwokata – zostały wyrzucone do kosza przez sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Ale i tak kreacjonizm prawny ministra Ziobry to zjawisko, które doczeka się rozdziałów w podręcznikach historii. – Na pewno powstanie pojęcie reform prawa à la Ziobro, a jego znakiem rozpoznawczym będą reminiscencje peerelowskie. Czytając jego pomysły, niemal widzę go oczyma duszy mojej, jak siedzi w rocznikach ustaw z lat 50. ubiegłego wieku – rozmarza się karnista Marian Filar. – Wystarczy spojrzeć na takie jego nowe pomysły jak poprawienie kodeksu karnego poprzez wprowadzenie „wszechstronnego wyjaśniania sprawy", czyli prowadzenie śledztwa we wszystkich aspektach. Toż to instrument prawny, który funkcjonował u nas przez kilkadziesiąt lat PRL i był stosowany w tych sprawach, które trzeba było sprawdzać tak dogłębnie, by niemal nigdy ich nie rozwiązać.

To nie wszystkie zmiany w kodeksie. Sprawy wymagające mniej wszechstronnego wyjaśnienia mają być rozwiązywane ekspresowo. Stąd pomysł 24-godzinnych sądów, uproszczenia procedur w drobnych sprawach, a w przypadku przestępców złapanych na gorącym uczynku powrót do pojęcia „czynu chuligańskiego". Dzięki tym rewolucyjnym zmianom co roku w Polsce (gdzie średnia długość przewodu sądowego wynosi około 32 miesięcy) do sądów ma trafiać nawet 200 tysięcy spraw, których sprawcy mogą być sądzeni w ultraszybkiej procedurze i objęci wyższymi karami zarówno więzienia, jak i grzywny.

Tak naprawdę zresztą zgodnie z projektem ustawy sądy 24-godzinne na pierwszą rozprawę mają zbierać się najpóźniej 48 godzin po popełnieniu przestępstwa, na wydanie wyroku mają kolejne 24 godziny, chyba że sąd zrobi sobie 14-miesięczną przerwę. A więc w obiecywanym przez ministra szybkim procesie na wyrok możemy czekać ponad rok.

POLOWANIE NA KORPORACJE

Tych rewolucyjnych zmian nie chcą pojąć stetryczałe rozumy autorytetów. Ale i z tym poradził sobie minister. Kiedy profesor Stanisław Waltoś, przewodniczący Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego, szerzył wieści, że minister nie zna się na prawie, a jego pomysły to tak naprawdę populistyczne zaostrzanie kar, Ziobro postawił się establishmentowi i Waltosia z pełnionej funkcji odwołał. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że za karnistą staną murem jego koledzy, i dlatego nie przejął się rezygnacją innych profesorów z uczestnictwa w pracach komisji.

Machnął też ręką na list 241 przedstawicieli środowisk prawniczych, w którym wyrażali głębokie zaniepokojenie zmianami wprowadzanymi w wymiarze sprawiedliwości. Zignorował apel Krajowej Rady Sądownictwa, która żądała, by członkowie rządu „zaniechali działań naruszających niezawisłość sędziowską". I jedynie złośliwi twierdzili, że Waltoś poleciał, bo negatywnie opiniował udział Ziobry w komisji śledczej do sprawy afery Rywina.

Wprawdzie pierwsze szlify polityczne zdobywał u Lecha Kaczyńskiego, ale to Jarosław (na zdjęciu) dopuścił Ziobrę do władzy

Fot. WITOLD RÓŻBICKI/REPORTER

Tymczasem tuczące się na krwi obywateli korporacje wymyślają nowe uzasadnienia, by stopować rewolucyjne zmiany. Argumentują, że krótkie procesy nie zapewnią oskarżonym prawa do obrony. Rozszerzenie dostępu do zawodu ma zaoowocować obniżeniem standardów kształcenia. A ostro i szybko karanych i tak nie będzie gdzie wsadzać, bo – by zaspokoić ambicje Ziobry – trzeba by wybudować kilkadziesiąt nowych więzień. Ale, jak wiadomo, korporacjom zależy tylko na ochronie własnych przywilejów i nie warto ich słuchać. Czego konsekwentnie trzyma się minister Ziobro.

Więcej – na ich obstrukcjonizm znalazł lekarstwo. Spóźniających się na rozprawy zdyscyplinują grzywny do 20 tysięcy złotych. Warto im też odebrać prawo do własnych sądów dyscyplinarnych, przenosząc uprawnienia ich karania do sądów powszechnych. A gdyby dalej mieli siłę krzyczeć, wsadzi się ich na co drugi dzień na dyżur do 24-godzinnego sądu. Zmęczą się.

– To zemsta teoretyka, który w życiu nie założył togi adwokata – mówi mecenas Nowosielski. Ziobro, jak podkreśla prawnik, skończył wprawdzie aplikację prokuratorską, ale nie zrobił już asesury, brak mu więc praktyki w zawodzie. – Praktyk wiedziałby, że korporacje często bardzo ostro traktują swoje czarne owce, a to Sąd Najwyższy łagodzi nasze korporacyjne kary.

WSZYSCY LUDZIE ZIOBRY

Ziobro, zostając ministrem, zapowiadał radykalne zmiany w prokuraturze. I słowa dotrzymał. W kierownictwie Ministerstwa Sprawiedliwości i Prokuratury Krajowej po ponad roku jego urzędowania nie ma już nikogo, kto pamiętałby czasy poprzedniego szefa resortu. Odeszli

W kręgach PiS coraz większą popularność zyskuje teza, że Ziobro nie zagrzeje długo miejsca na stołku ministra, ponieważ szykowany jest na premiera

lub zostali zwolnieni nawet rzecznicy prasowi ministerstwa i Prokuratury Krajowej, ale minister i tak najchętniej sam informuje o sukcesach resortu. Aby przypadkiem nikt go w tym nie wyprzedził, zakazał kontaktować się pracownikom Ministerstwa Sprawiedliwości z dziennikarzami.

Swą drużynę tworzy z zaufanych współpracowników, którzy jak on zdobywali doświadczenie w resorcie pod kierownictwem Lecha Kaczyńskiego. Prokuratorem krajowym uczynił Janusza Kaczmarka (dziś szefa MSWiA), który za kadencji Kaczyńskiego był zastępcą prokuratora generalnego.

Klucze do obsady najważniejszych stanowisk są dwa: gdański – skąd pochodzi Janusz Kaczmarek i katowicki – gdzie Ziobro został skierowany na aplikację prokuratorską, po problemach z jej obroną w Krakowie. Ze Śląska pochodzą obaj zastępcy prokuratora generalnego (Jerzy Engelking oraz Przemysław Piątek), w katowickiej prokuraturze pracował także kolega Ziobry, obecny szef ABW Bogdan Święczkowski i kierujący Biurem do spraw Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej Krzysztof Sierak.

Z kolei z desantem gdańskim oprócz Kaczmarka przybył do Warszawy Konrad Kornatowski, nowy komendant główny policji.

Poza ministerstwem stanowiska stracili wszyscy szefowie 10 z 11 prokuratur apelacyjnych (nominowani przez poprzednich ministrów) oraz blisko połowa prokuratorów okręgowych. – Wymiana kadry to prawo nowego szefa i w sumie nie ma w tym nic złego. Chodzi jednak o to, by te zmiany były sensowne. A nie są – oburza się jeden z wysokich prokuratorów, który w obawie przed odstrzeleniem nie ujawni nazwiska.

PYTANIA Z DOŁU, WSKAZÓWKI Z GÓRY

W wyczyszczonych prokuraturach braki trzeba uzupełniać, sięgając po rezerwy rodzinne. Rzecznikiem kieleckiej prokuratury okręgowej został Sławomir Mielniczuk, a jego żona trafiła do prokuratury rejonowej. To zięć i córka zaufanego Ziobry Józefa Giemzy, któremu obie jednostki podlegają. – Niestety, minister Ziobro nie orientuje się w środowisku, nie zna ludzi, których powołuje na stanowiska – ubolewają dwaj do niedawna wysocy rangą prokuratorzy. Ale zamiast zgłosić się do ministra i doradzić mu, złośliwie nie ujawnią nazwisk, nawet nie podadzą miast, w których pracują. Rozmowę zaczęliśmy od wyłączenia telefonów komórkowych, a skończyliśmy na spaleniu notatek w popielniczce.

W prokuraturze zapanował strach, bo każdy bez względu na stanowisko może być jednego dnia z niego strącony. Tak, jak była rzeczniczka prokuratora generalnego Małgorzata Wilkosz-Śliwa, która w połowie ubiegłego roku została oddelegowana z Warszawy do Zabrza. Tam może do woli rozmyślać, czy warto było kiedyś przed kamerami zarzucić niekompetencję ówczesnemu posłowi PiS Zbigniewowi Ziobrze.

Wysyłanie prokuratorów do dalekich prowincji to tradycja sięgająca czasów Piłata, który za niedyspozycyjność trafił na zsyłkę do Judei. Na tak szacowny rodowód nie może liczyć system nazwany przez prokuratorów „lex telefon". – Z góry idą wskazówki, a z dołu pytania, jak sprawę załatwić. Mało kto ma odwagę samodzielnie podjąć decyzję, która mogłaby wzbudzać kontrowersje – opowiada jeden z prokuratorów. Innowacjom próbował dać odpór prokurator rejonowy z Zakopanego Krzysztof Knapik, który wbrew oczekiwaniom ministra nie wystąpił o areszt dla nożownika z Gubałówki. Minister planował jego natychmiastowe zwolnienie, ale po zapoznaniu się ze sprawą złagodniał i obiecał tylko „wyciągnięcie konsekwencji służbowych" wobec podwładnego.

By łatwiej kontrolować podwładnych, minister szykuje zmiany w ustawie o prokuraturze. Jeśli wejdą w życie, będzie mógł niemal bez ograniczeń zmieniać decyzje prokuratorów, a nawet wykonywać za nich czynności procesowe. Fatalnie, bo do tej pory nie udowodnił, że jest nieomylny.

Zdaniem ministra w tych pudłach miał znajdować się nowy, wspaniały system prawa. W opinii wielu prawników było to po prostu 8,6 kilograma papieru

Fot. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

CO OBIECAŁ W LISTOPADZIE 2005?

...we wszystkich sprawach, gdzie stosowany jest areszt tymczasowy, zwiększyć tempo prowadzenia czynności procesowych. Chodzi o to, aby jego [aresztu] stosowanie nie było o tyle konieczne, o ile jest to niezbędne do przeprowadzenia wszystkich czynności.

Krytykowałem je [ręczne sterowanie], kiedy ono miało miejsce w zaciszu gabinetów. Kiedy nikt o nim nie słyszał. Tak ustawiano sprawy zwykle partyjnych kolegów i ludzi z nimi związanych, by nie ponieśli odpowiedzialności za swoje czyny, by ktoś uchylił się od odpowiedzialności.

Wywiad z Piotrem Najsztubem, „Przekrój" z 17 listopada 2005

ZBIG WALCZY Z TARTAKIEM

„Lex telefon" wywodzi się ze skrajnej interpretacji tezy, że pańskie oko konia tuczy. Inną odmianą tej tezy są śledztwa nadzorowane. Nie chodzi o to, że te nienadzorowane toczą się samoistnie, bez udziału człowieka. Tyle że zwykłe śledztwo prowadzi zwykły człowiek, a nadzorowanego pilnuje sam Pan Minister. Śledztwo owo wywoływane jest przez czołówki gazet. Ziobro z gazetą w ręku mężnie zapowiada, że już on osobiście przypilnuje, by (a) architekt hali w Katowicach, (b) nożownicy z Gubałówki, (c) sprzedajni sędziowie piłkarscy czy (d) biedni mężczyźni z Włodowy poczuli siłę sprawiedliwości.

Nie ma dziedziny, w której nie można zwrócić się do Ziobry. Jest niczym polska Evita Peron, uwielbiana przez naród żona prezydenta Argentyny, która każdemu biednemu robotnikowi przysłała rower dla dziecka. Zbig – jak na pewno po cichu niejeden z nas z szacunkiem go tytułuje – pomógł już Marii i Bolesławowi Zalińskim z Bustryku. Małżeństwo ponad rok walczyło z miejscowymi urzędnikami. Ci za nic nie chcieli zrozumieć problemu małżeństwa z budującym się pod ich oknami tartakiem „Janosik". Kiedy kolejne urzędy odrzuciły skargi, poprosili o pomoc ministra. – Aż się zdziwiłam, bo w ciągu dwóch tygodni dostałam odpowiedź. A słyszałam, że minister ma strasznie dużo spraw, bo piszą do niego ludzie z całej Polski – mówiła wzruszona pani Maria. Sprawa trafiła do policji, która pod nadzorem zakopiańskiej prokuratury prowadzi postępowanie w sprawie przekroczenia uprawnień przez starostę tatrzańskiego.

To, co podoba się prostym ludziom, fatalnie odbija się na jakości funkcjonowania podległego Ziobrze resortu. Bo zajętemu tartakiem czy nożownikiem ministrowi nie starcza czasu na dopilnowanie spraw ważniejszych, jak choćby śledztwa w sprawie wykrycia „grupy trzymającej władzę" przy aferze Rywina lub matactw przy aferze Orlenu.

Z MINISTRA PREMIER

Czy najpopularniejszy polityk – kochany według badań jak prezydent Aleksander Kwaśniewski w najlepszych dla niego czasach – nie skończy jak równie popularni niedawno Marcinkiewicz i Sikorski? I czy samego ministra nie znudzi rola młodego brytana, który szczeka dużo i chętnie, ale poza obręb wyznaczany łańcuchem ruszyć mu się nie wolno?

– Ziobro nie jest potulnym pieskiem, to człowiek konsekwentnie planujący karierę – uważa Mirosław Karwat, politolog. – Jego lojalne stanie przy Kaczyńskich wkalkulowane jest w pewien plan. Dziś jest janczarem Kaczyńskich, który wprowadza w życie zasady inkwizycji tak mentalnie bliskiej tym rządom. Zarazem nie powie jak Ludwik Dorn o dziennikarzach „bure suki" i nie zagrozi lekarzom „wzięciem w kamasze". Jeżeli uderza, to tak, by nie wywołać oporu bitych. I mimo popełnianych błędów udaje mu się utrzymać popularność i opinię specjalisty.

W kręgach PiS coraz większą popularność zyskuje teza, że Ziobro nie zagrzeje długo miejsca na stołku ministra, ponieważ szykowany jest na premiera. Jarosławowi Kaczyńskiemu zależy bowiem bardzo na reelekcji Lecha, a że społeczeństwo może drugi raz nie kupić dwupaku bliźniaków, czas przygotować do roli premiera ich najlepszego wychowanka.

Po objęciu swojej funkcji Ziobro obiecywał w „Przekroju", że coś zmieni albo odejdzie. Owszem, zmienia, ale czy na lepsze? I czy jak odejdzie, to nie na stołek premiera? ■

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

REKLAMA

Mit założycielski IV RP

O tym, czego z historii swojej partii Jarosław Kaczyński woli nie pamiętać, opowiada „Przekrojowi" jego dawny współpracownik i członek Porozumienia Centrum **ANDRZEJ ANUSZ**

Fot. PRZEMYSŁAW POKRZYCKI

Czy dawni koledzy z Porozumienia Centrum nadal dzwonią do pana i pytają, co napisał pan o nich w książce o PC?

– Dzwonią, bo chcą się dowiedzieć, czego mogą się spodziewać.

Dlaczego te odległe czasy budzą w nich obawy?

– Bo odnoszą się do mitu założycielskiego IV RP. Jarosław Kaczyński w swoim programie politycznym bardzo często odwołuje się do początku lat 90. i powtarza, że wówczas nie mógł go zrealizować. Mamy dziś więc próbę dokończenia tego, co na początku lat 90. ogłosił Jarosław Kaczyński jako prezes Porozumienia Centrum. Wtedy, podobnie jak dziś, chodziło o dokończenie rewolucji Solidarności i przyspieszenie, czyli dekomunizację, lustrację, deubekizację, deesbekizację – ogólnie mówiąc, depeerelizację.

Wobec tego dawni koledzy powinni być wdzięczni, że ktoś chce przypomnieć ich konsekwencję w dążeniu do celu.

– Nie wszystko jest tak konsekwentne, jak to się dziś próbuje przedstawić. Ja pokazuję pewne porażki, błędy i niekonsekwencje Kaczyńskiego z tamtego okresu.

W 1992 roku pojawiły się dwa konkurencyjne pomysły na budowanie Porozumienia Centrum. Kaczyński chciał budować partię centrową o zabarwieniu chadeckim na kształt Unii Demokratycznej. Natomiast Jan Olszewski lansował pomysł układu chrześcijańsko-ludowo-narodowego. Kaczyński ten zamiar zwalczał, bo nie chciał się otwierać za bardzo na prawo, i twierdził, że ZChN to najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski. To doprowadziło do podziału PC.

Trzeba przyznać, że potem przyznał się do błędu i że w tym sporze rację miał Jan Olszewski. Bo siła Jarosława Kaczyńskiego, co trzeba mu oddać, polega na tym, że potrafi wyciągać wnioski. Po ostatnich wyborach wrócił do pomysłu Olszewskiego i zbudował taki obóz z elementów, które w 2005 miał pod ręką, czyli z LPR i Samoobrony.

Nie popełnił już ponownie błędu z roku 1992 i błyskawicznie odsunął od władzy premiera Marcinkiewicza, który próbował się usamodzielnić. Wiedział, że trzeba działać od razu w sytuacji pojawienia się pierwszego zagrożenia, by nie dać zbudować Marcinkiewiczowi środowiska, które mogłoby rozbić PiS, jak kiedyś zrobił to premier Olszewski. Kaczyńskiemu udało się odsunąć Marcinkiewicza za pięć dwunasta.

Jednak cała kampania 2005 roku oparta była na dogmacie, że prezes się nie myli. I to on we wszystkich politycznych sporach w ciągu ostatnich 15 lat miał rację.

– Prawda jest taka, że droga, po której kroczyło PC, była kręta. Warto przypomnieć, że to Jacek Kurski, który kreuje się na najbardziej konsekwentnego, pracował podczas wyborów w 1995 roku w sztabie prezydenckim Hanny Gronkiewicz-Waltz. Mało kto pamięta, że to Lech Kaczyński, wycofując się wtedy z kampanii prezydenckiej, wsparł właśnie Gronkiewicz-Waltz. To burzy pewne mity, gdy dziś PiS próbuje rysować czarno-białą historię III RP.

Jakie jeszcze mity pan obala?

– Mit założycielski rządu Jana Olszewskiego, za którym PC miało stać murem. Przecież pierwszy wniosek o wyjściu PC z rządu Olszewskiego zgłosił już w marcu 1992 roku Andrzej Urbański podczas posiedzenia klubu Porozumienia Centrum.

Mało kto pamięta, że w czerwcu 1992 roku po odwołaniu Olszewskiego Porozumienie Centrum było bliskie wejścia do rządu Hanny Suchockiej, co z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się wielką zdradą. Dla nas, zwolenników Olszewskiego, było to niebywałe, że Jarosław Kaczyński w ogóle rozpoczął te negocjacje. I wszystko było już dogadane, by PC weszło do tego rządu, bo na poziomie programowym wszystko było już ustalone. Sprawa rozbiła się tylko o liczbę ministerstw dla PC i o to, kto ma objąć konkretne ministerstwo.

Gdyby więc Suchocka zgodziła się dać jedno ministerstwo czy dwa więcej, to nie byłoby dziś mitu założycielskiego IV RP. PiS nie mógłby dziś mówić, że nie uczestniczył w budowaniu III RP?

– Kaczyński zradykalizował się dopiero po kilku miesiącach, i to dopiero po nieudanej próbie wejścia do rządu Hanny Suchockiej. Wtedy nastąpiło zbliżenie Kaczyńskiego z Olszewskim. Razem te środowiska były dopiero w pierwszą rocznicę obalenia rządu Jana Olszewskiego, w czerwcu 1993 roku. Wtedy odbyła się demonstracja w Warszawie, w której udział brali: Jarosław Kaczyński, Antoni Macierewicz, Jan Parys, Kornel Morawiecki i młody Sławomir Skrzypek.

Mit założycielski IV RP głosi, że największym zagrożeniem dla niej byli liberałowie.

– Nie zawsze tak było. Mało kto pamięta, że na początku lat 90. to działacze Kongresu Liberalno-Demokratycznego pracowali przy powołaniu PC. Była wtedy duża szansa na to, że te ugrupowania będą ściśle współpracowały w ramach jednego bloku, a nawet jednej partii.

Przecież Tusk i Kaczyński znajdowali się w jednym obozie politycznym, który w 1990 roku popierał Lecha Wałęsę. Była szansa, by ten obóz, który się ukształtował z kilku partii – zjednoczyć. Wałęsa jednak postanowił wesprzeć liberałów i wykreował na premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego. To doprowadziło do ich wzmocnienia i usamodzielnienia.

Ale program gospodarczy Porozumienia Centrum był początkowo bardzo liberalny. Napisali go liberałowie: Adam Glapiński, Jerzy Eysmont i Stefan Kurowski. I dopiero od kampanii wyborczej 2005 PiS zaczął rezygnować z tego liberalnego programu gospodarczego, coraz bardziej skręcając w lewo. To umożliwiło PiS rozpoczęcie współpracy z Samoobroną i LPR.

Kolejny mit głosi, że Porozumienie Centrum rozbiły służby specjalne.

– Na pewno działania służb specjalnych przyczyniły się do tego, że partia straciła masowość. Kluczową rolę służby specjalne odegrały w 1993 roku. Dzięki ich intrygom skłócono Ruch dla Rzeczypospolitej i Porozumienie Centrum. Świadczy o tym notatka Lesiaka z sierpnia 1993 roku, z której wynika, że przez działania operacyjne agenci chcieli skłócić to środowisko. Obie partie zamierzały wtedy zawrzeć koalicję wyborczą i razem wystartować w wyborach parlamentarnych. W atmosferze intryg i wzajemnych podejrzliwości koalicji nie zawarto i ani PC, ani RdR nie weszły do parlamentu w 1993 roku.

Dlaczego więc ta potężna formacja, którą było PC na początku lat 90., uległa dezintegracji?

– Porozumienie Centrum bardzo dużo kosztował wybór Lecha Wałęsy na prezydenta. Pamiętam, że powstawało na fali kampanii Wałęsy. Ludzie, którzy go popierali, zapisywali się też do Porozumienia. Ale po dwóch latach Wałęsa zawiódł PC i zaczął się ostry spór. Zwykli ludzie nie lubią sporów, więc się wycofali.

Wcześniej PC było partią masową i wielonurtową. W szczytowym okresie ugrupowanie liczyło 40 tysięcy ludzi. I to była największa trudność w prowadzeniu przez nie polityki. Bo w sytuacji dramatycznych zwrotów i wyborów ludzie się z niego wycofywali.

Wówczas Jarosław Kaczyński zdecydował, że trzeba budować partię nie masową, ale kadrową – lekką, małą, zwartą, z silnym przywódcą. To pozwala mu na prowadzenie dynamicznej i szybkiej polityki. Taka partia jest w stanie przetrzymać każdy zwrot. Dlatego dla posłów PiS nie było wielkiego zaskoczenia, że wchodzą w koalicję z Lepperem, choć dla wyborców PiS było to szokiem.

Czy to znaczy, że w hierarchii partyjnej stoją najwyżej ci, którzy są w stanie wszystko przełknąć i przetrzymać każdą woltę?

– Prezes przyzwyczaił ich przez lata do takich zwrotów politycznych. Mogli to przetrwać tylko najwytrwalsi.

To dzięki nim PC przetrwało w formie szczątkowej, będąc na samym dnie, poza parlamentem i bez wpływów?

– Środowisko przetrwało dzięki dwóm instytucjom – stworzonej przez Kaczyńskiego spółce Srebrna i Najwyższej Izbie Kontroli. Srebrna wydawała tygodnik „Nowe Państwo". Wokół tego pisma, którego redaktorem naczelnym był

ANDRZEJ ANUSZ, 42 lata, socjolog i politolog. Jego 500-stronicowa książka zatytułowana „Osobista historia PC" wkrótce trafi do księgarń. Zawiera niepublikowane dotąd dokumenty z życia partii, zdjęcia oraz film. Był jednym ze studentów reaktywujących w 1988 roku Niezależne Zrzeszenie Studentów na Uniwersytecie Warszawskim. Jako 25-latek został z ramienia Porozumienia Centrum wiceprzewodniczącym sztabu Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich w 1990 roku. Sekretarz organizacyjny i członek Zarządu Głównego PC. Działaczem i posłem tej partii był aż do jej rozłamu w 1992 roku, gdy przyłączył się do zwolenników Jana Olszewskiego, którzy utworzyli w Sejmie klub Ruch dla Rzeczypospolitej. Podczas wyborów prezydenckich 1995 roku był wiceszefem sztabu Hanny Gronkiewicz-Waltz. Poseł Akcji Wyborczej „Solidarność" w latach 1997–2001 i członek Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Na początku lat 90. był podejrzewany o plagiat pracy magisterskiej. Senat UW unieważnił jego tytuł magistra i zawiadomił prokuraturę. Sąd dwa lata temu umorzył sprawę z powodu przedawnienia. W tym czasie obronił pracę magisterską z nauk społecznych i historycznych na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Tam też się doktoryzował. Autor książek: „Kościół wobec przemian politycznych w Polsce 1944–1994", „NZS 1980–2000", „Scenariusze polityczne. Antykomunizm skuteczny".

ŠkodaRoomster

Nigdy nie wiesz, kiedy przyda Ci się więcej miejsca.

ŠKODA AUTO

ŠkodaRoomster już za 15 470 zł*.

Ty też przekonaj się jak wygodna i przestronna jest Škoda Roomster. Teraz okazja jest wyjątkowa, bo możesz ją kupić w „Kredycie 3 x 1/3" Volkswagen Bank Polska. Najpierw wpłacasz jedyne 15 470 zł, pozostałe dwie raty zapłacisz bez odsetek po 12 i 24 miesiącach. Dodatkowo możesz dostać wyjątkowego iPoda shuffle, który zmieści dużo Twojej ulubionej muzyki. Škoda Roomster zawsze daje Ci przestrzeń. O szczegóły oferty zapytaj Autoryzowanego Dealera Škody. www.skoda-auto.pl.

*Podana kwota stanowi pierwszą ratę kredytu. Przykładowa RRSO z uwzględnieniem kosztu ubezpieczenia AC dla samochodu Roomster 1.2/51 kW (70 KM) o wartości 46 400 PLN wynosi 9,31% i zawiera prowizję bankową w wysokości 5% kwoty kredytu włączoną w zakres finansowania.

Oferta dotyczy modelu Roomster z rocznika 2007.

Mobil

ŠkodaKredyt
VOLKSWAGEN BANK POLSKA S.A.

Wartość uśredniona zużycia paliwa i emisja CO_2: Škoda Roomster 1.2/51 kW (70 KM) – 6,7 l/100 km, CO_2 159 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku oraz recyklingu są dostępne pod adresem

Adam Lipiński, funkcjonowała większość znaczących działaczy PC.

W NIK Jarosław umieścił brata. Najpierw jako prezes partii zgłosił Lecha Kaczyńskiego jako kandydata, a potem zaangażował się w promowanie jego kandydatury w parlamencie. Ta instytucja stała się ważna po 1993 roku, gdy cała prawica znalazła się poza parlamentem. Była to nie tylko ostoja, ale i kuźnia kadr, które dziś sprawują władzę. Z NIK wywodzą się obecny szef MON Aleksander Szczygło i szefowa KRRiT Elżbieta Kruk oraz wiele nazwisk, które dzisiaj są na pierwszych stronach gazet. Oni przeczekali w NIK najgorsze dla PC czasy.

W drugiej połowie lat 90. wydawało się, że PC może co najwyżej dopełznąć do jakiejś prawicowej kanapy – nikt nie spodziewał się jego odrodzenia. A już na pewno tego, że będzie rozdawać karty.

– Lech Kaczyński po odejściu z NIK był na uboczu. Po nieudanej kampanii prezydenckiej w 1995 roku odchodzi z polityki i wraca do działalności akademickiej. Natomiast Jarosław Kaczyński aktywnie włącza się w budowanie AWS. Walczy, by wprowadzić na listy wyborcze jak najwięcej ludzi PC, choć sam dystansuje się od AWS i zostaje posłem Ruchu Odbudowy Polski. Dzięki temu, że swoje aktywa umieścił w AWS, czyli partii władzy, a sam jako lider opozycji krytykował ten układ, mógł zacząć odbudowywać formację.

Więc powrót Porozumienia Centrum, a raczej Prawa i Sprawiedliwości, był długo i starannie przygotowywany?

– Zdecydował przypadek. Bo zupełnym przypadkiem Jerzy Buzek po latach nieobecności zaprosił Lecha Kaczyńskiego do rządu w 2000 roku. Lech Kaczyński od samego początku zaczął budować pozycję swoją i swojego środowiska politycznego. I wszystko było temu podporządkowane. A stało się to w momencie, kiedy Jarosław Kaczyński był na marginesie sceny politycznej i pozostawał w ostrym sporze z AWS.

To przecież Lech wszedł do rządu AWS, a nie Jarosław, który ten rząd zwalczał.

– Wiadomo było, że to Jarosława zaproszono do rządu. To wtedy Jarosław Kaczyński dostał wielką szansę wyjścia z politycznego niebytu. Wiedział, że ma swoje pięć minut, które musi wykorzystać. I wykorzystał je kosztem premiera Buzka, kosztem AWS, tworząc rozłamowe środowisko i rozbijając AWS.

Czy premier Buzek, proponując stanowisko Lechowi Kaczyńskiemu, nie miał świadomości, że zaprosił też Jarosława?

– Ja byłem zszokowany, bo dla mnie było to oczywiste. Premier Buzek dopiero później zrozumiał, jaki błąd popełnił.

Dlaczego?

– Lech Kaczyński był od początku w konflikcie z premierem, grał na siebie, a nie w zespole. Bo tylko na popularności Lecha Kaczyńskiego można było budować PiS. To był sztandar, który oni wtedy ponieśli w lud. Jarosław Kaczyński uznał, że teraz trzeba schować logo Porozumienia Centrum i odnowić markę. Partia po tylu przejściach i obarczona negatywną kampanią prowadzoną w mediach nie mogła się odrodzić pod starą nazwą.

Czy o tym wszystkim decydował Jarosław?

– Jarosław zawsze kreował politykę. Lech na początku lat 90. mógł odgrywać ważną rolę w Solidarności. Ale przegrał walkę o przywództwo z Marianem Krzaklewskim. Przegrał, bo działacze Solidarności obawiali się, że jeśli zostanie jej przewodniczącym, to związkiem kierować będzie Jarosław, a nie on. Bali się, że związek stanie się przybudówką PC. I w tej rozgrywce o Solidarność to najbardziej zaszkodziło obecnemu prezydentowi. Lech Kaczyński nigdy nie był działaczem partyjnym, ale brat Jarosław bardzo troszczył się o niego. Zadbał o to, żeby był posłem, i umieścił go w 1991 roku bardzo wysoko na liście krajowej, chociaż nigdy we władzach PC nie był. Potem również dzięki niemu został prezesem NIK.

Czy to znaczy, że Lech Kaczyński nie jest politykiem samodzielnym?

– Był urzędnikiem państwowym, a brat pilnował spraw polityczno-partyjnych. Lech miał budować środowisko w instytucjach takich jak NIK. I bracia bardzo dobrze się uzupełniali.

Jak ważne dla partyjnej kariery są wierność i oddanie prezesowi?

– To jest bardzo ważne. Trzeba pamiętać, co przeszło PC po 1993 roku. Włamania nieznanych sprawców, pobicia, dziwne wypadki samochodowe. To wszystko układało się w pewien ciąg bardzo niepokojących zdarzeń. Kto przetrwał ten ciężki czas, ten się sprawdził.

Według moich szacunków ponad połowa ludzi z dawnego PC dziś jest w PiS. Ale jest to środowisko, które dominuje, jeśli chodzi o wpływ na partię. Nie można im zarzucić, że trwali przy prezesie dla jakiejś kariery czy profitów. To jeden z mitów scalających to środowisko. Z punktu widzenia prezesa lojalność i zaufanie są bardzo ważnym elementem, który otwiera drogę do kariery.

Czy to wystarczy, by budować nowe państwo? Czy to znaczy, że ktoś, kto 15 lat temu, nie bacząc na niebezpieczeństwo związane z inwigilacją prawicy, nosił w PC papier do ksero, ma być dzisiaj ministrem?

– To najważniejsze pytanie, które stoi przed PiS. Czy potrafi się otworzyć na środowiska merytoryczne, ludzi niepartyjnych, bez kombatanckiej przeszłości? Ostatni przypadek Sikorskiego pokazuje, że jest z tym problem. ■

ROZMAWIAŁ CEZARY ŁAZAREWICZ

REKLAMA

PRZEMYŚLANE ROZWIĄZANIA

DUŻO MIEJSCA DLA MUZYKI

Podłącz iPoda do systemu audio Twojej Škody Roomster.

Kupując ŠkodęRoomster dostajesz iPoda shuffle*.

ŠKODA AUTO

szczegóły promocji pytaj Autoryzowanych Dealerów Škody. Liczba samochodów w wersji limitowanej Roomster iPod Edition ograniczona.
możliwość podłączenia dotyczy wersji wyposażonych w oryginalny, opcjonalny radioodtwarzacz z wejściem AUX IN.

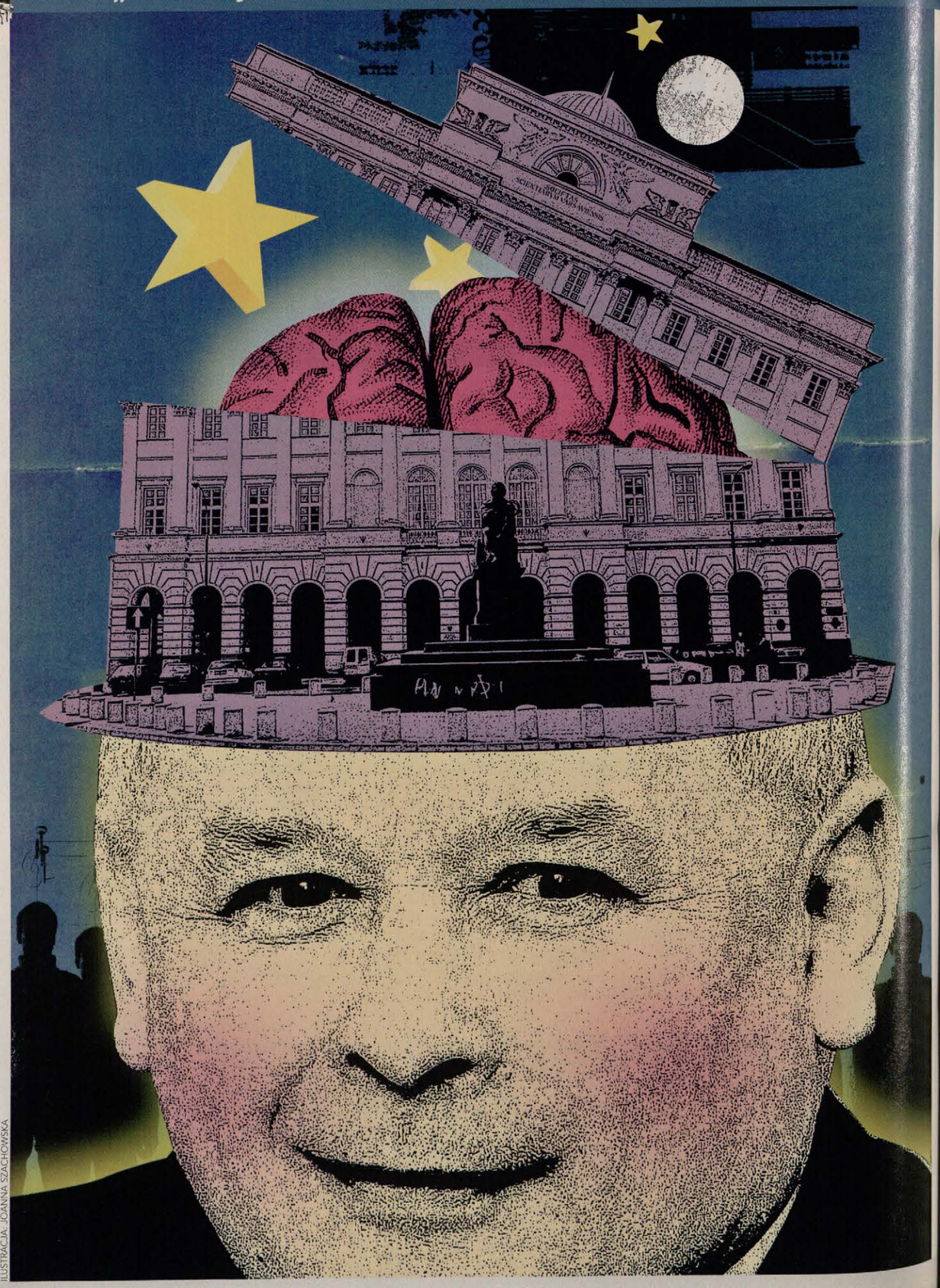

ILUSTRACJA: JOANNA SZACHOWSKA

PiS ODZYSKUJE *naukę*

TEKST: ALEKSANDRA PAWLICKA

PiS szykuje się do ataku na kolejną grupę zawodową – naukowców. Pierwszy cios wymierzony ma być w Polską Akademię Nauk

Mechanizm stworzony w ’51 i ’52 roku wedle wzorów radzieckich, wedle wzorów z Moskwy, ma zostać zlikwidowany – stwierdził premier Jarosław Kaczyński, zapowiadając zmiany w utworzonej na początku lat 50. Polskiej Akademii Nauk. Jej demontaż to jeden z filarów wielkiej reformy nauki, którą w najbliższych miesiącach chce przeprowadzić PiS.

Tego samego dnia, w którym premier ogłaszał plan zmian, kilka godzin wcześniej profesorowie PAN zorganizowali w Warszawie konferencję, by udowodnić, że wbrew temu, co sądzi władza, Akademia w czasach PRL odegrała chlubną rolę, choćby dlatego że była schronieniem dla wielu naukowców opozycjonistów. O ile uczeni podczas konferencji starali się dobierać słowa, o tyle komentująca sprawę w rozmowie z „Przekrojem” profesor Maria Janion, jedna z najwybitniejszych polskich uczonych, dzięki której Instytut Badań Literackich PAN stał się znany na świecie, mówi wprost: – Przypięta nam wstrętna morda stalinowska jest czymś fałszywym.

O naszej Akademii upowszechniane są bardzo negatywne opinie: że powstała w okresie apogeum stalinizmu, że jest instytucją należącą do spadku po reżimie komunistycznym. A ponieważ są to opinie środowisk, które z wielką ufnością odnoszą się do materiałów archiwalnych SB, przypomnę jedną z tajnych notatek III Departamentu MSW z 1984 roku sporządzoną dla Biura Politycznego KC PZPR, odtajnioną po latach – mówi profesor Karol Modzelewski, jeden z najbardziej znanych polskich historyków i opozycjonistów.

„Zdominowane przez wrogie elementy środowisko PAN jest w istocie bardzo liczącym się zapleczem teoretycznym i programowym opozycji politycznej w Polsce. Główny ciężar zagrożeń spoczywa na instytutach humanistycznych PAN” – głosi esbecka notatka. Modzelewski dodaje, że jest najlepszym przykładem niepoprawnego politycznie naukowca, który jako dwukrotnie więziony wróg ustroju w 1968 i w 1982 roku znalazł schronienie w Instytucie Historii PAN. Dziś jest wiceprezesem Akademii.

Podobnym miejscem PAN był dla historyka Bronisława Geremka, literaturoznawców Janina Józefa Lipskiego, Marii Janion, Teresy Kostkiewicz czy małżeństwa teoretyków literatury Janusza Sławińskiego i Aleksandry Okopień-Sławińskiej. Tu mogli pracować naukowo i chronić się przed represjami.

PAN stał się symbolem niezależności polskiej nauki w pierwszych dniach stanu wojennego. Oddziały ZOMO otoczyły wtedy jego warszawską siedzibę w Pałacu Staszica. Naukowców wyprowadzano na ulicę i do milicyjnych ciężarówek. Ale kto o tym dziś pamięta? Tylko starzy profesorowie.

– W 1950 roku zacząłem pracować na Uniwersytecie Warszawskim w charakterze asystenta, ale już trzy lata później musiałem przenieść się do PAN, bo uznano, że mam zły wpływ na studentów. I był to jedyny kierunek schronienia. Nie znam przypadków, żeby ludzie z PAN próbowali szukać ochrony na uniwersytetach – mówi profesor Janusz Tazbir, członek PAN od 41 lat, wybitny znawca historii Polski szlacheckiej.

Podkreśla, że wysuwany przez władzę zarzut stalinowskiego rodowodu PAN jest śmieszny: – Towarzystwo Naukowe Warszawskie zatwierdzone zostało przez króla pruskiego, a po rewolucji 1905 roku odrodziło się za przyzwoleniem władz carskich. Także Akademia Umiejętności, która powstała w czasach zaborów, za panowania cesarza austriackiego, wtedy jeszcze nie używała w nazwie przymiotnika „polska”. I nikt nie kwestionuje dorobku obu tych szacownych instytucji z powodu „zaborczego” rodowodu.

Oczywiście w historii PAN nie brakowało politycznych „wtyczek”. Profesor Janion wspomina narzuconego jej instytutowi dyrektora z wydziału kultury KC PZPR Witolda Nawrockiego. Profesorem PAN był Henryk Jabłoński, PRL-owski minister oświaty i przewodniczący Rady Państwa akceptującej ex post wprowadzenie stanu wojennego, a tylko przy okazji historyk. Nikomu jednak nie przychodzi do głowy, by porównywać go z największymi sławami PAN. – Ludzie komunistycznej partii funkcjonowali w szeregach PAN, ale nie zdołali narzucić Akademii ani kierunku, ani sposobu myślenia – zapewnia profesor Michał Kleiber, obecny szef PAN i doradca prezydenta Kaczyńskiego.

Fot. ADM

Posiedzenie Polskiej Akademii Nauk w siedzibie rządu, 1953 rok. Ówczesna władza na każdym kroku dowodziła, że panuje nad środowiskiem naukowców. Socjalistyczny rodowód jest dziś głównym argumentem PiS przeciw PAN

Jak funkcjonuje PAN

DZIŚ

Polska Akademia Nauk jest dziś instytucją państwową podległą ministrowi nauki i szkolnictwa wyższego, który decyduje o budżecie PAN składającym się z dwóch części: przeznaczonej na działalność statutową instytutów (na przykład pensje naukowców) oraz na badania. Ta druga część zależy od dokonywanej raz na cztery lata weryfikacji pracy instytutu – im wyższa ocena, tym większa szansa na pieniądze na kolejne badania. O wyborze kierunków badawczych, czyli o tym, jakie projekty chcą realizować naukowcy, decydują sami w ramach swoich 79 instytutów. Nad wszystkimi PAN sprawuje dziś nadzór merytoryczny (poza tym podlegają jej jeszcze dwa muzea, sześć stacji naukowych za granicą oraz 12 ośrodków wypoczynkowych i domów pracy twórczej w kraju). PAN jest korporacją naukową profesorów składającą się z 178 członków rzeczywistych (tytuł dożywotni) i 140 członków korespondentów. Łącznie ich liczba nie może przekroczyć 350. Instytuty PAN zatrudniają dwa tysiące osób.

PLAN RZĄDU

Instytuty PAN, które prowadzą badania służące gospodarce i życiu społecznemu, mają zostać przekształcone w państwowe instytuty naukowe i podlegać nie PAN, ale nowo tworzonemu Narodowemu Centrum Badań i Rozwoju, nad którym będzie miał pieczę minister nauki. Według premiera Centrum będzie instytucją finansową podejmującą merytoryczne decyzje, czyli będzie wybierać projekty badawcze. To znaczy, że Instytuty PAN odgrywałyby rolę wyłącznie usługową wobec Centrum.
Instytuty prowadzące badania teoretyczne (historyczne czy matematyczne) mają być przekazane na zasadzie dobrowolności uczelniom wyższym i finansowane przez kolejną tworzoną instytucję – Agencję Badań Poznawczych, także podległą ministrowi nauki. Tę Agencję mają wspólnie nadzorować Polska Akademia Nauk, Polska Akademia Umiejętności i Towarzystwo Naukowe Warszawskie (choć te dwie ostatnie instytucje mają charakter stowarzyszeń i nie wykonują badań finansowanych z budżetu jak PAN). Do tego ma się sprowadzić rola PAN.

Fot. ARCHIWUM OŚRODKA KARTA

Tuż po 13 grudnia warszawską siedzibę PAN w Pałacu Staszica otoczyło ZOMO. Prześladowania naukowców w stanie wojennym to wciąż temat na doktorat

Przypięta Polskiej Akademii Nauk przez PiS wstrętna morda stalinowska jest czymś fałszywym

profesor Maria Janion z Instytutu Badań Literackich PAN

Fot. ROBERT JAWORSKI/FORUM

Profesorowie zgodnie twierdzą, że to, co udało się uchronić w czasach głębokiego PRL, dziś w wolnej Polsce jest zagrożone.

– Chodzi o ochronę życia naukowego przed decyzjami politycznymi – uważa profesor Modzelewski.

– To próba amputacji polskiej nauki – nie kryje oburzenia profesor Janion.

– Władza administracyjna chce robić reformę bez konsultacji ze środowiskiem, którego ta reforma dotyczy – mówi profesor Tazbir.

Zapowiedziana dwa tygodnie temu przez premiera „wielka reforma nauki” zakłada marginalizację PAN poprzez przejęcie jego instytutów i przekształcenie ich w placówki państwowe. O tym, jakie projekty i jakie badania będą mogli realizować uczeni Polskiej Akademii Nauk, będzie wkrótce decydować minister nauki i szkolnictwa wyższego oraz nowo tworzone Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Ma ono zarządzać strumieniem pieniędzy przeznaczonym na strategiczne badania w kraju.

Dziś instytuty PAN samodzielnie decydują o wyborze projektów badawczych. Nic dziwnego więc, że ich pracownicy obawiają się proponowanej przez rząd zmiany – tego, że staną się placówkami usłużnymi wobec władzy i nowej instytucji administracyjnej, czyli Centrum.

– Upaństwowienie instytutów to krok w kierunku Polski Ludowej. Obecnie nasze instytuty mają silnie rozwiniętą samorządność. Zapowiadana przez premiera zmiana zmierza do jej odebrania – przestrzega profesor Janion.

Trzeba dodać, że taki los czeka tylko najbardziej przydatne z punktu widzenia władzy instytuty PAN. Pozostałe, prowadzące badania czysto poznawcze, historyczne czy literaturoznawcze, trafić mają pod kuratelę wyższych uczelni i być finansowane przez kolejną powoływaną właśnie placówkę – Agencję Badań Poznawczych, również podporządkowaną ministrowi nauki.

Profesorowie alarmują, że to zupełnie nietrafiony pomysł. Uczelnie mają problemy z nadmiarem własnych instytutów, szczególnie teraz, gdy na studia trafia pokolenie demograficznego niżu.

– Będziemy piątym kołem u wozu. PAN bez instytutów traci prawo bytu w świecie nauki. Staniemy się stowarzyszeniem staruszków – podsumowuje rządowy projekt profesor Tazbir.

– Obecny kryzys dotyczący PAN to nie tylko efekt proponowanych zmian, ale braku reform po 1989 roku – mówi znany polski fizyk profesor Łukasz A. Turski, jeden z założycieli Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk, które 18 lat temu przygotowało założenia reformy polskiej nauki.

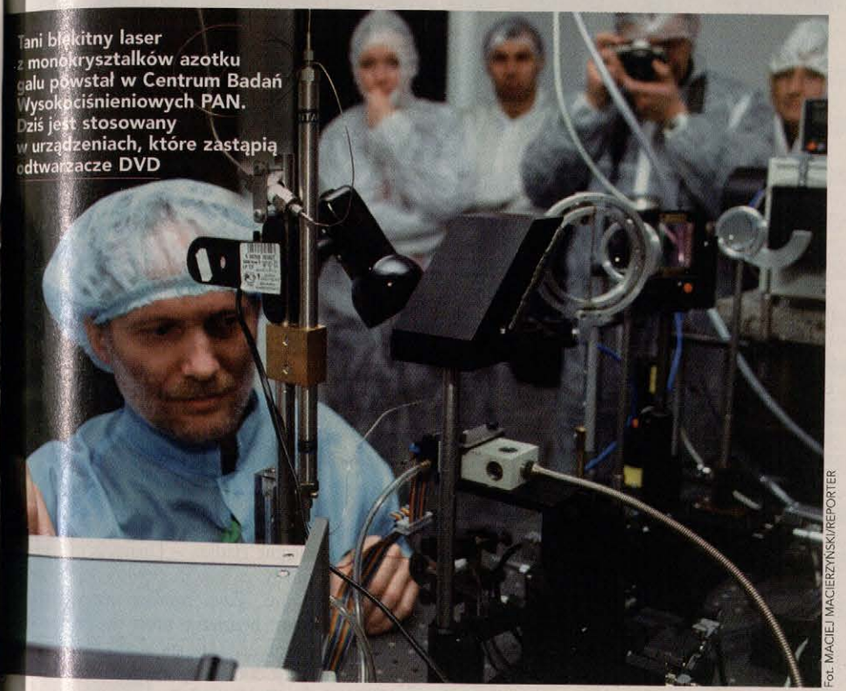

Tani błękitny laser z monokryształków azotku galu powstał w Centrum Badań Wysokociśnieniowych PAN. Dziś jest stosowany w urządzeniach, które zastąpią odtwarzacze DVD

Fot. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

– Udało się jedynie zrezygnować z rządowej funkcji PAN, bo w czasach PRL sekretarz Akademii był jednocześnie członkiem rządu. Pozostała natomiast skostniała struktura, wzorowana na francuskiej i moskiewskiej Akademii Nauk. My proponowaliśmy pójście w kierunku wzoru amerykańskiego, czyli związanie samodzielnych jednostek naukowych z uczelniami.

Profesor Turski, pracownik Centrum Fizyki Teoretycznej PAN, uważa jednak, że proponowane przez premiera Kaczyńskiego zmiany nie idą w dobrym kierunku: – Mówi się o podziale na instytuty wykonujące badania stosowane, które mają otrzymać zastrzyk finansowy, i instytuty zajmujące się badaniami podstawowymi, czyli uprawiające teorię. Otóż historia cywilizacji nie zna odkrycia, które byłoby wynikiem badania stosowanego. Wynalazki to pochodne badań podstawowych (teoretycznych). Internetowy fenomen wyszukiwarki Google powstał na bazie wzoru matematycznego. Wynalazca Polaroida wpadł na pomysł skonstruowania nowego typu aparatu fotograficznego, rozwiązując teoretyczne zadanie dotyczące kolorów. Badania teoretyczne tworzą postęp.

Naukowcy obawiają się, że minister pochodzący z politycznego rozdania i służący władzy położy na wszystkim łapę. Właśnie teraz, gdy budżet Unii Europejskiej na lata 2007–2013 przewiduje znaczny wzrost nakładów na polskie badania. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego mówi nawet o ośmiu miliardach euro.

Nowo wybrany szef PAN, a jednocześnie doradca społeczny prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wcześniej minister nauki w rządach Leszka Millera i Marka Belki, profesor Michał Kleiber przyznaje, że widzi niebezpieczeństwo rządowych manipulacji. – W warunkach rozedrganej i często chaotycznej sceny politycznej naszego kraju zagrożenia tego typu nie można wykluczyć. Trzeba to brać pod uwagę przy próbach udoskonalania obecnego systemu – na przykład tych, które miałyby polepszyć skuteczność starań PAN o olbrzymie fundusze europejskie.

Premier zapewniał, że część rozwiązań jest już na etapie prac sejmowych. W rzeczywistości najważniejsze propozycje zmian zaczęto omawiać dopiero po ogłoszeniu reformy przez Jarosława Kaczyńskiego. Na przykład idea Centrum Badań i Rozwoju rozważana była od roku, ale dotychczas zakładała, że ma być to instytucja zarządzająca tylko finansami na badania. Nie mówiło się o zarządzaniu instytutami PAN. Wygląda więc na to, że przedstawiona przez premiera wizja reformy nie została wcześniej uzgodniona z propozycjami prezesa PAN Michała Kleibera czy obecnego ministra nauki Michała Seweryńskiego.

Profesorowie Akademii odbierają zapowiedzi przejęcia przez państwo ich instytutów i odcięcie od finansowania niezależnych badań jako wypowiedzenie walki środowisku naukowemu.

– Nie ma się co łudzić. Trudno postrzegać te wszystkie działania inaczej niż jako realizację walki z „łże-elitami” – stwierdza ze smutkiem profesor Janion. A właściwie z elitą tych „łże-elit”, jak inteligencję nazwał Jarosław Kaczyński rok temu w Sejmie. Naukowcy nie są przeciwni reformie, ale nie akceptują tego, że przygotowuje się ją ponad ich głowami. Bez rozmów, debat, konsultacji. W ten sposób powstanie reforma służąca nie środowisku naukowemu, lecz władzy.

Dla profesora ekonomii Jerzego Wiklina, członka PAN, przeprowadzane przez PiS reformy są „zawłaszczaniem państwa przez władze państwowe. W tych działaniach nauka jest już niepotrzebna” – jak napisał w analizie „Polityka przeciw nauce”. Jego zdaniem niechęć władzy do środowiska naukowego przejawia się w ograniczeniu kontaktów. Do sierpnia ubiegłego roku ani prezydent, ani premier nie znaleźli czasu na spotkanie z przedstawicielami PAN. Być może to wynik przedwyborczego urazu braci Kaczyńskich, bo prezesi PAN przed wyborami spotkali się tylko z liderami PO. Postawili na złego konia. Po wyborczym zwycięstwie PiS bracia postanowili dać im nauczkę.

Prezydent przez pół roku nie nominował żadnego profesora, podczas gdy jego poprzednik czynił to co sześć tygodni. Doradca prezydenta Michał Kleiber próbuje tłumaczyć, że Lech Kaczyński, prawnik z wykształcenia, osobiście sprawdza każdy podpisywany dokument. Spowodowało to spiętrzenie na początku kadencji. Pierwsza tura wręczania nominacji nastąpiła dopiero w maju 2006 roku i objęła 104 naukowców.

Jeden ze świeżo nominowanych przez Lecha Kaczyńskiego profesorów przyznaje, że prezydent

Fot. ALM

Przed wojną naukowców stolicy skupiało Towarzystwo Naukowe Warszawskie (na zdjęciu spotkanie w 1930 roku). Kraków miał Polską Akademię Umiejętności

podczas uroczystości podkreślił, że jemu samemu nigdy nie dane było stanąć po stronie nominowanych. Sentencję tę wygłasza ponoć podczas każdej uroczystości wręczania tytułów profesorskich. Lech Kaczyński jest doktorem habilitowanym, ale tytułu profesorskiego nadawanego przez głowę państwa nigdy nie dostał. Proponowana przez brata Jarosława reforma rozwiązałaby i ten problem. Uzyskanie habilitacji automatycznie oznaczałoby profesurę.

Polityka nadawania stopni naukowych jest według naukowców kolejną niewiadomą proponowanej przez władzę reformy. Dotychczas PAN przypadały dwie trzecie przyznawanych w Polsce stopni doktorskich. Jak będzie wkrótce, trudno powiedzieć, ale obawy profesorów nie są bezzasadne. – To pieśń przyszłości. Jak większość uzgodnień, tak i ta kwestia poddawana jest obecnie konsultacjom – tłumaczy enigmatycznie rzeczniczka Ministerstwa Nauki Ewa Kafarska. I dodaje: – Dlaczego pani pyta? Czy to nie insynuacje tej stalinowskiej instytucji?

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Chodzi o ochronę życia naukowego przed decyzjami politycznymi

Profesor Karol Modzelewski z Instytutu Historii PAN

W kuluarowych rozmowach naukowcy przypominają, że PAN-owski rozdział ma w swej karierze zawodowej matka braci Jadwiga Kaczyńska. Pracowała w Instytucie Badań Literackich. Zajmowała się fiszkami bibliograficznymi. Czuła się chyba gorsza od koleżanek – mówią nasi rozmówcy – bo urządzała czasami kłótnie, że jej praca jest równie wartościowa jak badania literackie. Jeden z profesorów PAN uważa, że urazy z przeszłości w rodzinie Kaczyńskich odgrywają ważną rolę. W obecnej rozprawie z PAN dopatruje się więc i osobistych resentymentów.

Fot. TOMASZ PACZOS/FORUM

Prezydent Lech Kaczyński pół roku wstrzymywał nominacje profesorskie. Na zdjęciu: druga tura nominacji dla 94 osób, czerwiec 2006

Zapowiedziane zmiany w organizacji polskiej nauki w dziwny sposób zbiegają się z wchodzącą w życie w marcu lustracją środowiska profesorskiego. Profesor Wiklin jeszcze w ubiegłym roku ostrzegał, że oznacza to kontrolę „wszystkich nauczycieli akademickich na zasadzie: udowodnij, że nie jesteś świnią". – Przecież o to właśnie chodzi: obrzucanie błotem, z którego trudno się oczyścić – dodaje profesor Tazbir.

Szef PAN Michał Kleiber przyznaje, że docierają do niego sygnały dotyczące lustracji: że będzie ona bardziej krwawa niż w innych środowiskach naukowych, bo wykładowcy PAN mieli więcej swobody niż uniwersyteccy, częściej wyjeżdżali za granicę, a do tego niemal wszyscy są w grupie wiekowej podlegającej lustracji.

– Statystyka jest nieubłagana. Tak jak i w innych środowiskach, tak i w PAN pojawi się pewnie problem lustracyjny. Ci, którzy sami przyznają się do współpracy ze służbami specjalnymi, zostaną poddani ocenie środowiska – mówi profesor Kleiber. Jego zastępca profesor Modzelewski uważa, że lustracja środowiska profesorskiego nie przebiegnie gładko: – Lustracja nie prowadzi do prawdy, zwłaszcza prawdy, która nas wyzwoli – mówi. Czyli zamiast oczyszczenia w rzeczywistości będziemy mieli do czynienia z zamuleniem obrazu, tak jak miało to miejsce podczas lustracji duchownych czy dziennikarzy.

Wystarczy przypomnieć sytuację sprzed dwóch lat na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdy działaczka podziemnej Solidarności na podstawie otrzymanych z IPN dokumentów opublikowała w „Gazecie Polskiej" listę 21 agentów pracujących na UJ. Po roku specjalna komisja UJ oceniła jednoznacznie negatywnie tylko jeden przypadek (patrz ramka niżej).

Zgodnie z nową ustawą lustracji podlegają pracownicy nauki i szkolnictwa wyższego. Tak jak inne osoby uznane za publiczne i podlegające lustracji muszą oni złożyć oświadczenie w tworzonym właśnie biurze lustracyjnym Instytutu Pamięci Narodowej. I to IPN ma zweryfikować zgodność tych oświadczeń ze znajdującymi się w archiwach dokumentami. W przypadku wykrytych kłamstw prokurator IPN będzie wnosił sprawę do sądu – wyjaśnia rzecznik IPN Andrzej Arseniuk.

Naukowcy są przekonani, że podobnie jak w innych środowiskach nie zabraknie tu przecieków, wzajemnego lustrowania się profesorów, szczucia i trwających latami procesów w obronie własnego dobrego imienia.

W sytuacji dość rozpowszechnionego syndromu prostactwa i ignorancji w postrzeganiu historii XX wieku polska nauka stoi w obliczu zmian, które są konieczne, ale źle przeprowadzone mogą być bardzo szkodliwe – ostrzega profesor Modzelewski. Zwłaszcza gdy przeprowadza się je w celu podporządkowania nauki celom politycznym.

Wątpliwe, by polska nauka pozwoliła PiS w ciągu paru miesięcy zrobić ze sobą to, czego PRL nie udało się zrobić przez pół wieku. Tylko po co prowadzić tę wojnę? Wystarczyłby dialog i wspólna praca nad zmianami. Wystarczyłoby profesorów potraktować po partnersku, zamiast przyprawiać im stalinowską gębę. W końcu obie strony widzą potrzebę reformy, ale jeśli jedna tylko wydaje rozkazy, to druga zaczyna się bronić i walczyć. ■

Lustracja po krakowsku

Uniwersytet Jagielloński przeżył lustracyjny szok jesienią 2005 roku. 23 listopada „Gazeta Polska" opublikowała listę 21 nazwisk domniemanych współpracowników SB, którzy w latach 80. mieli działać na UJ. Listę przekazała gazecie Barbara Niemiec, działaczka podziemnej Solidarności, której IPN jako pokrzywdzonej udostępnił materiały o inwigilacji środowiska solidarnościowego na uniwersytecie, gdyż jej własna teczka została zniszczona. W środowisku akademickim zawrzało, część wymienionych na liście wykładowców podjęło natychmiastową próbę wyjaśnienia sytuacji – bądź to składając oświadczenia rektorowi, bądź wygłaszając publiczną „spowiedź" przed radą wydziału. Władze rektorskie uniwersytetu chciały zwrócić się do IPN z prośbą o weryfikację danych, ale instytut zastrzegł, że nie udostępni archiwów uczelni, bo instytucji nie można uznać za osobę pokrzywdzoną. Na UJ powołano więc wewnętrzną komisję weryfikacyjną. Przygotowany przez nią raport określił tylko dwie osoby z listy jako „nielojane w stosunku do uczelni", a jedną jako rzeczywistego współpracownika. Po tym doświadczeniu powołano na UJ komisję, która zbadała przeszłość pracowników. W ubiegłym tygodniu komisja przyznała, że w przygotowanym przez nią raporcie znajdują się nazwiska 10 tajnych współpracowników SB nadal pracujących na uczelni. Raport ma być ujawniony w tym roku. Rektor UJ profesor Karol Musioł zapowiedział, że osoby takie nie powinny być nauczycielami akademickimi, ale zwolnione zostaną dopiero wtedy, gdy sąd potwierdzi złożenie przez te osoby fałszywych oświadczeń lustracyjnych.

Polska na szarym końcu Europy w wydatkach na naukę

kraj	% PKB	kwota w mln euro
Szwecja	3,86	11 109
Finlandia	3,48	5 474
Niemcy	2,51	56 356
Dania	2,44	5 097
Austria	2,36	5 784
Francja	2,13	36 396
Belgia	1,82	5 428
Czechy	1,42	1 417
Irlandia	1,25	2 020
Słowenia	1,22	338
Hiszpania	1,12	10 100
Włochy	1,1	15 253
Estonia	0,94	104
Węgry	0,94	838
Portugalia	0,81	1 189
Litwa	0,76	157
Grecja	0,61	1 112
Malta	0,61	27
Polska	**0,57**	**1 386**
Słowacja	0,51	194
Bułgaria	0,5	106
Rumunia*	0,39	235
średnia UE (27 krajów)	1,84	
suma wydatków UE (27 krajów)		201 020
Chiny	b.d.	24 042
Japonia*	3,18	117 483
USA*	2,66	251 254

Źródło: Raport Eurostatu, Europejskiego Biura Statystycznego, styczeń 2007, dane za rok 2005 (lub za rok 2004 dla krajów oznaczonych*)

Pierwsze Radio Informacyjne TOK FM
W czwartek **1 marca** po godzinie **14.20** o zmianach w PAN słuchaj w **Blog FM** w Radiu **TOK FM**. Zaprasza Jakub Janiszewski.
www.tokfm.com.pl

REKLAMA

Amerykański durszlak antyrakietowy

Baza antyrakietowa w Polsce nie jest żadnym zagrożeniem dla Rosji, bo mimo stu miliardów dolarów, jakie USA wydały na tarczę, system wciąż nie działa

Antyrakieta waży 36 ton, ma 18 metrów długości. Głowica kryje pojazd niszczący, który taranuje wrogi pocisk w kosmosie

Fot. NASA MSFC

ŁUKASZ WÓJCIK

Baza w Nekomie w Dakocie Północnej przypomina muzeum techniki pod gołym niebem. Ponad ziemię wystaje tylko 16 wypukłych, zardzewiałych klap w kształcie spłaszczonej pieczarki. Pod spodem znajdują się puste, podziemne silosy. To część systemu Safeguard zbudowanego na początku lat 70. na polecenie prezydenta Richarda Nixona. Nekoma miała osłaniać pobliskie wyrzutnie międzykontynentalnych rakiet balistycznych Minuteman. Gdyby Rosjanie postanowili zniszczyć amerykański arsenał nuklearny przed jego użyciem, rakiety systemu Safeguard miały przechwycić wrogie pociski, nim dotarłyby one do celu.

Skuteczność pierwowzoru dzisiejszej tarczy antyrakietowej nigdy nie została sprawdzona w praktyce. Nie tylko dlatego, że Rosjanie nie zdecydowali się na atak – amerykańscy kongresmani doszli do wniosku, że system będzie bezużyteczny, jeśli Rosjanie wystrzelą kilkadziesiąt rakiet naraz. 2 października 1975 roku Kongres odebrał armii budżet na projekt Safeguard. Nastąpiło to 24 godziny po tym, jak baza w Nekomie osiągnęła pełną gotowość bojową.

SPRAWNA TYLKO NA PAPIERZE

– Jeżeli wystrzelicie rakietę, my ją zestrzelimy – obiecał „państwom zbójeckim" prezydent George W. Bush dwa miesiące po ataku na World Trade Center. Sześć lat po tej deklaracji amerykański system obrony przeciwrakietowej rzeczywiście istnieje, tyle że wciąż nie działa. Na 11 prób tylko w sześciu tarcza okazała się szczelna.

– Podczas wszystkich prób obrona wiedziała, gdzie, kiedy i z jaką prędkością będzie leciała „wroga" rakieta. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby rakieta rzeczywiście była wroga – mówi „Przekrojowi" Stephen Trimble, specjalista od rakiet i dyrektor amerykańskiej redakcji przeglądu wojskowego „Jane's Defense Weekly".

Mimo nierozwiązanych problemów technicznych tarcza nabiera konkretnych kształtów – za 10 miliardów dolarów rocznie. Nieskomplikowany test, który trwa 25 minut, kosztuje niemal sto milionów. – Stany Zjednoczone włożyły już w tarczę sto miliardów dolarów, a według planów Departamentu Obrony w 2013 roku roczne wydatki na tarczę sięgną 20 miliardów dolarów – mówi Trimble. Za co amerykański podatnik płaci taką fortunę?

Oczekiwania wobec systemu maleją z roku na rok. Safeguard miał obronić USA przed pierwszą falą radzieckich rakiet balistycznych z głowicami nuklearnymi. Gdy Biały Dom przekonał się, że ze względu na liczbę radzieckich rakiet jest to niewykonalne, ograniczył obronę do kilku najważniejszych miejsc w kraju. Dzisiejsza tarcza ma zapewnić ochronę przez atakiem maksymalnie pięciu rakiet. Dwaj potencjalni agresorzy to Iran i Korea Północna. Rakiety Kima mają przechwycić instalacje w USA. Baza w Europie ma mieć na oku Iran.

Gdyby Phenian zdecydował się dziś na atak, odpowiedź nadleciałaby z Fort Greely na Alasce. Od 2005 roku w pierwszej bazie tarczy antyrakietowej stacjonuje 10 gotowych do startu rakiet przechwytujących, czyli tak zwanych antyrakiet. Wybór miejsca – najzimniejszego punktu na Alasce – jest nieprzypadkowy: stąd najwcześniej można zestrzelić rakietę balistyczną wystrzeloną w Korei Północnej. Drugą linią obrony USA jest baza Vandenberg na zachodnim wybrzeżu USA. Są tam dwie gotowe do startu antyrakiety. Docelowo cała tarcza, łącznie z bazą w Polsce, ma dysponować 250 rakietami przechwytującymi.

„Oczy" systemu to kilkadziesiąt satelitów wyposażonych w radary działające w podczerwieni. Co 10 sekund skanują one powierzchnię ziemi w poszukiwaniu „ognisk energii", czyli smug ciepła wydostających się z dysz startującej rakiety. Gdy po 300 sekundach silnik gaśnie, a rakieta balistyczna opuszcza atmosferę, śledzenie jej przejmuje radar wczesnego ostrzegania Cobra Dane ulokowany na jednej z wysp archipelagu Aleutów (w okolicach Alaski).

Od niedawna to zadanie może też przejąć największy na świecie pływający radar wybudowany w 2005 roku za – bagatela – 950 milionów dolarów. Nad całym systemem usiłuje zapanować Centrum Operacyjne Sił Kosmicznych w Cheyenne Mountain w stanie Kolorado.

ZDERZENIE Z RZECZYWISTOŚCIĄ

– „Usiłuje" to dobre sformułowanie. Jak dotąd po każdym teście tarczy dowództwo zmienia procedury. Ale może chodzi po prostu o zmylenie potencjalnego agresora – mówi Trimble.

Obecna amerykańska strategia przewiduje zestrzelenie wrogiego pocisku w środkowej fazie lotu, gdy znajduje się on kilkaset kilometrów nad ziemią. System musi zniszczyć głowicę w ciągu 20 minut od wystrzelenia rakiety.

W teorii wszystko jest proste: na podstawie danych z radarów komputery w centrum dowodzenia obliczają przewidywany tor lotu rakiety. Antyrakieta zostaje wystrzelona, po wejściu na trajektorię wrogiego pocisku odłącza się od niej niewielki, ważący 70 kilogramów „pojazd niszczący".

Dzięki niewielkim silnikom *kill vehicle* może manewrować w ostatniej fazie lotu przed zderzeniem z wrogą głowicą. Zniszczenie następuje bez użycia ładunku wybuchowego. Wystarczy siła kinetyczna dwóch obiektów mknących w przeciwnych kierunkach z prędkością ponad 20 tysięcy kilometrów na godzinę.

– Praktyka odbiega jednak od ideału. System zawodzi nawet w „cieplarnianych" warunkach, jakie towarzyszą testom – mówi Philip A. Coyle, były dyrektor Pentagonu do spraw testów, dziś

Fot. BETTMANN/CORBIS

Dzisiejsza tarcza to uboga wersja programu „Wojen gwiezdnych" Ronalda Reagana

Tarcza – obsesja Republikanów

Obrona antyrakietowa to „konik" Partii Republikańskiej. W 1983 roku Ronald Reagan ogłasza program **„Wojen gwiezdnych"**. System nie powstaje, ale związany z nim wyścig zbrojeń doprowadza ZSRR do bankructwa.

Po zakończeniu zimnej wojny demokrata **Bill Clinton obcina fundusze na obronę antyrakietową**, ale już w 1996 roku Republikanie, którzy zdobyli właśnie większość w Kongresie, reanimują tarczę. Podczas walki o drugą kadencję Clinton przejmuje pomysł i po zwycięstwie zleca Pentagonowi **rozpoczęcie prac nad systemem**. W 1998 roku komisja Rumsfelda apeluje o przyspieszenie prac nad tarczą. Osłabiony „skandalem rozporkowym" Clinton zgadza się na zwiększenie wydatków na rozwój systemu, ale już rok później **ostatecznie wstrzymuje budowę baz**.

Dobre czasy dla projektu wracają za prezydentury George'a W. Busha. W czerwcu 2001 roku Pentagon dostaje na projekt **8,3 miliarda dolarów**, a po zamachach na WTC w 2001 roku już nawet Demokraci boją się podważać sensowność budowy tarczy. W czerwcu 2002 **USA występują z Układu o Rakietach Antybalistycznych**, który ograniczał prawo posiadania strategicznych systemów antyrakietowych do jednej bazy. LUC

Jak powinna działać amerykańska tarcza antyrakietowa

Fot. MCT/BULLS

DLACZEGO TO NIE DZIAŁA? Na 11 prób tylko sześć zakończyło się zestrzeleniem „wrogiej" rakiety. Trafienie w pocisk pędzący 20 tysięcy kilometrów na godzinę jest wystarczająco trudne, ale główną przeszkodą są wabiki i atrapy wypuszczane przez rakiety balistyczne. Komputery w pojazdach niszczących nie potrafią odróżnić ich od właściwej głowicy. Dlatego testy wykonuje się w zafałszowanych warunkach – bez atrap i wabików albo z małą ich liczbą, by nie narażać próby na niepowodzenie.

analityk Center for Defense Information. Ostatni test tarczy odbył się 1 września ubiegłego roku. Pojazd niszczący trafił w cel, bo emitował on sygnał naprowadzający i nie wypuścił żadnych wabików ani atrap.

Po wyjściu z atmosfery nowoczesne pociski balistyczne uwalniają od kilku do kilkunastu aluminiowych balonów, a sama głowica jądrowa „chowa się" w jednym z nich. Wszystko po to, by zmylić ewentualną antyrakietę. Na wysokości kilkuset kilometrów kamerom i komputerom w pojazdach niszczących trudno odróżnić głowicę od wabików. Przyciąganie ziemskie jest tak niewielkie, że wszystkie balony poruszają się z podobną prędkością.

O dwóch poprzednich testach z grudnia 2004 i lutego 2005 roku Amerykanie woleliby zapomnieć. Podczas pierwszego zacięła się klapa silosu – na szczęście zadziałały bezpieczniki i antyrakieta nie odpaliła. Druga porażka nastąpiła już na orbicie – pojazd niszczący nie odpiął się od rakiety, a „wrogi" pocisk przemknął mu przed nosem.

– Nie twierdzę, że zestrzelenie pocisku mknącego 500 kilometrów nad ziemią jest proste. To tak, jakby za jednym uderzeniem trafić piłeczką golfową do dołka poruszającego się z prędkością siedmiu kilometrów na sekundę. Jeśli dodamy do tego różne atrapy, na polu golfowym dochodzą nam jeszcze mknące z tą samą prędkością „fałszywe" dołki – podsumowuje Coyle.

Teoretycznie najłatwiejsze byłoby przechwycenie wrogiej rakiety w pierwszej fazie lotu, podczas wznoszenia. Jej silnik wydziela wtedy najwięcej ciepła, więc rakieta jest najlepiej widoczna w podczerwieni i nie może zmylić pocisku przechwytującego żadnymi atrapami. Kłopot w tym, że lot w atmosferze trwa zaledwie kilka minut, a tak szybkie wykrycie jest możliwe tylko wtedy, gdy satelita znajduje się dokładnie nad miejscem wystrzelenia – to szansa jedna na milion, chyba że mamy do dyspozycji milion satelitów. Poza tym baza antyrakiet musiałaby znajdować się nie dalej niż 50 kilometrów od wrogiej wyrzutni.

O ile w przypadku Korei Północnej tak bliskie ulokowanie antyrakiet jest możliwe (na Morzu Japońskim stale stacjonują amerykańskie okręty, wyposażone w antyrakiety), o tyle zestrzelenie irańskiego pocisku w fazie startowej wymagałoby umieszczenia wyrzutni w samym Iranie. – Lub w państwie sąsiadującym z Iranem od zachodu, ale obecnie nie wyobrażam sobie amerykańskich silosów w Iraku – mówi Coyle.

AMERYKANIE ZBUDUJĄ NAM MUZEUM?

Najgorsze jest jednak to, że wyzwania techniczne stale rosną. Nie chodzi ani o silniki, ani o konstrukcję rakiety przechwytującej. – Najszybciej starzeje się elektronika. Z dnia na dzień może się okazać, że nieukończony jeszcze system antyrakietowy już dziś nadaje się na złom – mówi „Przekrojowi" John Pike, szef amerykańskiego think tanku wojskowego GlobalSecurity.

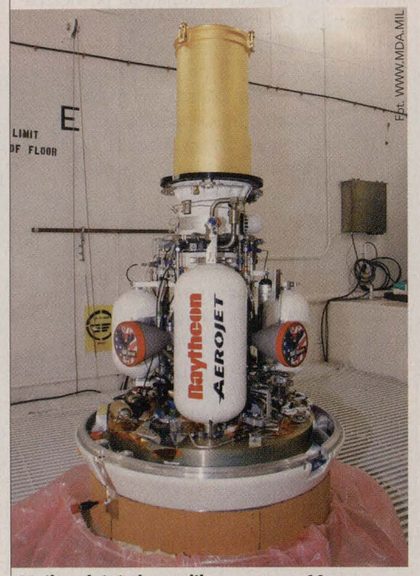

Fot. WWW.MDA.MIL

Najbardziej skomplikowana część tarczy to pojazd niszczący. Waży 70 kilogramów i nie zawiera ładunków wybuchowych

Tak się stało w połowie lat 90., gdy Rosjanie zaprezentowali nową rakietę balistyczną SS-27. Cała ówczesna koncepcja amerykańskiego systemu antyrakietowego zakładała, że agresor nie użyje rakiety nowocześniejszej niż SS-25. Zwiększone możliwości manewrowe i trudna wykrywalność nowej broni sprawiły, że system obrony stał się bezużyteczny.

– Każdy miliard dolarów wydany na obronę antyrakietową daje porównywalną przewagę technologiczną jak wydatek 10 milionów na ulepszanie ofensywnych rakiet balistycznych. Ameryka może nie wytrzymać tego wyścigu. Ale w tym momencie nie dysponujemy żadną lepszą technologią – mówi Pike.

Pomijając przeciwności polityczne – czy jest zatem sens budowania bazy antyrakietowej w Europie? – Obawiam się, że obecną tarczę antyrakietową może spotkać to samo co program Safeguard. Tyle że tym razem muzeum podobne do tego w Nekomie powstanie również w Polsce. Zamknięcie programu może nastąpić już za kadencji następnego prezydenta, prawdopodobnie demokraty – przewiduje Philip A. Coyle.

Najskuteczniejszy jak dotąd amerykański system antyrakietowy składa się z dwóch elementów: byłego sekretarza obrony Williama Perry'ego i byłego ambasadora Christophera Hilla. Pierwszy doprowadził w 1994 roku do podpisania porozumienia genewskiego, w ramach którego reżim w Phenianie zezwolił na międzynarodową inspekcję swoich instalacji jądrowych. Drugi z nich, były ambasador USA w Warszawie, a obecnie główny negocjator amerykański do spraw rozbrojenia Korei Północnej, wynegocjował 12 lutego stopniową likwidację głowic atomowych Kim Dzong Ila. ■

Więcej o tarczy antyrakietowej w WP.PL w serwisie **wiadomosci.wp.pl**

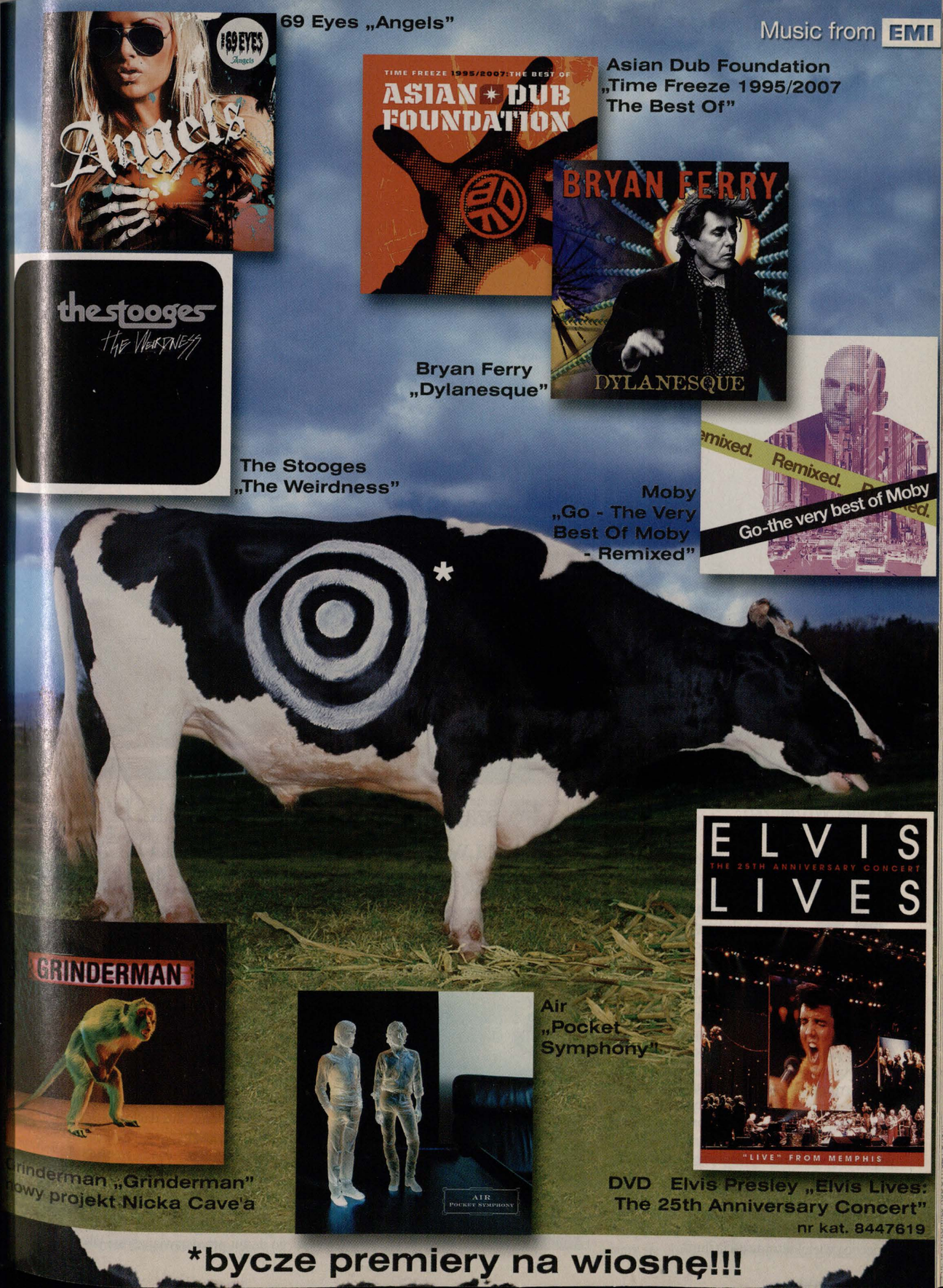

Chińska republika olimpijska

30 miliardów dolarów przeznaczył rząd Chin na organizację olimpiady 2008 – najwięcej w historii igrzysk. Na zdjęciu: prace wykończeniowe w wiosce olimpijskiej

Fot. JIANAN YU/REUTERS/FORUM

JOANNA WOŹNICZKO

Najdroższa, największa i najlepsza – taka będzie olimpiada w Pekinie. „Wielki Marsz" do igrzysk ma porwać Chińczyków jak kiedyś hasła Mao

W Pekinie trwa gorączka. Na ulice wyległy hordy wolontariuszy. Niebieskie uniformy, karminowe szarfy i jeden wspólny cel: zrobić z pekińczyka wzorowego petenta. – Ludzie cywilizowani nie wpychają się do kolejek! To chwalebne być uprzejmym! – agitują. Na celowniku są też inne społeczne plagi: przekleństwa, grubiaństwo, plucie na ulice, trącanie łokciami przechodniów, smarkanie na trotuary. Rodzice pekińskich uczniów chodzą na kursy dobrych manier.

Trwa rozpaczliwa akcja nauki angielskiego – na pierwszy ogień poszło 480 tysięcy taksówkarzy. Wkuwają 300 najpotrzebniejszych fraz. Władze z zapałem zwalczają też „chinglish", popularną w Chinach mieszankę angielskiego i chińskiego, która owocuje miejskimi szyldami w rodzaju „Toaleta zdeformowanych ludzi" (zamiast toaleta dla niepełnosprawnych) albo „Park rasizmu" (park miejski z ekspozycją poświęconą wielokulturowości Chin).

Fot. AP

Nawet usypywanie boiska do siatkówki plażowej to w Pekinie społeczna akcja

Całości dopełniają budowy i inwestycje. Tysiące kilometrów nowych autostrad, trzy linie metra z 72 stacjami, miasteczko olimpijskie na 150 obiektów – w tym gigantyczny stadion Ptasie Gniazdo i równie wielkie centrum pływackie Wodny Sześcian. Nowemu musi ustąpić stare – zburzono już 300 tysięcy budynków, wśród nich części XV- i XVII-wiecznych dzielnic Pekinu. Bez dachu nad głową zostało 400 tysięcy osób.

– Przyszli nocą, kiedy wszyscy spali. Nagle runęła cała ściana naszego domu. Mieszkało w nim sporo osób, na parterze mieliśmy nawet sklepik – opowiada organizacji Human Rights Watch jeden z mieszkańców zburzonego domu przedstawiający się jako Zhang.

Jednym słowem – do sierpnia przyszłego roku wszystko ma być dopięte na ostatni guzik, a Pekin gotowy na odegranie najdroższego w historii olimpiad show dla całego świata. Show, w którym sportowe rozgrywki będą tylko pretekstem do globalnej promocji nowych, wielkich Chin.

JESTEŚMY KRAJEM WYSOKOROZWINIĘTYM

25 stycznia to wielki dzień dla Khonga Fanzhi, szefa ochrony zabytków w Pekinie. Fanzhi nie ma łatwego życia – przy gwałtownej rozbudowie miasta z jego opinią mało kto się liczy, a w konkurencji zabytek–drapacz chmur wygrywa zazwyczaj ten ostatni. Teraz jednak specjalnie dla Khonga zwołano międzynarodową konferencję prasową. Wszystko dlatego, że na placu budowy olimpijskiego miasteczka odkopano dwie XV-wieczne świątynie. Takiej szansy nie można było przegapić. Komitet Olimpijski natychmiast szumnie zapowiedział ich odnowę, a nawet przeniesienie w inne miejsce, a słowa Khonga Fanzhi przysłoniły to, że pod nowe budowle burzy się całe połacie starego Pekinu.

Gdyby nie olimpiada, Pekin raczej nie przejmowałby się niszczeniem zabytków. Ale teraz władzom doradza amerykańska firma PR-owska Hill & Knowlton. Na koncie ma sukcesy mocno kontrowersyjne – od milionowych kontraktów z krajami oskarżanymi o łamanie praw człowieka po promowanie w USA pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. To Hill & Knowlton w 1990 roku posłało do Kongresu pielęgniarkę Nairę, której opowieść o okrucieństwach dokonywanych w irackich szpitalach na kuwejckich dzieciach zbulwersowała kongresmanów i amerykańską opinię publiczną. Potem Naira okazała się córką ambasadora Kuwejtu w USA.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – tłumaczy Tzyy Wang z biura Hill & Knowlton w Pekinie odpowiedzialna za promocję olimpiady. – Pokażemy, że Chiny to nowoczesny kraj o wielowiekowej kulturze. Sport z polityką nie ma nic wspólnego, a pytania o reżim i polityczne cele proszę kierować do rządu.

Jest jasne, że igrzyska nie będą jedynie wydarzeniem sportowym. – Dla Pekinu to szansa pokazania, że Chiny są na arenie światowej nową potęgą – mówi profesor Stefan Landsberger, analityk chińskiej propagandy z Centrum Badań Azji Wschodniej na Uniwersytecie w Lejdzie. – Polityczny komunikat brzmi: być może mamy pewne niedoskonałości, ale nie jesteśmy już częścią Trzeciego Świata. Jesteśmy krajem wysokorozwiniętym – dodaje.

Wielki spektakl Chin skierowany jest do konkretnych widzów. Najbardziej agresywna kampania promocyjna będzie w USA i Unii Europejskiej, ale równie ważnymi odbiorcami olimpijskiego show będą sąsiedzi – Japonia i Tajwan.

– Igrzyska staną się demonstracją potęgi. Pekin chce zrobić wrażenie zwłaszcza na Tajwanie, olśnić jego mieszkańców przepychem olimpiady. Mają poczuć dumę, że są częścią tego narodu – mówi profesor Vincent Wei-Cheng Wang z Uniwersytetu Richmond, sinolog i politolog tajwańskiego pochodzenia.

Fot. AFP/EAST NEWS

Do obsługi igrzysk zgłosiło się już 350 tysięcy wolontariuszy. Teraz uczą rodaków stać w kolejkach. Na olimpiadzie stworzą oddziały „smile service" dla cudzoziemców

Fot. EYE PRESS NEWS/EAST NEWS

Ptasie Gniazdo – nowy stadion narodowy w Pekinie. Tu odbędą się ceremonie otwarcia i zamknięcia igrzysk, a także zawody w klasycznych dyscyplinach olimpijskich

Trudno wymarzyć sobie lepszy moment na promocję. Do Chin wybiera się ponad 20 tysięcy dziennikarzy – więcej, niż kiedykolwiek gościło w komunistycznym państwie. Specjalnie dla nich wydano nawet dekret łagodzący przepisy prasowe: zachodni reporter nie musi się już starać o zezwolenie na poruszanie się po kraju. Jednak w chórze zachwytów nad liberalizacją cenzury rzadko słychać głosy, że przepis obowiązuje tylko do października 2008 roku i nie dotyczy dziennikarzy chińskich.

OLIMPIADA ZAMIAST KOMUNIZMU

Najwięcej do ugrania na tych igrzyskach rząd chiński ma we własnym kraju. Olimpiada stała się czymś więcej niż wspólnym przedsięwzięciem – to zastępcza ideologia, wokół której mobilizuje się cały kraj. – Po 25 latach wmawiania Chińczykom, że mają pracować więcej, zarabiać więcej i napędzać wzrost gospodarczy, trudno oczekiwać, by porwały ich idee komunizmu. Olimpiada wypełnia ideologiczną lukę – mówi Wei-Cheng Wang.

Igrzyska stały się więc opium dla mas. Krytyka olimpiady lub naśmiewanie się z jej symboli jest zabronione specjalnym dekretem, a w jej sponsorowaniu prześcigają się największe chińskie firmy. Naród trzyma kciuki, aby chińscy atleci zdobyli wszystkie złote medale. Pekin przekonuje, że przywilej organizowania olimpiady jest wyrazem międzynarodowego uznania dla rządu. – To jedne z najbardziej nacjonalistycznych igrzysk w historii – zapowiada profesor Landsberger.

Oficjalne odliczanie do ceremonii otwarcia zaczyna się pod koniec marca – 500 dni przed zapaleniem olimpijskiego znicza. Na placu Tiananmen stoi już wielki zegar ze złotymi cyframi „500". Gdy liczba ta zacznie maleć, kampania promocyjna na świecie będzie coraz intensywniejsza. I gdy w sierpniu przyszłego roku wreszcie zgasną światła i w Pekinie rozpocznie się ceremonia otwarcia igrzysk (reżyseria – Steven Spielberg i Zhang Yimou, autor filmu „Zawieście czerwone latarnie"), na pewno damy się olśnić. Ale nie dajmy się zwieść. ■

Do diabła z euro!

Pięć lat po likwidacji marki, franka i lira w Europie rodzą się lokalne waluty. Tyle że zamiast rządów państw wypuszczają je sami obywatele

ŁUKASZ WÓJCIK

Bawarskie chiemgauery przyjmuje już 550 sklepów, restauracji, a nawet przychodni

Drukarz ma ostatnio tyle roboty, że nie śpi po nocach. Farba na banknotach już się nie rozmazuje, ale każda partia i tak schnie po kilka godzin. Spec od wprowadzania banknotów do obiegu wciągnął do współpracy 35 sklepikarzy, ale fama drukarni pieniędzy w bawarskim Prien szybko obiegła całą okolicę. Dziś ledwo nadąża z drukiem.

33-letni Christian Gelleri nie jest fałszerzem pieniędzy. W środku strefy euro drukuje własną walutę – chiemgauera (czyt. kimgauera). Nazwa pochodzi od Chiemgau, regionu Bawarii nad jeziorem Chiemsee, w którym cyrkuluje jego pieniądz.

Gelleriemu, byłemu nauczycielowi matematyki w miejscowym gimnazjum, pomaga kilka byłych uczennic. Gdy zaczynali cztery lata temu, nikt nie dawał im szans. Dziś w całych Niemczech jest już 18 lokalnych systemów walutowych wzorowanych na chiemgauerze. – Idzie nam świetnie. Już 550 sklepów, przychodni i restauracji akceptuje naszą walutę. W obrocie jest ponad 110 tysięcy chiemgauerów – chwali się Gelleri. – Ludzie dzwonią do nas i proszą o pomoc. Wszystkim mówię, że najważniejsze jest zaufanie, że pieniądz to nie rzecz, tylko umowa między ludźmi. Strona techniczna to pestka.

Bundesbank mógłby zdelegalizować lokalne waluty, ale urzędnicy doceniają ich znaczenie dla regionalnych społeczności: wspierają lokalne gospodarki i organizacje pozarządowe, integrują mieszkańców. Poza tym łączna wartość wszystkich banknotów drukowanych przez oddolne inicjatywy w Niemczech nie przekracza 300 tysięcy euro (łączna wartość europejskiej waluty wynosi 610 miliardów euro).

DOBRE, BO BAWARSKIE

Najwyższy nominał drukowanego banknotu to 30 chiemgauerów. Jeden chiemgauer to jedno euro. – Jeśli chcesz wejść do gry, musisz wymienić 100 chiemgauerów za 100 euro. Możesz je wydać wszędzie tam, gdzie znajdziesz nasze logo. I masz pewność, że dostaniesz produkt „made in Bavaria" – mówi Gelleri.

Z zarobionymi chiemgauerami przedsiębiorcy przychodzą do stowarzyszenia Gelleriego i wymieniają je na euro, ale nie w stosunku „jeden do jednego". Za 100 chiemgauerów otrzymują 95 euro. Dwa euro idzie na pokrycie kosztów stowarzyszenia, pozostałe trzy na wskazany przez klienta cel charytatywny lub lokalną inwestycję.

W Prien głównym beneficjentem jest miejscowa szkoła – w ubiegłym roku „zarobiła" na walucie Gelleriego 16 tysięcy euro. W innych niemieckich gminach nieformalny podatek idzie na pomoc starszym ludziom, żłobki, stołówki i muzea. Ale korzystają również zrzeszeni w stowarzyszeniu przedsiębiorcy.

– Te pięć euro, które tracimy na każdej sercie, nie ma znaczenia – mówi Herbert Rifel, kierownik sklepu Alpenblick w Prien. – Dzięki chiemgauerowi skoczyły nam obroty. Ludzie nie chcą kupować w hipermarketach zaopatrywanych przez światowe giganty. Logo chiemgauera stało się rozpoznawalną marką, poza tym sprzedawcy trafnie uznali, że klient jest gotów zapłacić więcej za lokalny towar.

WALUTY WIELOFUNKCYJNE

Pomysł kilku nastolatek i nauczyciela matematyki z Prien zainspirował w Niemczech wielu lokalnych aktywistów. W kilkudziesięciu berlińskich restauracjach za kawę można płacić berlinerami, w Bremie od 2001 roku sklepikarze przyjmują rolandy zamiast euro, a w Karlsruhe działa też carlo.

Zwolennikami lokalnych pieniędzy są również Brytyjczycy. W okolicach Londynu działa kilkanaście LETS-ów, lokalnych systemów wymiany towarów i usług. W Szwajcarii dużą popularnością cieszy się WIR – wirtualna waluta, którą obracają małe i średnie przedsiębiorstwa. Za oceanem najbardziej znane lokalne środki płatnicze to CalgaryDollar i najstarsze (z 1991 roku) nowojorskie „godzinki" z Ithaca.

Lokalnym walutom sprzyja nie tylko wyrozumiałość rządów narodowych, ale również ich niekompetencja. – Tak było w przypadku kryzysu argentyńskiego w 2002 roku. Gdy wartość narodowej waluty staje się nieprzewidywalna, ludzie zaczynają wymieniać towary lub tworzą własną walutę – tłumaczy Andrzej Sadowski z Centrum imienia Adama Smitha.

Gdy pięć lat temu argentyńskie peso poleciało gwałtownie w dół, a bankomaty na ulicach Buenos Aires przestały wypłacać pieniądze, rolę „zastępczego" środka płatniczego odegrała IOU, waluta stworzona spontanicznie przez samorządy lokalne i przez nie gwarantowana. – Dzięki IOU wielu Argentyńczyków uratowało część swoich oszczędności – mówi Sadowski.

Tworząc chiemgauera, Gelleri zastosował jeszcze jeden oryginalny mechanizm. – Nasza waluta się starzeje. Jeśli będziesz ją trzymał w skarpecie, straci na wartości. I to wcale nie z powodu inflacji – mówi Gelleri. Chiemgauer nie ulega inflacji, bo jest sztywno powiązany z euro. Jego wartość w stosunku do europejskiej waluty jest zawsze taka sama. Ale na bawarskich banknotach jest data ważności. Jeśli właściciel nie wyda ich w ciągu trzech miesięcy, banknot traci dwa procent swojej wartości.

Aby przywrócić mu pierwotną wartość, trzeba nakleić na banknot znaczek sprzedawany przez stowarzyszenie. – Chiemgauer „parzy" w ręce. Dzięki temu nikt nie oszczędza, tylko wydaje, a interes się kręci – mówi Gelleri. Ale najważniejsze jest poczucie wspólnoty. Chiemgauer jest umową opartą na zaufaniu. ■

W Polsce tylko złoty

Ustawa o Narodowym Banku Polskim nie dopuszcza emisji walut lokalnych. NBP przysługuje wyłączne prawo emitowania znaków pieniężnych Rzeczypospolitej Polskiej, czyli banknotów i monet. Innych banknotów lub monet będących prawnym środkiem płatniczym na obszarze RP prawo nie przewiduje. Tyle mówi ustawa.

Czy to oznacza, że lokalne środki płatnicze nie mogą działać w Polsce? – My działamy już od czterech lat. Co prawda nie drukujemy banknotów i na razie zrzeszamy tylko firmy, ale to dopiero początek – mówi Dariusz Brzozowiec z gliwickiej firmy BCI. Problem z drukowaniem pieniędzy może zniknąć z dnia na dzień, gdy Polska przystąpi do strefy euro. Wtedy każdy polski samorząd lub lokalne stowarzyszenie będzie mogło wskazać na chiemgauera i domagać się równego traktowania. LUC

REKLAMA

człowiek

Gładka, sprężysta skóra powiększona tysiąc razy wygląda niczym poszarpany papier

Fot. CORBIS (3)

NAGA prawda o skórze

Nadzy, spoceni, różnokolorowi – tacy jesteśmy. Nasza skóra, choć przywykliśmy do jej widoku, wciąż kryje niezwykłe tajemnice

ALEKSANDRA KOWALCZYK

Kiedy spotykasz ludzi – bez względu na to, czy ubranych na ulicy, czy rozebranych na plaży – pierwszą częścią ich ciała, którą dostrzegasz, czujesz i której być może dotykasz, jest skóra – pisze biolog, profesor Jared Diamond. – To nasz największy i najbardziej widoczny organ, nasz osobisty słup ogłoszeniowy, nasza ozdoba i reklama".

Skóra przeciętnego dorosłego człowieka mierzy dwa metry kwadratowe i waży cztery kilogramy. W gorącym dniu w pustynnym klimacie potrafi wyprodukować aż 11 litrów potu! Normalne jest to, że im jest goręcej, tym bardziej się pocimy. Jednak tak duża potliwość, bladość naszej skóry i brak jej owłosienia to spore dziwactwo w świecie zwierząt – twierdzi Nina G. Jablonski w wydanej właśnie w Stanach Zjednoczonych książce „Skin: A Natural History" („Skóra: Historia naturalna"). Wyewoluowaliśmy przecież od tego samego praprzodka co szympansy czy goryle i wszystko wskazuje na to, że nasz protoplasta sprzed sześciu milionów lat nie uskarżał się na brak owłosienia, miał ciemną skórę i nie pocił się tak obficie, mimo że żył w strefie równikowej. Jak więc to się stało, że powstał z niego bezwłosy i potliwy osobnik z gatunku *homo*? To pytanie nie tylko o charakter naszej skóry, ale w pewnym sensie również klucz do całej fizjologii człowieka.

Pot chłodzi mózg

Przez lata wysuwano najbardziej szalone hipotezy dotyczące braku owłosienia u ludzi – włącznie z sugestią wspólnego pochodzenia ludzi i delfinów. Co jednak naprawdę stoi za nagością naszej skóry?

„Jedynym wytłumaczeniem naszego braku owłosienia, zgodnym z dostępnymi skamieniałościami, dowodami anatomicznymi i środowiskowymi, jest pocenie się – pisze Jablonski. – Dla aktywnego przedstawiciela rzędu naczelnych żyjącego w gorącym środowisku posiadanie nagiej i aktywnie pocącej się skóry jest najlepszym sposobem na utrzymanie stałej temperatury ciała, a przede wszystkim mózgu".

Sierść innych ssaków chroni nie tylko przed zimnem, ale i przed przegrzaniem organizmu, co było szczególnie ważne w gorących rejonach, gdzie ewoluował człowiek. Jednak pocenie się, a więc oddawanie ciepła poprzez parowanie, jest o wiele skuteczniejszym sposobem chłodzenia się niż nawet najlepsze futro. Wielkie problemy z jego oddaniem mają ludzie cierpiący na jedną z postaci dysplazji ektodermalnej, choroby genetycznej charakteryzującej się niesprawnością gruczołów potowych.

Obfite pocenie się dało naszym przodkom znaczną przewagę nad innymi stworzeniami zamieszkującymi okołorównikową Afrykę. Mogli pozwolić sobie na znaczny wysiłek w ciągu dnia, a więc przemierzanie truchtem wielkich odległości w poszukiwaniu pożywienia, w czasie gdy większość drapieżników stara się kryć w cieniu drzew.

To dlatego w toku ewolucji człowiek stał się jedynym tak silnie pocącym się stworzeniem. To między innymi potowi zawdzięczamy ogromny sukces ewolucyjny.

Biali od 50 tysięcy lat

Za ochronę gruczołów potowych przed szkodliwym działaniem słońca odpowiedzialny jest kolor skóry – im ciemniejszy, tym lepszą stanowi barierę dla promieni i tym skuteczniejszą daje ochronę przed degeneracyjnym i kancerogennym działaniem słońca. Do niedawna tę właściwość uznawano za podłoże powstania ras ludzkich. Jednak najnowsze badania przeczą tej powszechnie znanej tezie.

„Pigmentacja skóry powinna być na tyle ciemna, aby powstrzymać uszkodzenia skóry przez promienie UV, ale też na tyle jasna, by pozwolić na produkcję niezbędnych dla życia substancji uwalnianych przez promieniowanie słoneczne – pisze Nina G. Jablonski. – Innymi słowy, kolorem skóry zarządza melanina".

Melanina to pigment, który działa jak naturalny filtr przeciwsłoneczny – zapobiega uszkodzeniom DNA skóry wywoływanym przez słońce, a więc umożliwia produkcję witaminy B wspomagającej podział komórek. Melanina uwalniana jest dzięki penetracji skóry przez promieniowanie UV, tak więc im więcej słońca, tym więcej melaniny się wydziela. Równocześnie jednak promieniowanie słoneczne jest niezbędne skórze do tego, by uruchomić produkcję witaminy D, która pobudza wchłanianie wapnia przez organizm, a więc zapobiega na przykład krzywicy. Chodzi więc o to, by skóra była na tyle ciemna, żeby zapobiec uszkodzeniom skóry i rakowi, i na tyle jasna, by wyprodukować niezbędną dawkę witaminy D. Naukowcy oceniają, że biała skóra pojawiła się mniej więcej 20–50 tysięcy lat temu, kiedy ludzie o ciemnej skórze wywędrowali w obszary mniej wystawione na działanie słońca niż równikowa Afryka, kolebka ludzkości.

Zmarszczki górą

Uśmiechamy się, martwimy, dziwimy, marszczymy gniewnie brwi, a wszystkie te emocje pozostawiają trwały ślad na naszej skórze. Zaczyna się od zmarszczek mimicznych, a już po trzydziestce pojawiają się trwałe bruzdy związane z wiekiem. Skóra staje się coraz cieńsza, osłabia się strukturalna łączność między jej warstwami: dermą i epidermą, co jest skutkiem pogarszania się stanu włókien elastyny i kolagenu odpowiedzialnych za elastyczność naszej zewnętrznej powłoki.

Z wiekiem maleje też aktywność gruczołów potowych i łojowych, słabną możliwości zatrzymywania wody przez skórę, a więc łatwiej ulega ona odwodnieniu. Zmianie ulegają też melanocyty, a przez to skóra traci swoje równomierne zabarwienie, staje się bardziej przezroczysta. Osłabieniu ulegają także mięśnie podtrzymujące owal twarzy (efekt – zwisające policzki i opadające powieki). Maleje produkcja nowych komórek skóry.

Największe i najszybsze zmiany zachodzą w naszej skórze pod wpływem słońca. Fachowo nazywa się to zwyrodnieniem świetlnym – elastozą. To słońce zamienia elastynę i kolagen w bezkształtną masę poskręcanych włókien, z których formują się zmarszczki. Pod wpływem promieniowania zwiększa się liczba piegów u osób o jasnej skórze, ale też innych przebarwień utworzonych przez zdeformowane melanocyty. Skutki promieniowania UV są tak samo zgubne dla wszystkich ras, choć ciemna karnacja dłużej się broni przed jego niszczącym działaniem.

Opalanie się od kilku lat jest definitywnie passé. Sporo się zmieniło w tej dziedzinie od czasu, kiedy Brigitte Bardot promowała intensywne smażenie się na słońcu. Zresztą późniejsze zdjęcia aktorki są najlepszym dowodem na to, że chirurgia plastyczna nie zdołała odrobić strat spowodowanych przez opalanie. Niezmienna jest natomiast moda na młode twarze, bez względu na wiek. 70-letnia Jane Fonda z zapamiętaniem reklamuje cudowne właściwości odmładzających kremów jednej z firm kosmetycznych, mimo że powszechnie wiadomo o jej słabości do operacji plastycznych okolic oczu czy liftingu twarzy.

Czy nowoczesne kosmetyki mogą rzeczywiście opóźnić starzenie się skóry?

– Aż 80–90 procent efektu doraźnej poprawy wyglądu skóry daje zwykłe nawilżenie – mówi doktor inżynier Jacek Arct, prorektor Wyższej Szkoły Zawodowej Kosmetyki i Pielęgnacji Zdrowia w Warszawie. – Sprawne funkcjonowanie najważniejszych warstw skóry zależy właśnie od nawilżenia, i to ono bywa najczęstszym naszym problemem. Jeśli dzięki dobremu kremowi stworzymy na skórze warstewkę, która zapobiegać będzie ucieczce wody, nastąpi wyregulowanie mnóstwa innych funkcji. A pod względem nawilżania większość kremów działa prawie jednakowo, bez względu na to, czy kosztują pięć, czy 500 złotych.

Bardziej skomplikowana jest sprawa kosmetyków zawierających substancje czynne, stymulujące różne procesy zachodzące wewnątrz skóry. Tutaj nasze działania przypominają zabawę w ciepło–zimno.

– Istnieje bardzo wyraźna granica między kosmetykiem a lekiem. Można stosować jedynie niewiele substancji farmakologicznych działających głębiej na procesy zachodzące w skórze – dodaje doktor inżynier Arct. – Jednak stymulowanie tymi substancjami procesów fizjologicznych ma sens tylko wtedy, kiedy naszej skórze czegoś brakuje. Dobre efekty może dać na przykład uzupełnienie niedoboru witaminy C, która jest niezbędna w syntezie kolagenu. Jeśli jednak zastosuje się tę substancję na skórę bez takiego niedoboru, to nie da to żadnego rezultatu. Podobnie jest z popularnym pantenolem: na skórze z podrażnieniem da doskonałe efekty, ale gdy nie ma podrażnień, nic się nie zmieni.

Przed sięgnięciem po kosmetyk za 500 złotych należałoby więc zidentyfikować problemy, z jakimi boryka się nasza skóra (jeśli w ogóle się z czymś boryka), a więc zasięgnąć porady

Ludzka skóra to doskonałe siedlisko dla rozmaitych gatunków bakterii. Jest ciepła, wilgotna i pełna pysznego łuszczącego się naskórka. Jednak zdjęcie obok to fotomontaż – w rzeczywistości bakterie powinny być trzykrotnie mniejsze

Ludzkie zoo

Ludzka skóra to wielkie zoo – stwierdzili naukowcy z New York University School of Medicine. Wykonali skromną, zdawałoby się, analizę flory bakteryjnej zaledwie sześciu osób. Okazało się, że u każdej z nich na powierzchni skóry bytowało od 30 do 60 gatunków rozmaitych bakterii. Zliczono ponad 200 gatunków, w tym 14 nieznanych nauce! Badacze wytropili je dzięki wnikliwej i czasochłonnej analizie DNA rybosomalnego charakterystycznego dla poszczególnych gatunków. Dzięki temu nasza wiedza o tym, co zamieszkuje nasze ciała, poszła krok naprzód. Do tej pory znaliśmy zaledwie 50 gatunków bakterii żyjących na ludzkiej skórze.

Mężczyzna trzymający własną skórę – upiorny element wystawy plastynatów Güntera von Hagensa. Eksponat wzorowany jest na XVI-wiecznej rycinie anatomicznej

Fot. GAMMA/BE&W

kosmetologa bądź dermatologa. No i pamiętać, że bez względu na cenę i tak najważniejszym zadaniem superkremu będzie nawilżenie naszej skóry. Cała reszta to w dużej mierze rozpędzona machina marketingowa.

A przecież można się pięknie zestarzeć – czasem wystarczy tylko przestać się tego wstydzić.

Ściągawka dla kryminologów

Najbardziej indywidualnym wytworem naszej skóry są linie papilarne. To delikatne grzbiety na powierzchni epidermy utworzone poprzez pofałdowanie leżącej pod nią dermy. Gruczoły potowe są umieszczone w powstałych między nimi rowkach. Linie papilarne mają unikalną kombinację szczegółów: rozgałęzienia grzbietów czy rozmieszczenia gruczołów potowych. Pozwalają odcyfrować bagaż genetyczny, z jakim człowiek przyszedł na świat.

Na przykład na środkowym palcu lewej ręki można wyczytać informacje o wzroście, co skwapliwie wykorzystują kryminolodzy.

Fot. SPL/EAST NEWS (2)

Niewielkie otwory (jeden z nich powiększony) to ujścia gruczołów potowych. Na całym ciele mamy ich nawet cztery miliony

Z układu linii na dłoni można też odgadnąć, czy człowiek urodził się z zespołem Downa. Co więcej, badając linie papilarne kobiet, można wyłowić osoby ze skłonnością do takiej mutacji. Badania dowiodły, że ludzie mający podobne linie papilarne w zbliżony sposób przechodzą zawał serca.

Czy linie papilarne to wyłącznie domena ludzi?

– Wszystkie ssaki naczelne mają linie papilarne na rękach i stopach, a niektóre małpy mają je nawet na spodniej stronie ogona – twierdzi profesor Jeff Froehlich, antropolog z University of New Mexico.

Charakterystyczne żłobienia na ogonie pomagają żyjącym w Wenezueli małpom z podrodziny czepiaków (black-handed spider monkey – Ateles geoffroyi) trzymać się gałęzi. Podobnie nasze opuszki, zwiększając tarcie, ułatwiają nam chwytanie przedmiotów.

Normalnie linie papilarne wykształcają się między szóstym a 17. tygodniem życia płodowego. Jednak u niektórych ludzi nigdy to nie następuje. Dwa poważne schorzenia genetyczne – dermatopatia pigmentosa oraz syndrom Naegeliego (Naegeli syndrome) – skutkują brakiem charakterystycznych bruzd i żłobień na opuszkach palców. W 1995 roku w Waszyngtonie policja stanęła przed niespodziewanym problemem – od zatrzymanego mężczyzny nie dało się pobrać odcisków palców. Jego opuszki były zupełnie gładkie, nawet na zgięciach stawów nie istniały charakterystyczne linie zgięć. Odcisk próbowano bezskutecznie pobrać również ze stóp i z lewej dłoni zatrzymanego. Dopiero u nasady palca prawej ręki udało się znaleźć ledwie widoczne linie, które wystarczyły do identyfikacji.

W pewnym sensie jesteśmy więc niewolnikami naszej skóry. Choć oczywiście najważniejsze jest niewidoczne dla oczu, pierwsze wrażenie i tak zależy od jej wyglądu. To ostatecznie największy z naszych organów. ■

FAKTY ZE SKÓRY

- Skóra człowieka najcieńsza jest na powiekach, natomiast najgrubsza na piętach. Jej grubość waha się od dwóch do trzech milimetrów.
- W ludzkiej skórze znajduje się prawie 18 kilometrów naczyń krwionośnych.
- W każdej minucie gubimy blisko 50 tysięcy komórek skóry. W skali globalnej oznacza to, że martwa skóra odpowiada za prawie miliard ton pyłu unoszącego się w powietrzu.
- Piegi, pieprzyki to plamy pigmentu, czyli skupiska melaniny powstające pod wpływem promieniowania słonecznego. Niemowlęta nie są jeszcze piegowate, ale już kilkuletnie dzieci, owszem. Piegi często zanikają w okresie dojrzałości, w przeciwieństwie do pieprzyków, których liczba stale rośnie.
- Do skóry zalicza się również jej przydatki powstające z nabłonka tworzącego naskórek: włosy, paznokcie oraz pióra, łuski i pazury.
- Receptory w skórze są narządami zmysłów: dotyku, bólu, nacisku i temperatury.

REKLAMA

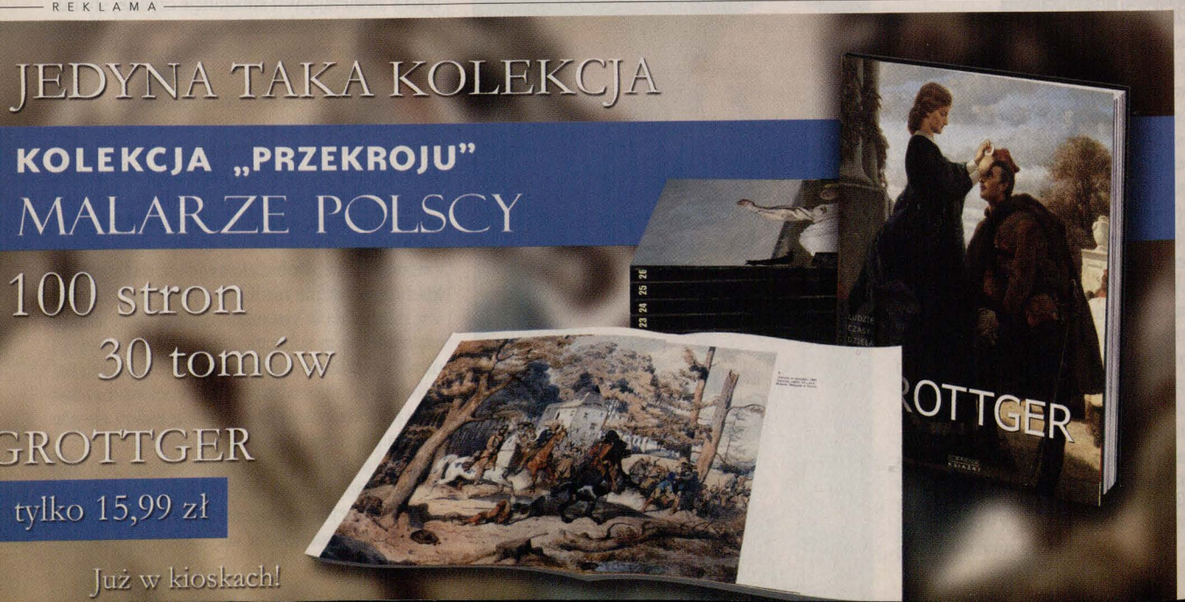

Witkacy
Nikifor
Boznańska
Wyspiański
Makowski
Weiss
Malczewski
Fałat
Kossakowie
Pułkowski
Duda-Gracz
Gierymski
i wielu inn

PRZE KRÓJ

od czwartku do czwartku

Z „PRZEKROJEM" W MERCER'S COFFEE

Duża, gorąca kawa latte, z wybranym syropem smakowym + najnowszy numer „Przekroju" w specjalnym zestawie

MERCER'S COFFEE

PRZE KRÓJ

Specjalnych zestawów szukaj

w **WARSZAWIE** w kawiarniach MERCER'S COFFEE: Nowy Świat 25, Chmielna 21, Wola Park, ul. Górczewska 124, Galeria Centrum, ul. Marszałkowska 104/122, Janki k. Warszawy, Arkadia, ul. Jana Pawła II 82, Puławska 22, al. Solidarności 117; teraz też we **WROCŁAWIU**: plac Solny 20 oraz lotnisko; w **POZNANIU**: ul. Fredry 1; w **ŁODZI**: Manufaktura – 2 kawiarnie (na parterze i na I piętrze)

fot. BOGDAN KRĘŻEL

Dane w kropce

Z bezładnej mieszaniny punktów komputer może odczytać złożoną wiadomość. Tak działa następca kodu kreskowego

Kody kreskowe znamy wszyscy. Charakterystyczny ciąg czarnych i białych kresek można dziś znaleźć na okładce „Przekroju" czy paczce ziemniaków. Różnicując grubość kresek i odstępy między nimi w sekwencji, koduje się zwykle ciąg cyfr. Czytnik optyczny, najczęściej wykorzystujący laser, odczytuje cyfry, które w bazie danych sklepu przypisane są do konkretnego produktu.

Klasyczny kod kreskowy wymyślono w 1948 roku w Drexel Institute of Technology w Filadelfii. Przez lata ten prosty system był zupełnie wystarczający i przyjął się jako standard na całym świecie, jednak nadszedł czas zmian. Dziś pojawia się potrzeba zapisania większej ilości informacji niż proste cyfry – w graficznym symbolu warto ukryć datę ważności, wagę czy cenę produktu.

Zamiast kresek zaczęto stosować kwadratowe matryce składające się z pozornie losowo ułożonych kropek. Ich układ, po odczytaniu przez komputer, tłumaczony jest na sekwencje znaków – pojedynczy kwadrat może oznaczać ponad siedem tysięcy cyfr lub prawie 4300 liter – więcej, niż zawiera cały ten artykuł.

Kropkowany kod można odczytać, korzystając ze zwykłego telefonu komórkowego z wbudowanym aparatem. W Internecie za darmo dostępne są małe programiki odszyfrowujące tak zapisane dane. By wczytać kod, należy pobrać, zainstalować i uruchomić program, a następnie skierować aparat na obrazek. Programy można pobrać ze stron:

www.quickmark.com.tw
reader.kaywa.com
www.shotcode.com
www.beetagg.com

Możecie spróbować sami odczytać informacje, jakie zapisaliśmy w ilustracjach do tego materiału.

Program odczytuje adres internetowy zapisany w postaci kodu ShotCode

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Od sklepu po samochód

Następcy kodów kreskowych przydają się nie tylko w sklepach. Jeśli masz samochód, wyjmij dowód rejestracyjny. Na jednej ze stron znajdziesz duży kwadrat pełen kropek – to dane z dokumentu zapisane w standardzie Semacode. Jednak do odczytania tak złożonej matrycy nie wystarczy telefon komórkowy – rozdzielczość aparatu nie jest wystarczająca. Można spróbować posłużyć się skanerem lub kamerą internetową.

Innym pomysłem na wykorzystanie kodów jest umieszczanie ich na plakatach zapowiadających koncert. Odczytanie kodu telefonem kieruje użytkownika wprost na stronę, na której może kupić bilety. W Japonii, gdzie kropkowe kody są bardzo popularne, wiele osób drukuje kropkowaną matrycę na swojej wizytówce. Dzięki temu nie trzeba mozolnie przepisywać danych do telefonu – imię, nazwisko, numery czy adresy mailowe od razu lądują w pamięci komórki.

Jednym z ciekawszych pomysłów jest Semapedia – projekt oznaczania budynków czy innych obiektów naklejkami z kodami, które zawierają odnośnik do stron Wikipedii opisujących oznaczony obiekt.

ShotCode (www.shotcode.com) służący do kodowania adresów stron internetowych. Po odczytaniu kodu telefon od razu otwiera w przeglądarce wskazaną stronę

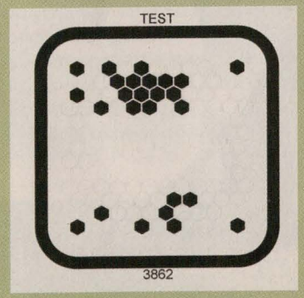

BeeTagg (www.beetagg.com) pozwala na zapisanie adresu www lub wizytówki. W centrum matrycy przypominającej plaster miodu może zostać umieszczony mały obrazek

Wizytówka i SMS

Obecnie istnieje kilka systemów opierających się na dwuwymiarowej matrycy punktów. Najbardziej uniwersalny nosi nazwę QR Code. Jego przykład widać po prawej stronie. QR Code pozawala na zapisanie nie tylko ciągu liczb czy liter, ale też bardziej złożonych wiadomości. Kropki mogą kryć na przykład elektroniczną wizytówkę zapisaną w standardzie vCard. Po odczytaniu takiego kodu telefon komórkowy od razu pyta, czy ma zapisać dane w książce telefonicznej. Inna możliwość to SMS – po zeskanowaniu mamy gotową wiadomość zawierającą numer odbiorcy i treść. Wystarczy nacisnąć przycisk „wyślij". QR Code umożliwia nawet kodowanie prostych obrazków, jednak wymagają one stworzenia całej sekwencji wczytywanych kolejno matryc.

Próbka QR Code, którą zamieściliśmy obok, zawiera zakodowany fragment tekstu. Za odczytanie go nie przewidujemy nagród, ale dla tych, którzy mają ochotę się pobawić, to za tydzień umieścimy rozwiązanie zagadki. Kod można odczytać, korzystając z telefonu komórkowego z aparatem o rozdzielczości większej, niż jeden megapiksel i z czytnika ze strony www.quickmark.com.tw

w skrócie

W wirusie HIV białko gp120 (zielona struktura na dole) nie ulega mutacji. Ludzki układ odpornościowy może je więc efektywnie atakować

HIV w tarapatach

Uwaga! Pojawiła się szansa na szczepionkę przeciw HIV! Jak dotąd zarażonych udaje się utrzymywać przy życiu jedynie za pomocą kombinacji kilku leków. Niestety, są one drogie, nieobojętne dla zdrowia, a wirus z czasem się na nie uodparnia. Przede wszystkim jednak za ich pomocą nie można zapobiegać infekcji, tylko zaleczać ją, gdy już zostanie postawiona diagnoza. Dotąd wszystkie próby stworzenia szczepionki przeciw HIV, która uczyniłaby nasz układ odpornościowy walki z wirusem, spełzły na niczym. Problem w tym, że HIV ulega częstym mutacjom i jego kolejne kopie mają nieco inne białka od swoich poprzedników. Organizm chorego, nawet jeśli nauczy się wykrywać jedno wcielenie wirusa, nie nadąża z rozpoznawaniem i niszczeniem następnych.

Ale niektóre geny (i białka) HIV nie mogą ulec mutacjom, bo stracą swoją funkcję. Pozostają w miarę niezmienne u wszystkich wirusów. I właśnie takie białko udało się namierzyć naukowcom. To gp120 – jedna z cząsteczek na powierzchni wirusa, która służy mu do łączenia się z komórkami człowieka. Jej fragment pozostaje niezmienny u różnych wariantów HIV. To na niego warto skierować uwagę naszego układu odpornościowego. – To może być przełomowe odkrycie – powiedział profesor Anthony Fauci, dyrektor amerykańskiego Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych. – Otwiera drogę do prób z nową, obiecującą szczepionką – podkreślał ekspert podczas dorocznego zjazdu Amerykańskiego Towarzystwa na rzecz Krzewienia Nauki (AAAS). Jeśli dzięki szczepionce układ odpornościowy szybko atakowałby białko gp120 wirusa, to mógłby go niszczyć, zanim HIV opanuje organizm.

Joystick i skalpel

Konsola do gier wideo powinna stać się obowiązkowym sprzętem każdego chirurga. Tak przynajmniej wynika z doświadczenia przeprowadzonego w szpitalu w Nowym Jorku. 33 chirurgów robiących zabiegi przy pomocy laparoskopu sprawdziło swe umiejętności w operowaniu i grach komputerowych.

I co? Ci, którzy dużo wolnego czasu spędzali na graniu, wypadli lepiej nie tylko podczas gier przed komisją. Również ich wyniki na symulatorze operacji laparoskopowej były zdecydowanie lepsze niż wyniki kolegów stroniących od komputerowych rozrywek. Grupa, która poświęcała graniu więcej niż trzy godziny tygodniowo, podczas eksperymentalnej operacji popełniała niemal o połowę mniej błędów i była prawie o 40% szybsza od niegraczy. Najwyraźniej otrzaskanie z joystickiem, konsolą i ekranem dobrze robi przed zabiegiem laparoskopowym.

Gry komputerowe podnoszą sprawność chirurgów

Fot. SPL/EAST NEWS (2)

REKLAMA

onet.pl PRZE W KINACH OD 9 MARCA

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Moje 100 słów

Poselska władza w zmowie z bractwem rzemieślniczym postanowiła uszczęśliwić szanownych konsumentów usług tych ostatnich i ograniczyć dostęp do kilkudziesięciu zawodów. Według projektu nowego prawa, żeby murować i malować ściany, układać glazurę czy mleć zboże, grawerować nazwiska, dzielić świńskie mięso, szyć spodnie lub tkać gobeliny, trzeba będzie przejść stosowne szkolenie i zdać egzamin przed cechem rzemieślniczym. Wszystko po to, by klienci mieli dobrze wykonaną usługę – argumentuje prezes Związku Rzemiosła Polskiego.
Panie Prezesie, skończenie studiów medycznych nie gwarantuje, że będzie się dobrym lekarzem i nie zrobi krzywdy pacjentowi. Tak samo rzemieślniczy obowiązkowy certyfikat w najmniejszym stopniu nie zagwarantuje, że jegomość będzie dobrze murował czy malował, kładł glazurę albo mełł zboże. Pewne natomiast, że da monopol związkowi rzemiosła na dopuszczanie do zawodu, wpłynie na drastyczną podwyżkę cen usług z certyfikatem, zainicjuje nową szarą strefę złotych tańszych rączek bez certyfikatów, a część dotychczasowych wyrzuci na garnuszek podatników. Gratulacje! Chroń nas Boże przed tymi, którzy uszczęśliwiać nas próbują.

TADEUSZ A. MOSZ

magazyn Mosza

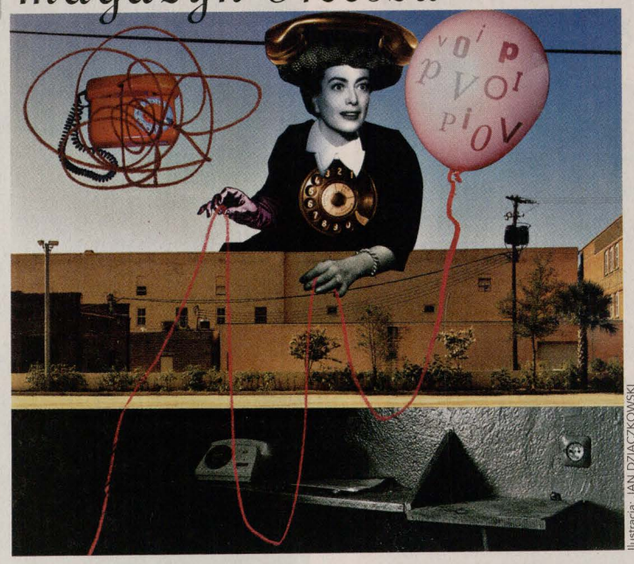

Ilustracja: JAN DZIACZKOWSKI

Nie przepłacaj za telefon

Tylko co 20. Polak zna określenie VoIP. Tymczasem telefonia oparta na tej technologii daje niesamowite oszczędności

Z badań OBOP wynika, że blisko 90 procent respondentów nie wie, co to jest telefonia internetowa. Pięć procent badanych słyszało określenie VoIP. Tylko jeden procent regularnie korzysta z rozwiązań opartych na tej technologii. Biorąc pod uwagę to, jakie zyski z połączeń telefonicznych przynosi Internet, wyniki tych badań mogą szokować.
W przypadku połączeń lokalnych i realizowanych na telefony komórkowe, korzystając z usług telefonii VoIP (ang. Voice over IP), można zaoszczędzić od kilkunastu do kilkudziesięciu procent. Przykładowo minuta rozmowy lokalnej u operatora MyPhone kosztuje 9 groszy, a na telefon komórkowy 68 groszy. W TP SA minuta połączenia to odpowiednio 12 groszy i co najmniej 81 groszy (tylko w nocy i w weekendy bywa taniej). Jeszcze większe oszczędności dają połączenia międzynarodowe.
Na przykład w firmie easyCALL za minutę rozmowy przez telefon z Berlinem zapłacimy 8 groszy. W TP SA koszt jednej minuty to – według oferty „TP 60 minut za darmo" – 1,46 złotego. Korzystając z usług VoIP, kilka groszy zapłacimy również za minutę połączenia międzymiastowego.
Świadomość, iż przyszłość połączeń telefonicznych będzie należeć do Internetu, sprawia, że mamy ostatnio wysyp firm oferujących rozmowy w technologii VoIP. Najczęściej są to stosunkowo niewielkie podmioty, takie jak: Efon, Halonet, NewFon, easyCALL lub IPfon. Ale usługi VoIP w ramach ofert triple (kablówka plus Internet plus telefon) mają także takie firmy jak Aster i UPC oraz więksi operatorzy telekomunikacyjni (między innymi Dialog oraz TP SA).
Co ważne, decydując się na ofertę operatora VoIP, możemy być spokojni o nowy numer telefonu. Operatorzy VoIP dysponują całą paletą. Czasami jednak za numer trzeba uiścić dodatkową opłatę.
Do wykonywania połączeń potrzebny jest program komputerowy, który otrzymamy od operatora VoIP. Jednak korzystanie z usług VoIP wcale nie musi oznaczać wykonywania połączeń telefonicznych przy włączonym komputerze. Każdy bowiem, kto chce łączyć się przez telefon, a nie ma słuchawki, może kupić specjalny aparat USB podłączany do komputera (jego koszt to kilkadziesiąt złotych) lub urządzenie zwane bramką internetową (cena – około 150 zł), którą z jednej strony łączymy z Internetem, a z drugiej ze zwykłym telefonem. To właśnie dzięki bramce nie musimy korzystać z komputera, aby tanio porozmawiać przez telefon.
Telefonia oparta na technologii VoIP jest droższa niż ta, która opiera się na zwykłych łączach telefonii internetowej (na przykład przez Skype). W przypadku VoIP pakiety danych z głosem przesyłane są bowiem przez Internet z wyższym priorytetem niż pakiety zawierające dane. Pakiety z danymi przesyłane są przez Skype. Właśnie dlatego VoIP daje lepszą jakość niż zwykła telefonia internetowa i gwarancję, że głos w czasie rozmowy nie będzie się rwał, a w słuchawce nie usłyszymy efektu echa.

MARCIN KACZMARCZYK

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Koniec darmowych biletów

Linie lotnicze i biura podróży nie będą mogły podawać w swoich ofertach cen bez uwzględniania opłat lotniskowych. Przepis regulujący tę kwestię znalazł się w nowym prawie lotniczym opracowywanym przez resort transportu. Zmiana oznacza, że z reklam znikną zachęty typu „bilet za darmo" albo „lot za złotówkę".

Polisy tanie jak nigdy dotąd

MBank uruchomił pierwszy na świecie supermarket ubezpieczeniowy. Można w nim kupić polisę OC i AC pięciu ubezpieczycieli. Niestety, brakuje ofert takich firm, jak PZU, Warta czy Link4. Jednak osobom, które wykupią polisę do 14 marca, transakcja w mBanku się opłaci. Firma gwarantuje „najniższą cenę na rynku". Wystarczy przedstawić kalkulację składki potwierdzoną przez innego ubezpieczyciela.

Naturalne witaminy w tabletkach

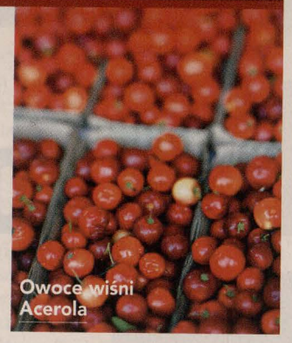

Owoce wiśni Acerola

W aptekach hitem ostatnich miesięcy są zestawy witamin uzupełnione o sproszkowane zioła, owoce i warzywa. Preparaty te w przeciwieństwie do syntetycznych preparatów witaminowych, kompilowanych wyłącznie z chemicznych składników w laboratoriach, rzadziej powodują dolegliwości żołądkowe. Oparte są na wyciągu na przykład z pietruszki, rzeżuchy, cebuli, ze szpinaku i z kapusty. Niestety, minusem naturalnych witamin w tabletkach jest cena. Przykładowo zestaw witamin Bio 21 Enriching Greens kosztuje 62,9 zł za 90 sztuk. Podobny zestaw bez naturalnych dodatków można kupić za 40 zł. Cena preparatu z wyciągu wiśni Acerola (Acerola Plus), będącej najprawdopodobniej najbogatszym w witaminę C owocem na świecie, wynosi 20 zł za 100 sztuk. Podobna liczba tabletek zwykłej witaminy C kosztuje 3,80 zł.

Fot. CORBIS (2)

Koktajl antycellulitowy

Pierwszy w Polsce napój, który ma pomagać kobietom w walce z cellulitem, pojawi się w aptekach już w marcu. Wchodzący w skład preparatu wapń ma ograniczać wchłanianie tłuszczu, a glukozamina wzmacniać włókna napinające skórę. 30 saszetek preparatu o nazwie Inneov Cellulit będzie kosztować 95 zł.

Kremy celebrities

Na polskim rynku pojawia się coraz więcej kremów używanych i promowanych przez największe światowe gwiazdy, które w świecie show-biznesu uważane są za kultowe. Przedstawiamy te, które dostępne są już w Polsce.

- **La Mer** – oprócz ekstraktów z alg zawiera witaminy, potas, wapń, żelazo i lecytynę. Każdy słoiczek napełniany jest ręcznie. Stosują go Victoria Beckham, Sharon Stone i Halle Berry. Dostępny tylko w perfumerii Douglas w warszawskich Złotych Tarasach. Cena: 500 zł za słoiczek 50 ml.
- **Desert Flowers** – krem do twarzy stworzony na bazie dzikich kwiatów, rumianku, aloesu i oleju jojoby. Zawiera filtr przeciwsłoneczny. Używają go Oprah Winfrey i Susan Sarandon. Cena: 98 zł. Do kupienia w sieci: www.sabon.pl
- **Dr Fredric Brandt r3p** – jeden z najsilniejszych preparatów przeciwzmarszczkowych, używany przez Madonnę. Cena: 695 zł za 50 ml.

REKLAMA

BARTEK CHACIŃSKI

AMERYKA folkuje

Tegoroczne Grammy zdominowali muzycy folk i country. Czyli bohaterowie wojny artystów z wojną z terroryzmem. Takiego sukcesu pieśni protestu nie było od lat!

Dixie Chicks podczas sławnej sesji zdjęciowej. Na ciele wypisane mają między innymi obelgi, jakimi obrzucano je po skrytykowaniu George'a W. Busha. Od lewej: Emily Robison, Natalie Maines i Martie Maguire

Fot. JAMES WHITE/CORBIS OUTLINE

Załóżmy, że bracia Golcowie na koncercie w Ameryce mówią o gabinecie polskiego premiera: „Górale wstydzą się za rząd". No tak, trudno to sobie wyobrazić. Tymczasem tuż po wybuchu wojny w Iraku, na koncercie teksaskiej grupy kobiecej Dixie Chicks w Londynie wokalistka Natalie Maines krzyknęła: – Wstydzę się, że amerykański prezydent George Bush pochodzi z Teksasu!

Incydent odnotowany przez brytyjskiego dziennikarza szybko przedarł się na czołówki amerykańskich mediów i rozpętał burzę. Dziś jednak te same trzy dziewczyny odebrały pięć nagród Grammy, najwięcej spośród tegorocznych laureatów. Ba, są najlepiej sprzedającą się żeńską grupą w historii muzyki! A fakt, że grają wzbogaconą elementami rocka muzykę country, gatunek kojarzony z gustami wyborców Busha, dodaje tylko całej sprawie pikanterii.

MATKI, ŻONY I ZDRAJCZYNIE

Na lutowym rozdaniu Grammy nawet występ reaktywowanych The Police był mniej ważny. Dixie Chicks wychodziły na scenę najczęściej. Wyścig o tytuł albumu roku dla swojej płyty „Taking The Long Way" wygrały z Red Hot Chili Peppers i Justinem Timberlakiem. W boju o statuetkę za utwór roku pokonały „Crazy" duetu Gnarls Barkley i „You're Beautiful" Jamesa Blunta. A piosenka, która przyniosła Dixie Chicks triumf – „Not Ready To Make Nice" („Nie będę udawać grzecznej") – była wyraźną odpowiedzią na to, co działo się ostatnio wokół zespołu.

Trzy lata temu, po feralnym incydencie, grożono im śmiercią (kilka z tych gróźb FBI uznała za wiarygodne) albo przynajmniej wykpiwano hasłami typu: „Wstydzicie się prezydenta? Wynoście się do Francji!". Na listach przebojów country ich ówczesny hit – z tekstem opłakującym poległego w Wietnamie żołnierza – spadł z miejsca 1. na 63., a organizatorzy koncertów zaproponowali publice zwrot pieniędzy za bilety na występy Dixie Chicks – bez konsultacji z grupą. Nawet amerykański Czerwony Krzyż odrzucił milion dolarów dotacji, które chciał mu przesłać zespół, a w większości stacji radiowych grających w Ameryce muzykę country Dixie Chicks znalazły się na „czarnej liście". Zadarły ze środowiskiem country do tego stopnia, że jeszcze w listopadzie nie dostały nawet nominacji do dorocznych nagród Country Music Association. Przy okazji jednak było o nich głośno – trafiły do większości wieczornych programów telewizyjnych, na okładkę „Time'a" (redakcja wybrała je do setki najbardziej wpływowych postaci współczesnego świata), wzięły udział w prowokacyjnej sesji zdjęciowej do „Entertainment Weekly" – na nagim ciele wypisały sobie wolnościowe hasła i obelgi, jakich im nie szczędzono: „Dixie dziwki", „Zdrajczynie" czy „Aniołki Saddama". A całą trzyletnią historię opowiedziały w ubiegłorocznym filmie dokumentalnym „Dixie Chicks: zamknij się i śpiewaj".

Takie rzeczy można by wyjaśnić prostym marketingiem muzycznym. Problem w tym, że Dixie Chicks to nie debiutujące nastolatki, to matki, żony, dojrzałe kobiety, które realizują się na scenie muzycznej od 20 lat. A to, co się wokół nich wydarzyło, ta zmiana odbioru (bo trudno uwierzyć w to, żeby 10 milionów egzemplarzy ich nowej płyty wykupili nienawistni antyfani po to, by je zniszczyć), to być może sygnał kolejnego odrodzenia amerykańskiej tradycji folkowej. W końcu z niej wywodzi się nurt country.

87-letni Pete Seeger, przywódca folkowego ruchu, w Beacon, stan Nowy Jork

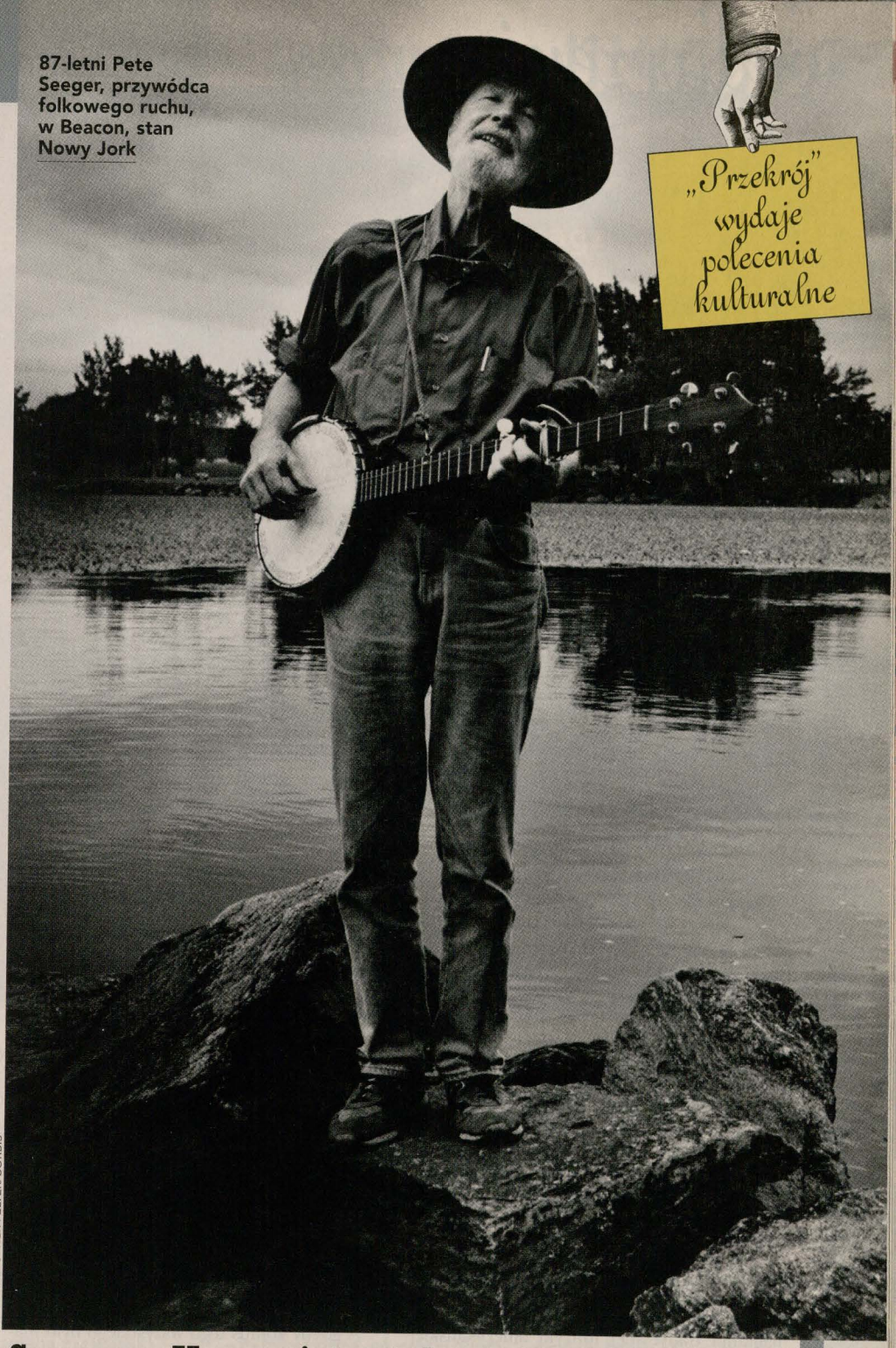

„Przekrój" wydaje polecenia kulturalne

Fot. CHRISTOPHER FELVER/CORBIS

Seeger: – Komunistą stałem się, gdy tylko przeczytałem o tym, że Indianie wszystko, co mieli, uznawali za wspólne

Bruce Springsteen płytą „We Shall Overcome" złożył hołd Seegerowi, dając też do zrozumienia, co myśli o rządach Busha

Fot. SONY BMG

Americana – nurt szukający źródeł amerykańskiej kultury – owocuje najciekawszymi płytami i jest dziś jednym z najpotężniejszych zjawisk w muzyce

LEWY FOLKOWY

Teoretycznie folk – jako muzyka przenosząca w przyszłość dawne wartości kultury – powinien być z natury konserwatywny. Lecz tradycja amerykańska zakłada coś zupełnie przeciwnego – wojującą lewicowość. 87-letni Pete Seeger, największa żyjąca postać ruchu kontestującego folku, od młodości był komunistą – tak zaciekłym, że z partii komunistycznej wygoniła go dopiero powojenna polityka Stalina. – Komunistą stałem się w wieku siedmiu lat, kiedy przeczytałem różne historie o Indianach, o tym, że wszystko, co mieli, uznawali za wspólną własność – mówił w jednym z niedawnych wywiadów.

Dla ojca Seegera, też lewicowca, ważne było nie to, jak brzmi muzyka, tylko czemu służy. Tak się złożyło, że ojciec ów był przy okazji muzykologiem – pomagał w pracy braciom Lomax (Johnowi i Alanowi), którzy zbierali nagrania tradycyjnej muzyki amerykańskiej prowincji do bezcennej kolekcji Biblioteki Kongresu. Seeger był więc z urodzenia teoretykiem folku, a praktykiem – dzięki znajomości z legendarnym Woodym Guthriem i ich wspólnym podróżom po Ameryce w latach 40. Wspólnie doprowadzili wtedy do pierwszego odrodzenia folkowej tradycji.

Nowa fala odrodzenia, którą przeżywamy dziś, znów przebiega pod sztandarami Guthriego i Seegera. W czasie tej samej ceremonii Grammy nagrodę w kategorii Folk/Americana odebrał pilny uczeń obu pieśniarzy, wracający do formy Bob Dylan. A laur w dziedzinie folku dostał Bruce Springsteen za swój rewelacyjny album „We Shall Overcome" poświęcony w całości utworom śpiewanym niegdyś przez Seegera. Pieśniom robotniczym, protest songom czy takim pomnikom tradycji amerykańskiej jak słynna pieśń tytułowa – wywodząca się z hymnu napisanego w 1903 roku przez czarnoskórego pastora, syna niewolnika (wówczas w wersji „I'll Overcome Someday"), a potem zmienianego przez lata i jednoczącego różne zbuntowane grupy społeczne. Seeger był jednym z autorów, którzy dorzucili doń swoje trzy grosze. Dziś śmieje się z tego, że Springsteen zniszczył mu święty spokój. – Żony wielu facetów pozostają przywiązane do kuchennego zlewu. Moja jest przywiązana do stołu zawalonego korespondencją w stylu: „Och, panie Seeger, posłucha pan mojej płyty? Przeczyta pan książkę? Przyjedzie odebrać nagrodę?" – mówi weteran folku.

A gdyby komuś tego wszystkiego było mało, winien rzucić okiem na zwycięzców Grammy w kategorii World Music – nowojorską grupę Klezmatics, która wprawdzie z amerykańskim folkiem nie ma wiele wspólnego, ale swój nagrodzony album „Wonder Wheel" poświęciła w całości spuściźnie lirycznej Woody'ego Guthriego.

YOUNG OBALA PREZYDENTA

Americana – nurt opierający się na odkrywaniu na nowo źródeł amerykańskiej kultury – od kilku lat owocuje najciekawszymi płytami i pozostaje jedynym tak potężnym i świeżym gatunkiem muzycznym XXI wieku. Nawet sukcesy Norah Jones, sięgającej do starego folku i bluesa, to odprysk tego zjawiska. A na scenie alternatywnej w USA Americana jest zjawiskiem kluczowym. Bonnie „Prince" Billy nagrał w ubiegłym roku kapitalny album „The Letting Go" łączący tradycje angielskiego i amerykańskiego folku, a harfistka i wokalistka Joanna Newsom, też utożsamiana ze sceną nowego folku, to autorka najlepszej płyty roku 2006 w plebiscycie recenzentów „Przekroju". Kapitalne albumy nagrywają inni młodzi – Devendra Banhart czy Wooden Wand & The Vanishing Voice.

Młodzi folkowcy sprowadzają z powrotem na scenę postacie dawno zapomniane. Angielka Vashti Bunyan, autorka błyskotliwego debiutu „Just Another Diamond Day", powróciła na scenę po... 35 latach – tylko dlatego, że artyści skupieni wokół nurtu Americana okazali się jej fanami. Świetnie radzi sobie Neil Young, który nagrał w ubiegłym roku „Living The War" – płytę wypełnioną prostymi protest songami. Na czele z piosenką „Let's Impeach The President" wyłuszczającą powody, dla których trzeba pozbawić prezydenta Busha posady. Wszystkie piosenki – w myśl folkowej zasady zakładającej powszechne uczestnictwo w procesie tworzenia i wspólne śpiewanie – Young udostępnił za darmo w Internecie.

Na ten rok pierwszy od dawna album zapowiada inna gwiazda sceny folkowej – Joni Mitchell. Aktywna pozostaje też Joan Baez (znana z poparcia dla opozycji demokratycznej w Polsce i Czechosłowacji czasów komunizmu), która oprócz protestów związanych z ekologią i obroną skazanych na śmierć występowała ostatnio na manifestacjach przeciw wojnie w Iraku. To ona właśnie zapowiadała Dixie Chicks podczas gali Grammy. – Podobnie jak one większość życia spędziłam, słuchając, jak inni mówili: „zamknij się i śpiewaj" – powiedziała Baez. – Ale czasem artyści mają odwagę podnieść głos i użyć siły muzycznego przekazu, by coś powiedzieć. By pokazać, że folkowy bard Woody Guthrie miał rację, śpiewając: „ten kraj to twój kraj". ■

Tracey Thorn. To ona śpiewała słynne „And I miss you like the deserts miss the rain..."

Fot. EMI

Nie trzeba fajerwerków

Niespodziewana nagroda dla wiernych fanów głosu Tracey Thorn

Żadnego z głosów nie brakowało mi w ostatnich latach tak bardzo jak jej właśnie. Pochłonięta wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu, współautorka sukcesów popularnego duetu Everything But The Girl i hitu (nomen omen) „Missing", już od końca ubiegłego wieku nie zaglądała na dłużej do studia, czasami tylko robiąc wyjątek dla wybranych producentów klubowej elektroniki. Stąd też oczekiwania, że stęsknionych jak ja słuchaczy brytyjska wokalistka zechce zaprosić na parkiet również przy okazji tego solowego powrotu na scenę. I tu zaskoczenie – szczególnie dla tych, którzy wciąż mają w pamięci ostatnie taneczne dokonania macierzystej formacji Tracey. Za partnerów procesu twórczego ma wprawdzie międzynarodową śmietankę specjalistów od elektronicznych nowych brzmień, ale klubowa młodzież niewiele znajdzie tu dla siebie. Prędzej dojrzali fani alternatywnego, minimalistycznego popu z sentymentalną nutą lat 80. w tle. Zamiast kolekcji potencjalnych singlowych przebojów pani Thorn ma dla nich zestaw przeszywających smutkiem i chłodem pięknych piosenek o emocjonalnych rozterkach mieszkanki wielkiego miasta, która jest po czterdziestce. Próżno szukać też jakichś efektownych aranżacji i wysublimowanych muzycznych struktur, to są raczej wokalne miniatury, ale gdy ktoś ma głos tak wyjątkowy, jakiekolwiek studyjne fajerwerki są zbędne.

BARTEK WINCZEWSKI

●●●●●○

TRACEY THORN „OUT OF THE WOODS", VIRGIN, 41'34, 64 ZŁ

Air jak herbata

Nawet odprężająca muzyka w końcu zaczyna męczyć

Francuski duet Air jest dziś jak herbata z trzeciego parzenia. Została z grubsza sama woda, ale z rozbełtaną mgiełką zapachu, z której niezbicie wynika, jak dobrej klasy była to herbata. Bo w latach 90. Jean-Benoît Dunckel i Nicolas Godin produkowali elektroniczny pop tak elegancki, że przedziały biznesowe w maszynach Air France'u to były przy tym niskie loty. I z większą szybkością niż samoloty tej zacnej skądinąd firmy wywozili nową kulturę francuską w świat. Przez całą poprzednią dekadę nie było płyty, która banalne motywy, romantycznie naiwne sza-ba-da z lat 60. podałaby w zgrabniejszy sposób niż ich album „Moon Safari". Matematyk i architekt konstruowali melodie minimalistyczne i lekkie, przy tym wyciągali z lamusa stare instrumenty (pierwsze syntezatory, mellotron udający sekcję smyczkową) i przetwarzali partie wokalne, wytwarzając zgrabny i modny wówczas efekt muzyki przeszłości przenoszonej w świat przyszłości. Pozbawiony kiczu i pretensji. To ostatnie pozostaje aktualne, choć wdzięk przeminął, a kompozycje na „Pocket Symphony" bywają puste, ociężałe i nudne. Płyta Air nagrana z udziałem dwóch ważnych postaci sceny brytyjskiej, wokalistów i autorów Jarvisa Cockera i Neila Hannona, a także (po raz kolejny) z producentem Nigelem Godrichem (Radiohead, Beck) to w zasadzie część druga albumu Charlotte Gainsbourg. Bo z córką Gainsbourga panowie nagrywali niedawno w takim samym składzie. I jak tam nie udało się uniknąć monotonii. Tempa z rzadka sięgają tu średnich. Nawet gdy tytuł nagrania obiecuje prywatkę – jak w „One Hell Of A Party" – muzycy brzmią, jak gdyby odprawiali nabożeństwo za duszę, która jak para uszła z ich formacji. Coś zaczyna się dziać w „Left Bank", szóstym na płycie, akustycznym nagraniu, niezłe jest „Mer du Japon", ale to z kolei przypomina, że z użytych tym razem tradycyjnych japońskich instrumentów muzycy wykrzesali ledwie parę egzotycznych dźwięków zlewających się z delikatnie szemrzącą całością. A może wyssała z nich energię Sofia Coppola, reżyserka „Między słowami", która kupowała ich kompozycje do trzech kolejnych filmów? Bo odkąd współpracują z nią, niczego istotnego na własny rachunek nie zrobili. Ot, produkują albumy z muzyką, o której na upartego można jeszcze powiedzieć, że jest przyjemna. Ale patrzeć na to, jak rozrzedzają swoje pomysły, już przykro.

BARTEK CHACIŃSKI

Air – dziś to muzyka do biura

Fot. EMI

●●●○○○

AIR „POCKET SYMPHONY", EMI FRANCE, 47'47, 62 ZŁ

Satyra na świat monstrualny

„Pieśnią misji" le Carré wraca do wysokiej formy

Nikt chyba nie zaprzeczy, że nowsze książki Johna le Carrégo nie dorównują jego najlepszym powieściom z czasów zimnej wojny. Za ostatnie naprawdę wielkie osiągnięcie pisarza uchodzi – w miarę powszechnie – „Szpieg doskonały" wydany w roku 1986. Odkąd le Carré, miast przedstawiać zawiłość i moralną dwuznaczność szpiegowskich zmagań Wschodu z Zachodem, zajął się głównie piętnowaniem przywar wolnego świata i jego przewin wobec narodów bardziej pokrzywdzonych przez los, arcydzieła stworzyć mu się nie udało. Owszem, we wszystkim, co robi, znać rękę dawnego mistrza, ale widać też, że gniewny idealizm czasem skłania go do przerysowań i uproszczeń.

Dość przywołać dwie ostatnie powieści. Rozgrywający się w Afryce i obnażający zbrodnicze praktyki koncernów farmaceutycznych „Wierny ogrodnik" nie bez racji oskarżany był o ckliwość. Zaś fabuła „Przyjaźni absolutnej", książki o arcyspisku tajnych służb wymierzonym w krytyków Bushowskiej „wojny z terrorem", niebezpiecznie trąciła absurdem.

W „Pieśni misji" le Carré wraca do Afryki i znów tropi tajne służby oficjalnie działające w imię demokracji i walki o pokój, a naprawdę idące na postronku międzynarodowych korporacji. Ale tym razem udaje mu się uniknąć pułapek, w które wpadł poprzednio. Po pierwsze, główny bohater, pół-Afrykanin i specjalista od afrykańskich języków Bruno Salvador, choć sympatyczny i pełen dobrej woli, bliższy jest tradycyjnie rozdartych i niejednoznacznych postaci z dawnych książek le Carrégo niż tragicznej pary protagonistów „Wiernego ogrodnika". Po drugie, polityczno-biznesowa operacja, w którą się zaplątuje (przejęcie kontroli nad kongijskimi bogactwami naturalnymi, oczywiście w imię szerzenia pokoju i demokracji), choć wygląda przerażająco, to jednak jest znacznie bardziej prawdopodobna niż bezsensowne tropienie podstarzałych lewaków w „Przyjaźni absolutnej". Dzięki temu tak sugestywny staje się kreślony przez le Carrégo obraz afrykańskiego jądra ciemności opanowanego przez skłóconych ze sobą krwiożerczych szaleńców, skorumpowanych polityków, biznesowych bonzów z USA i Europy oraz tajnych agentów realizujących dalece niekonstytucyjne cele.

Prawda, le Carré znów grzmi i gromi, ale nader często zrzuca przyciężkawy rynsztunek kaznodziei, w którym czuje się chyba coraz bardziej niewygodnie. Z pożytkiem dla pisarstwa – bardziej mu do twarzy w kostiumie ironicznego portrecisty o skłonnościach do karykatury. Bo zapełniające karty tej powieści indywidua – ich niskie i żałosne motywacje, ich opakowane w podniosłą retorykę przemowy, ich brudne interesy pobielone szlachetnymi hasłami – są przede wszystkim groteskowe. Jeśli więc miałbym jednym zwrotem podsumować najnowszą powieść Johna le Carrégo, powiedziałbym: oto satyra na monstrualny świat.

Satyra poprowadzona lekką i wyrafinowaną frazą, z widocznym znawstwem tematu oraz – co najważniejsze – wyjątkowo czuła na niuanse. A przy tym wywołująca osobliwe czytelnicze doświadczenie. Z jednej strony lektura „Pieśni misji" rodzi uzasadnioną obawę, że choć zaludniające ją złowrogie postacie są fikcyjne, to jednak mają gdzieś odpowiedniki z krwi i kości. Z drugiej zaś strony pozostaje promyk nadziei, że le Carré to pisarz zbyt dobry, by rzeczywistość mogła dorównać jego kreacji.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

● ● ● ● ● mistrzostwo
● ● ● ● ● na piątkę
● ● ● ● warto
● ● ● może być
● ● słabe
● dno

● ● ● ● ○ ○

JOHN LE CARRÉ „PIEŚŃ MISJI", PRZEŁ. JAN RYBICKI, AMBER, WARSZAWA 2007, S. 248, 30,40 ZŁ

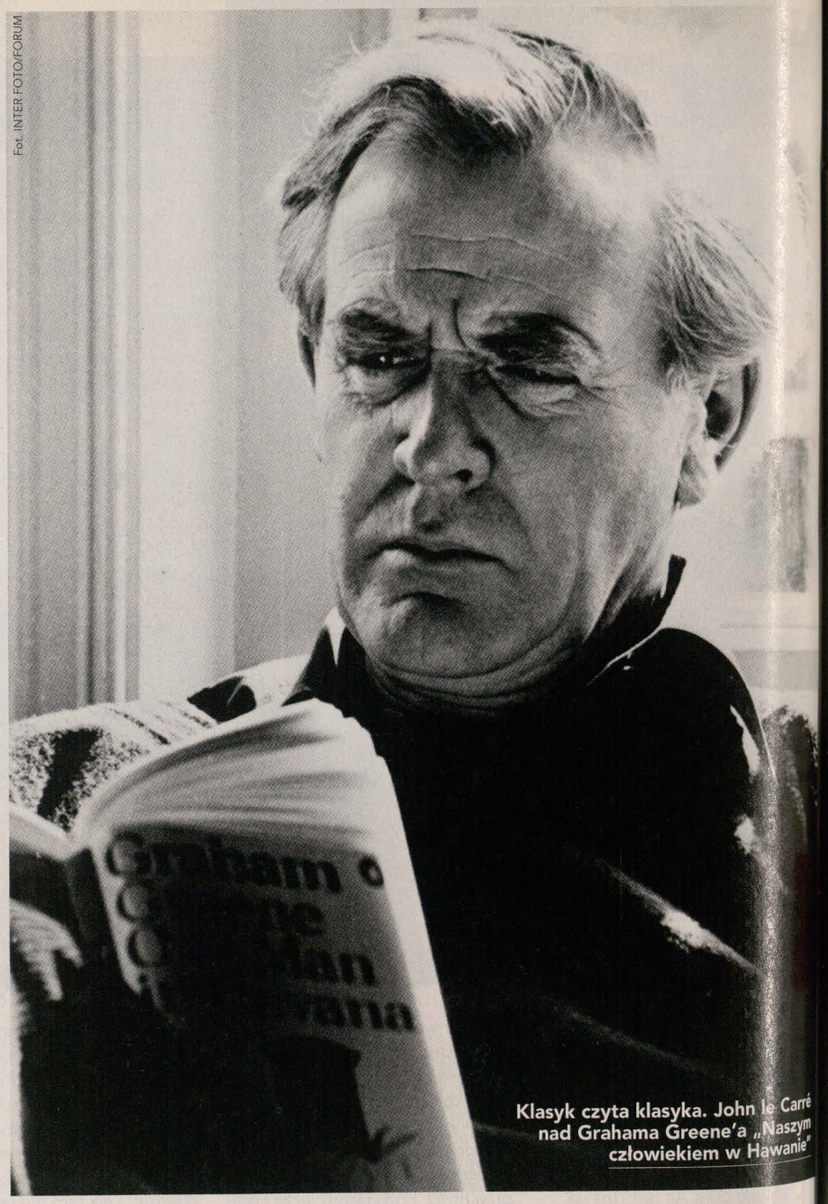

Klasyk czyta klasyka. John le Carré nad Grahama Greene'a „Naszym człowiekiem w Hawanie"

Fot. INTER FOTO/FORUM

Wbić szpilkę „czerwonemu"

Wspomnienia Jerzego Suszki to kopalnia anegdot o Stefanie Kisielewskim

O tym, że władza komunistyczna Kisiela podsłuchiwała, wiadomo od dawna. Co żarliwsi historycy literatury już zapewne przeglądają odpowiednie teczki, aby wyjawić światu, kto, gdzie, kiedy i za ile Kisielewskiego władzy denuncjował.

Na ten obłęd Suszko ma rewelacyjną w swojej prostocie receptę. Opowiada o Kisielu, o sobie i innych pisarzach w taki sposób, by polityczny absurd tamtego czasu nie przesłonił zwykłego życia. Owszem, jego książka rzuca nowe światło na inwigilację Stefana Kisielewskiego, ale zanim Suszko zaczyna pisać o komunistycznym ubekistanie, daje czytelnikowi znakomitą panoramę tamtego świata, który nie zawsze był podporządkowany prawu donosu. Kisiela przedstawia ze wszystkich możliwych stron: jako utalentowanego kompozytora, świetnego pisarza, kawiarnianego tapera, niedoszłego sportowca, facecjonistę, a przede wszystkim jako mistrza ciętego felietonu, genialnego krytyka systemu, który za pomocą ironii, aluzji, kpiny jawnej czy zamaskowanej potrafił wziąć pod włos każdą władzę – jak pisze autor – wbić szpilkę „czerwonemu".

GRZEGORZ JANKOWICZ

Kisiel grał, co chciał, i się komunie nie kłaniał

Fot. PIOTR KŁOSEK/FOTONOVA

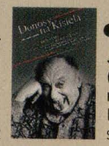

● ● ● ● ○ ○

JERZY SUSZKO „DONOSY NA KISIELA (ZEZNANIA KANDYDATA NA DONOSICIELA)", PIW, WARSZAWA 2006, S. 204, 25,50 ZŁ

Zagłosuj na książkę miesiąca! Z naszej listy wybierz ulubioną książkę, napisz uzasadnienie i wyślij na adres: przekrojf@merlin.pl. Na e-maile czekamy do 20.03.2007.
Najlepsze recenzje zostaną opublikowane na stronie Merlin.pl oraz nagrodzone książkami polecanymi przez dziennikarzy „Przekroju"!

Książką stycznia została „Adrian Mole. Na manowcach" Sue Townsend

merlin.pl

NOWOŚCI LUTEGO

Abe Kobo
„Kobieta z wydm", Znak

Agnieszka Szygenda
„Wszystko gra", Wydawnictwo Autorskie

Agnieszka Osiecka „Zabawy poufne", Nowy Świat

Alexander McCall Smith
„O dziewczynie, która poślubiła lwa", Prószyński i S-ka

Andrea Camilleri
„Wycieczka do Tindari", Noir sur Blanc

Anne Rice
„Opowieść o złodzieju ciał. Kroniki wampirów" – tom 4., Rebis

Eoin Colfer
„Nadnaturalista", W.A.B.

Eve Ensler
„Dobre ciało", W.A.B.

Harlan Coben
„Obiecaj mi", Albatros

Jacek Pałasiński
„Kaczor po pekińsku", Rosner & Wspólnicy

John le Carré
„Pieśń misji", Amber

Krzysztof Burnetko; Witold Bereś
„Ryszard Kapuściński: Nie ogarniam świata", Świat Książki

Manuela Gretkowska
„Kobieta i mężczyźni", Świat Książki

Michael Connelly; Jeffery Deaver; Joyce Carol Oates
„Niebezpieczne kobiety", Prószyński i S-ka

Michael Gregorio
„Krytyka zbrodniczego rozumu", Wydawnictwo Literackie

Mirosław M. Bujko
„Czerwony Byk", W.A.B.

Paweł Huelle
„Ostatnia wieczerza", Znak

Tadeusz Isakowicz-Zaleski
„Księża wobec bezpieki", Znak

Tash Aw
„Faktoria jedwabiu", Muza

Umberto Eco
„Rakiem. Gorąca wojna i populizm mediów", W.A.B.

„Podróże z Ryszardem Kapuścińskim. Opowieści 13 tłumaczy", Znak

NASI LAUREACI: Marta Janusz, Białystok; Dorota Mróz, Łowicz; Ewa Kolińska, Zielona Góra; Patryk Rykała, Częstochowa; Marcin Wawrzecki, Opole; Monika Morozowska, Warszawa; Hubert Polaski, Warszawa; Marzena Nowakowska, Racibórz; Anna Walkowska, Nidzica; Bartek Świądkowski, Warszawa

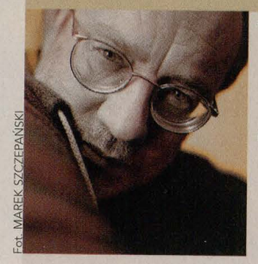

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

TADEUSZ NYCZEK

Czytanie na trawie

...albo o tych, co czytać już nie chcą

Zauważyliście Państwo dziwną rzecz? Macie, dajmy na to, potomstwo w wieku szkolnym i zastanawiacie się, jak oderwać je od telewizora czy komputera, by poczytało, dajmy na to, książkę. A z drugiej strony spróbujcie wejść do którejkolwiek księgarni: kto to wszystko czyta? Nie mówiąc o prasie... Powodzie kartek i stosy ksiąg płyną przez nasze biurka i łóżka, stoły i torby podróżne, przez nasze udręczone migotaniem liter oczy i oklejone papierem mózgi. A dzieci podobno nie chcą czytać! Więc kto to wszystko czyta? Duch Święty? Specjalnie powołana przez korporację wydawców tajna armia koreańskich krasnoludków bezgłośnie pochłaniająca taką ilość zadrukowanego papieru, która jest potrzebna do utrzymania się rynku wydawniczego? A nasze potomstwo siedzi przed komputerem i ani myśli z własnej woli sięgnąć po „Wojnę i pokój" czy „Śniegi Kilimandżaro". Co można zrobić? Przymusić? Nie wyjdzie. Dzisiejsze dzieci są rozbestwione i samodzielne – próby wymuszeń kończą się źle raczej dla wymuszających. Przekonywanie umysłowe? Kto będzie sobie tym zaprzątał głowę? Od tego przecież powinien być nauczyciel. Wejście na ambicję? Śmiechu warte. Komu dziś zaimponuje w towarzystwie znajomość książki? Nawet dziecko wie, że lepiej chodzić do kina albo być na bieżąco z akcją seriali TV. Kiedy wpadła mi w ręce niewielka książeczka pana **Daniela Pennaca „Jak powieść"** z popularnonaukowej serii Spectrum, nie myślałem, że znajdę w niej sporo odpowiedzi na wiele z tych kwestii. Pennac długo był nauczycielem języka francuskiego, nadal pisze książki dla dzieci i młodzieży. Okazuje się, że gryzie go młodzieżowe nieczytanie. Ale, o dziwo, nie oskarża o to ani cywilizacji elektronicznej, ani kultury medialnej, ani przewrotu obyczajowego. Jego główna teza może wydawać się dziwna, nawet dziwaczna, a lekarstwo na chorobę nieczytania dosyć problematyczne. Pennac twierdzi na przykład, że wszystkie dzieci, którym czytaliśmy w dzieciństwie, są skłonne wrócić do książek, ale pod warunkiem że zdejmie się z nich obowiązek czytania jako powinności społecznej i moralnej. Po prostu nastolatka trzeba wkręcić z powrotem w system traktowania książki jako czegoś niezobowiązująco przyjemnego, co można przerwać, w pół zdania porzucić, nie doczytać do końca. Jak w dzieciństwie, kiedy teksty książek były źródłem wyłącznie poznawczo-emocjonalnej uciechy. Nie wiem, może to działa, spróbujcie. Ale jakakolwiek byłaby skuteczność terapii Pennaca, sama lektura jego książeczki jest już emocjonalną uciechą. Wspaniale, zabawnie napisana i równie wspaniale przełożona przez Katarzynę Bieńkowską „Jak powieść" może służyć za dowód, że czytać warto. ■

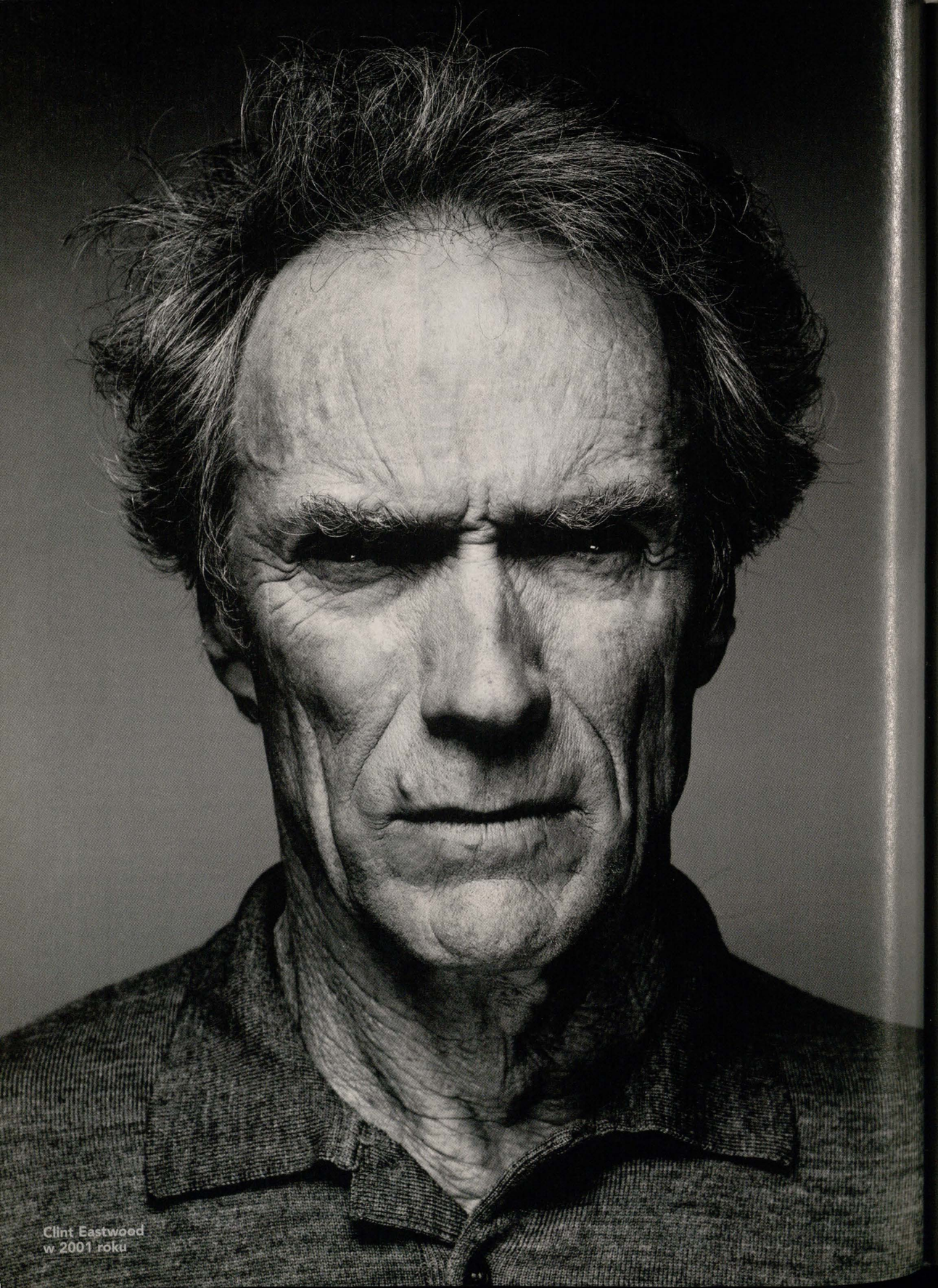

Clint Eastwood w 2001 roku

Małgorzata Sadowska

Mimo że ostatniej niedzieli Clint Eastwood opuścił Kodak Theatre bez Oscara, nie ma powodu do zmartwień. Jego filmy o bitwie o japońską wyspę Iwo Jima podczas II wojny światowej – „Sztandar chwały" i „Listy z Iwo Jimy" – i tak zdobyły już wiele ważnych branżowych nagród. Utrwaliły też pozycję Eastwooda jako „sumienia Ameryki", reżysera szczególnie uwrażliwionego na los jednostek uwikłanych w historię czy padających ofiarą społecznych oczekiwań. Co więcej, kilka tygodni temu artysta sam zaapelował do Amerykańskiej Akademii, by doceniła wreszcie Martina Scorsese. – Ten rok powinien być rokiem Scorsese – przekonywał. Jego życzeniu stało się zadość.

CLINT EASTWOOD

nie idzie na emeryturę

Eastwood starzeje się fenomenalnie. Wystarczy spojrzeć na zdjęcie obok: zmarszczki i bruzdy dodają mu charakteru, nie odbierając przy tym ani charyzmy, ani męskości. Co więcej, również jako artysta starzeje się w doskonałym stylu: mimo 77 lat na karku nie traci energii i formy. Eastwood jest fenomenem pod wieloma względami: osiągnął sukces jako aktor, reżyser i biznesmen (jest właścicielem firmy producenckiej, a także pola golfowego). W samym sercu Hollywood robi dziś antyhollywoodzkie kino, za które dostaje Oscary. A jakby tego było mało, jest podziwiany i szanowany również w Europie.

– Po tej stronie Atlantyku ucieleśnia pan to, co najlepsze w Hollywood – usłyszał ostatnio z ust prezydenta Francji Jacquesa Chiraca, gdy w Paryżu dekorowano go Legią Honorową. Ta opinia nie powinna dziwić, w końcu jako reżyser Eastwood uchodzi dziś za „sumienie Ameryki", twórcę, który konsekwentnie rozlicza własny kraj.

Ale Clint Eastwood jest fenomenem z jeszcze jednego powodu: w czasie 50-letniej kariery potrafił radykalnie zmienić swój wizerunek, ze sztandarowego macho i gwiazdy kina sensacyjnego przemieniając się w czołowego krytyka filmowej przemocy i wrażliwego reżysera podważającego hollywoodzkie schematy, w których tkwił przez lata jako aktor.

W filmach reżyserowanych przez Clinta Eastwooda nie ma happy endów, jest za to melancholia i gorycz. Świat jest nieprzejrzysty, międzyludzkie relacje skomplikowane, zło i dobro niejednoznaczne, a obietnice sukcesu fałszywe. Tu amerykański sen zamienia się w koszmar, jak w „Za wszelką cenę" (2004), gdzie młoda bokserka znajdująca się u szczytu kariery wskutek wypadku ulega paraliżowi. Inny amerykański mit, ten o ostatecznym triumfie sprawiedliwości, też zostaje podważony w „Bez przebaczenia" (1992) czy „Rzece tajemnic" (2003), w której samosąd dotyka niewłaściwej osoby. Przede wszystkim jednak Clint Eastwood namiętnie walczy z uwznioślaniem przez kino przemocy. – W historiach, które opowiadam, traktuję przemoc poważnie. Kiedy robisz o tym film, powinno być jasne, że przemoc nie jest śmieszna, nie jest też fascynującą grą, nie ma w sobie nic komediowego.

Wielokrotnie podkreślał, że nie toleruje strzelania, nawet jako sportu, i jest za dokładną kontrolą wydawania pozwoleń na broń. W jego kinie przemoc zawsze wiąże się z cierpieniem i ma tragiczne konsekwencje. Krucjata przeciw jej nadużywaniu i banalizowaniu przez kino sprawia wrażenie dobrowolnej pokuty, wszak przez całe lata Clint Eastwood, choćby jako Brudny Harry, zabijał bez mrugnięcia okiem między jednym a drugim kęsem hamburgera. Zanim zagrał zaś w pięciu filmach o bezlitosnym inspektorze Callahanie zmuszonym do działania ponad głupim, zbyt liberalnym prawem, biurokratyczną machiną policyjną i skorumpowaną polityką, wystąpił w trzech westernach Sergia Leone („Za garść dolarów", „Za garść dolarów więcej", „Dobry, zły, brzydki"), gdzie wcielił się w twardego jak skała rewolwerowca, ochoczo czyszczącego zdemoralizowany Dziki Zachód. Potem były jeszcze dziesiątki lepszych i gorszych filmów akcji. To wystarczyło, by w oczach widzów stał się ideałem „prawdziwego mężczyzny": nieujawniającego żadnych uczuć, posługującego się siłą i omijającego prawo w imię szlachetnych celów – obrony dzieci i kobiet lub sprzątania miasta z ludzkich śmieci. Był tak sugestywny, że ludzie chcieli, by składał im autografy na broni.

Właśnie z powodu apoteozy przemocy guru amerykańskiej krytyki filmowej, nieżyjąca już Pauline Kael, uważała, że „Brudny Harry" jest filmem nie tylko „głęboko niemoralnym", ale wręcz „faszystowskim". Miała wielki żal do Eastwooda, że dzięki atrakcyjnej ekranowej prezencji z socjopaty uczynił herosa. Fakt, cykl filmów o Callahanie z lat 70.

i 80. doskonale wpisał się w konserwatywną rewolucję epoki Ronalda Reagana. Kael nie poprzestała zresztą na krytykowaniu filmów z udziałem Eastwooda – uznała jeszcze, że gwiazdor kina nie potrafi grać.

Nigdy nie miałem predyspozycji do bycia aktorem, byłem zawsze nieśmiały i introwertyczny – wyznał kiedyś Eastwood. Wady potrafił jednak przekuć w zalety, a introwertyczność stała się znakiem rozpoznawczym jego bohaterów. Podobnie jak ściszony niemal do szeptu głos (ponoć ćwiczył go, naśladując Marylin Monroe), pokerowa twarz i bardzo oszczędna ekspresja. Richard Burton nazwał ten styl grania „dynamicznym letargiem", podziwiając zdolność Eastwooda do redukowania aktorskich środków do minimum (podczas gdy Kael była zdania, że gwiazdor w ogóle nimi nie dysponuje!).

Począwszy od Człowieka Bez Nazwiska z trylogii Sergio Leone, przez Brudnego Harry'ego, rewolwerowca z „Bez przebaczenia" i trenera boksu z „Za wszelką cenę" Eastwood właściwie wciąż jest taki sam, bardziej „obecny" na ekranie niż grający rolę. Intrygujący poprzez enigmatyczność, opanowanie i powściągliwość.

Fot. CINETEXT/MEDIUM

Clint Eastwood jako „miejski kowboj" inspektor Callahan, którego najlepszym przyjacielem był rewolwer magnum 44. Prywatnie aktor nie znosi broni i strzelania

– To, co szczególnie mnie zaintrygowało, to jego leniwe ruchy – wspominał Leone. – Przypominał mi kota.

To właśnie reżyser słynnych „spaghetti westernów" kazał swojemu aktorowi po prostu stać i nic nie robić, co zresztą omal nie przyprawiło producentów „Za garść dolarów" o zawał serca. No bo co to za bohater, który się nie rusza, nic nie mówi, a na dokładkę nie ma imienia! Strategia Leone okazała się jednak bardzo skuteczna, a Clint Eastwood wspaniale wprowadził ją w życie.

Jego rewolwerowiec jest tak powściągliwy w gestach, że kiedy w jednej ze scen niespodziewanie podrapał się w twarz, zamarłam w fotelu, czując, że teraz szykuje się coś naprawdę strasznego. Ów drobny ruch okazał się bardziej sugestywny niż wszystkie dialogi świata i wszystkie wymowne spojrzenia razem wzięte! – To bardzo skomplikowane być tak prostym – twierdzi Martin Scorsese, dostrzegając za maską Eastwooda wielką pasję. Zapewne jednak Clint Eastwood jako aktor miał również szczęście trafiać na wyrazistych bohaterów, idealnie wpisujących się w swój czas, bohaterów, którzy zarazem „leżeli na nim" doskonale, niczym mistrzowsko skrojony garnitur. On sam przyznał zresztą: – Na świecie jest mnóstwo wspaniałych aktorów, zdolniejszych ode mnie i lepiej wyszkolonych, którzy jednak po prostu nie pasowaliby do roli choćby Brudnego Harry'ego. A Lawrence Oliver w poncho i z bronią w ręku, wyglądałby po prostu śmiesznie.

Tymczasem Clint Eastwood ze swoją ekranową prezencją, charakterystyczną – mimo upływu lat wciąż szczupłą – sylwetką, a przede wszystkim niesamowitą twarzą i magnetyzującym spojrzeniem był w stanie uwiarygodnić najbardziej dwuznaczną nawet postać. Może więc niepokój Pauline Kael był całkiem uzasadniony: ten aktor nawet największego cynika, faszystę i socjopatę był w stanie uczynić charyzmatycznym, pociągającym i niebywale atrakcyjnym.

Co ciekawe, Eastwood, choć ma na koncie dziesiątki legendarnych już ról, za żadną nigdy nie dostał Oscara. Na statuetkę w kategorii aktorskiej ma zresztą coraz mniejsze szanse, bo też coraz rzadziej pojawia się na ekranie (ostatni raz w „Za wszelką cenę"). W najbliższym czasie zamierza tylko użyczyć głosu komputerowej grze „Brudny Harry", zaś pogłoski o tym, jakoby miał zagrać czarny charakter w czwartej części „Indiany Jonesa", na razie pozostają tylko pogłoskami.

Clint Eastwood coraz częściej bije rekordy w byciu najstarszym – na przykład reżyserem, który zdobył Oscara (w 2005 roku, za „Za wszelką cenę"). Eastwood czuje się dobrze ze swoim wiekiem i wyglądem, co po raz kolejny czyni go wyjątkiem na tle rozpaczliwie walczącego ze starością otoczenia. – Operacje plastyczne są dla starszych ludzi próbą powrotu do magicznego okresu, gdy mieli po 28 lat – twierdzi reżyser. – Ale dziś w Hollywood nawet 28-latkowie poddają się zabiegom. Istnieje ogromna presja, byśmy przez całe życie wyglądali jak 18-letni modele. Ja wolę pozostać tym, kim jestem.

Clint Eastwood stawia opór wszechogarniającej dominacji młodości jeszcze w inny sposób: w swoich filmach, których bohaterami są współcześni outsiderzy, wygnańcy z kultury, czyli ludzie starzejący się, ludzie dojrzali. Od „Bez przebaczenia", „Co się wydarzyło w Madison County" (1995), przez komercyjnych „Kosmicznych kowbojów" (2000) czy „Krwawą profesję" (2002), po „Rzekę tajemnic" i „Za wszelką cenę" opowiada o ich dylematach: bagażu przeszłości, która nie daje o sobie zapomnieć, niespełnionych ambicjach, ostatnich życiowych przygodach, niemożliwych już miłościach, goryczy porażki. Chętnie eksponuje fizyczną słabość swoich bohaterów, dlatego jest poruszający nawet w słabej „Krwawej profesji". Gra tu starzejącego się detektywa, któremu podczas strzelania drży ręka, a w trakcie pościgu nawala serce, i któremu daleko do kociej gracji Człowieka Bez Nazwiska i skaczącego po dachach Brudnego Harry'ego. Ale bohater ani myśli wybierać się na emeryturę – podobnie jak sam Clint Eastwood.

Artysta ma mnóstwo planów i jeśli rzeczywiście, jak mówi, odziedziczył po matce dobre zdrowie, zrobi na pewno wiele filmów. Zmarła w zeszłym roku Francesca Ruth, jeszcze w wieku 96 lat towarzyszyła synowi na oscarowej ceremonii, gdy odbierał statuetkę za „Za wszelką cenę". Wiekowy reżyser może więc niejednemu młodzikowi zagrodzić jeszcze drogę do Oscara, bo jak napisał zachwycony ostatnimi jego filmami brytyjski krytyk – Clint Eastwood „jest jedynym starym psem, który wciąż uczy się nowych tricków". ■

Sypiając z wrogiem

Zaskakująco dobra „Czarna księga" przypomina o wstydliwych epizodach z czasów wojny

Wyrazista i silna postać kobieca w filmie, zwłaszcza wojennym, to rzadkość. Paul Verhoeven zasłużyłby więc na pochwały już za dostarczenie widzowi tego rarytasu. Główną bohaterką „Czarnej księgi" jest żydowska piosenkarka – Rachel (świetna Carice van Houten), która przed końcem drugiej wojny włącza się do holenderskiego ruchu oporu. Walczy nietypowo – za broń służy jej nie pistolet, ale kobiecy urok. I cicha determinacja. Ceną za dostarczanie ruchowi oporu informacji z siedziby wroga jest zabawianie niemieckich oficerów. Zaczyna się od śpiewu przy akompaniamencie esesmana, który na oczach Rachel zamordował całą jej rodzinę, a kończy w łóżku szefa gestapo.

W pierwszym filmie po powrocie ze Stanów do Europy Paul Verhoeven wykorzystał z hollywoodzkich doświadczeń tylko to, co dobre: film trzyma w napięciu, jest pełen zwrotów akcji i mocnych scen. Holenderski reżyser stara się obnażyć bezsensowność postrzegania wojny w kategoriach złych najeźdźców i dobrych okupowanych i świadczyć o antysemityzmie, od którego nie byli wolni także bohaterowie ruchu oporu. Przypomina też, że w wyzwolonej Holandii rozpoczął się karnawał zemsty na – prawdziwych i rzekomych – kolaborantach. Pokazując, jak tłum wywleka ich na ulicę, wyszydza, upokarza, nie pragnąc prawdy, lecz odwetu, Verhoeven celowo buduje kontrowersyjne skojarzenia z praktykami nazistów, uświadamiając, jak niewiele trzeba, by ofiara przeobraziła się w oprawcę.

KAROLINA PASTERNAK

●●●●○○

„CZARNA KSIĘGA", REŻ. PAUL VERHOEVEN, BELGIA, HOLANDIA, NIEMCY, WIELKA BRYTANIA 2006, 145', VISION, PREMIERA 2 MARCA

Fot. VISION

Wojna przerwała przyjemne życie Rachel (Carice van Houten)

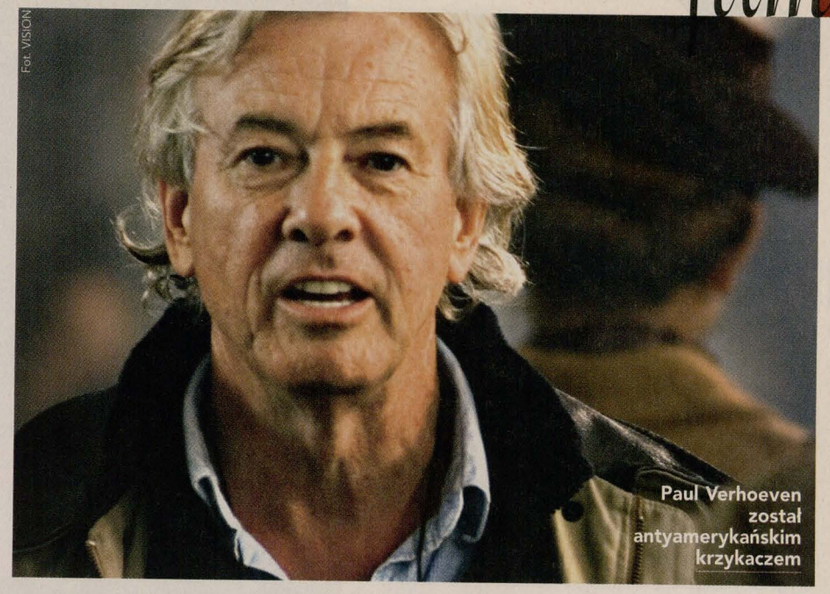

Fot. VISION

Paul Verhoeven został antyamerykańskim krzykaczem

Precz z imperializmem!

Paul Verhoeven, reżyser „Czarnej księgi", chce opowiadać o skomplikowanym świecie. Tyle że sam mówi o nim w uproszczony sposób

PRZEKRÓJ: Mawia pan, że lubi szokować widzów. Dlaczego?

PAUL VERHOEVEN: Nie chcę chronić widowni. Czuję, że mam prawo wyrażać się w najbardziej skandalizujący, bezpośredni sposób. Nie powinienem się cenzurować, szczególnie w przypadku „Czarnej księgi", bo wydarzenia ukazane w filmie naprawdę miały miejsce. Po co w ogóle cenzurować rzeczywistość? Pokazywać zwycięski marsz Amerykanów w Bagdadzie i pomijać ludzi, którzy stracili nogi, wzrok? Rzeczywistość trzeba pokazać, nawet jeśli jest makabryczna.

Akcja „Czarnej księgi" dzieje się w czasie drugiej wojny światowej. Czemu chciał pan wrócić do tamtych czasów?

– Żeby pokazać, że zło może być dobre, a dobro złe. Tchórze mogą stać się bohaterami, a bohaterowie tchórzami. W czasach drugiej wojny światowej, tak jak dziś, nikt nie był czarny ani biały. Każdy był szary. W filmie nawet okrutny Niemiec ma zalety, jest zdolnym pianistą i czarusiem. Mój film to także protest przeciwko amerykańskiemu, schematycznemu podziałowi na dobro i zło, który widać w polityce rządu prezydenta Busha. Nieprzypadkowo scena w holenderskim więzieniu przypomina zdarzenia z Abu Ghraib.

Po „Człowieku widmie" deklarował pan, że zrobi film w Europie i o niej, ale po angielsku i z amerykańskimi aktorami, by łatwiej móc go sprzedać. Mimo to „Czarna księga" ma mało znaną obsadę i holenderskie dialogi.

– W Ameryce byłem wręcz zmuszony do kręcenia filmów science fiction, co mnie męczyło. Chciałem wrócić do prawdziwego życia. Oczywiście film to nie życie, ale w niektórych produkcjach jest go więcej, w innych mniej. Amerykańscy producenci przeczytali scenariusz „Czarnej księgi", który dla nich przetłumaczyłem. Byli zainteresowani filmem, pod warunkiem że nakręcę go po angielsku. Wtedy poczułem, że powstałby chłam. Holendrzy i Niemcy mieliby mówić językiem imperializmu, bo tym jest angielski, nieprawdaż? Musiałem zrobić film z bohaterami mówiącymi i po holendersku, i w jidysz. Chciałem uszanować fakt, że na świecie istnieją inne języki niż angielski.

Kobiety w pańskich filmach są na ogół bardzo silne. Skąd pochodzi ich władza?

– Ode mnie *(śmiech)*. Lubię tworzyć silnie bohaterki. Nie wiem, czy to wynika z mojego podziwu dla kobiet, czy sposobu, w jaki je postrzegam, czy z tego, że jestem otoczony przez silne, zdecydowane panie, które wspierały mnie w pracy. Wypicie filiżanki kawy z kobietą jest dla mnie ciekawsze niż wypicie piwa z mężczyzną. Czuję, że wobec kobiet mogę być bardziej szczery i otwarty.

ROZMAWIAŁA OLA SALWA

Ze starej płyty

„Dreamgirls" to sklecona z ogranych motywów śpiewogra o tym, jak show zamienia się w biznes

Film zaczyna się z takim impetem, że nawet nie ma czasu na napisy początkowe. I przez pierwsze pół godziny udaje mu się utrzymać rhythm and blues, nie tracąc przy tym z oczu kontekstu społecznego. Jesteśmy w USA, w latach 60. ubiegłego wieku, trio czarnoskórych wokalistek (fabułę zainspirowała historia zespołu The Supremes) próbuje zrobić karierę. Ale oprócz zwyczajowych problemów dziewczyny muszą pokonać bariery rasowe. Biała Ameryka wciąż niechętnie wypuszcza czarnych artystów z gett, choć bardzo chętnie żeruje na ich talentach. Jedna z najlepszych scen filmu pokazuje, jak oryginalny przebój tria zostaje przerobiony na ckliwy szlagier wykonywany przez słodkiego blondaska. Niestety, gdy zaczynają się pierwsze niesnaski w zespole, „Dreamgirls" robią się równie mdłe jak owa biała wersja piosenki. Oto cyniczny menedżer (Jamie Foxx) odsuwa na drugi plan dotychczasową liderkę grupy Effie (zdolna debiutantka z amerykańskiego „Idola" Jennifer Hudson) i lansuje urodziwą Deenę (piosenkarka Beyonce Knowles), do której czuje miętę. Cała para idzie w jękliwy gwizdek. Kto żyw zawodzi na ekranie o tym, że jest nieszczęśliwy, niekochany, wykorzystany przez machinę show-biznesu albo że chce się wreszcie uniezależnić. I choć film nafaszerowany został piosenkami, trudno wskazać jakiś ewidentny przebój, który kołatałby się w głowie po seansie. Natomiast stanowczo za mało jest w tym dziele blichtru i przegiętego kiczu, by czerpać z jego oglądania perwersyjną przyjemność. „Dreamgirls" to zaledwie śpiewogra dla miłośników mydlanych oper w stylu „Mody na sukces".

BARTOSZ ŻURAWIECKI, „FILM"

Dreamgirls: muzyczna drużyna marzeń

Fot. VIP

●●●○○○

„DREAMGIRLS", REŻ. BILL CONDON, USA 2006, 131', UIP, PREMIERA 2 MARCA

Fot. BARTOSZ MROZOWSKI/ITI CINEMA

Ale jaja!

„Testosteron" śmieje się z inteligentów – szkoda, że nie dość inteligentnie

Konecki i Saramonowicz filmami „Pół serio" i „Ciało" udowodnili, że znają się i na filmowej robocie, i na samym kinie. Że mają poczucie humoru i wyczucie konwencji. Tymczasem „Testosteron" sprawia wrażenie, jakby jego twórcy przez całe życie z zapałem studiowali wyłącznie pisma pokroju „Cosmo", a jedyną książką, przez którą przebrnęli, był klasyk o tym, że kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa. Opowiedziana przez nich historia sprowadza się bowiem do powielania banałów o biologicznych różnicach między płciami, które całkowicie determinują damsko-męskie relacje. Biedni mężczyźni są więc zniewoleni przez testosteron i czy to nieśmiały doktorant, czy pyskaty kelner, myślą tylko o tym, jak by tu jakiejś pani „wyłotoczyć żubra". Szczególnie rozdarci są inteligenci, bo tym swobodne życie płciowe utrudniają liczne konwenanse. Choć mają wrażliwe dusze, natura zmusza ich do demonstrowania siły oraz władzy i rywalizowania z innymi „samcami" – na przykład w ważkiej kwestii wielkości jaj.

Wedle tej równie odkrywczej, co zabawnej teorii, kobiety to z kolei „zdradzieckie suki" – nie ma tu ani jednej postaci kobiecej pokazanej z sympatią. W końcu cała historia zaczyna się od ucieczki jednej z nich sprzed ołtarza. Niedoszły pan młody z garścią znajomych i nieznajomych mężczyzn (gitarzysta, naukowiec, dziennikarz, kelner, brat prawnik i ojciec playboy) ostatecznie ląduje na przyjęciu weselnym, gdzie faceci gadają, piją i od czasu do czasu leją się po mordach.

„Testosteron" bywa momentami naprawdę śmieszny, nie brakuje w nim zabawnych dialogów czy trafionych dowcipów (grany przez Piotra Adamczyka pan młody, ornitolog, nazwany zostaje „papieżem polskiej ornitologii"). Czasem film Koneckiego i Saramonowicza bywa nawet przewrotny, szczególnie gdy spuszcza powietrze z balonu „męskości" i wyśmiewa ambicyjki bohaterów. Tej przewrotności i dystansu jest tu jednak zdecydowanie za mało, a reżyserski duet zamiast przenicowywać stereotypy, z zapałem je utrwala i wbrew komediowej konwencji traktuje ze śmiertelną powagą. Szkoda, bo „Testosteron" jest nie tylko sprawnie zrealizowany, ale ma jeszcze zręcznie nakreślonych bohaterów i jest naprawdę dobrze zagrany. Największe brawa należą się zdecydowanie Adamczykowi, który po dętych rolach Chopina i Jana Pawła II błysnął komediowym talentem.

W innej sytuacji pomyślałabym, że robiąc film mniej inteligentny niż oni sami, musieli sprostać wymaganiom okrutnego rynku, który każe im w pierwszym rzędzie zadowolić gawiedź. Teraz jednak, oświecona przez ich komedię, rozumiem, że – jak to faceci – zostali reżyserami tylko po to, żeby zaimponować dziewczynom. A jak dobitnie wynika z ich filmu, nie da się tego osiągnąć rozważaniami o książkach Marii Janion.

MAŁGORZATA SADOWSKA

●●●○○○

„TESTOSTERON", REŻ. TOMASZ KONECKI, ANDRZEJ SARAMONOWICZ, POLSKA 2007, 119', ITI CINEMA, PREMIERA 2 MARCA

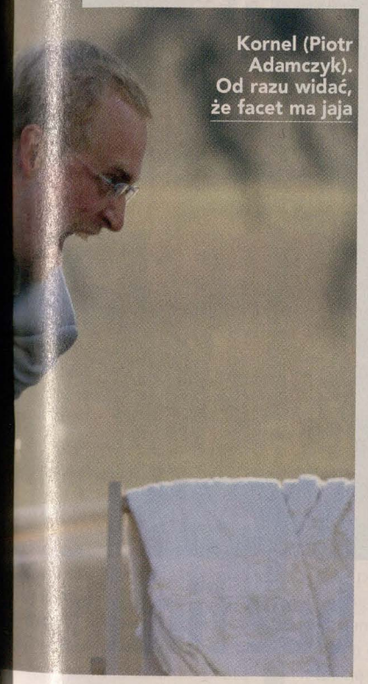

Kornel (Piotr Adamczyk). Od razu widać, że facet ma jaja

●●●●●● mistrzostwo
●●●●● na piątkę
●●●● warto
●●● może być
●● słabe
● dno

Niedawno temu w Meksyku

Prosta historia i magiczna siła muzyki

Ze „Skrzypiec" Francisco Vargasa płynie melodia, której warto posłuchać. Magia filmu tkwi w zgrabnym połączeniu kronikarskiego zapisu wydarzeń z baśniową atmosferą. Reżyser nawiązuje do wypadków z lat 70. ubiegłego wieku, gdy w Meksyku toczyły się walki między indiańskimi wieśniakami a rządowym wojskiem. Głównym bohaterem jest tu jednak nie sam konflikt, lecz wiekowy skrzypek Don Plutarcho. Wraz z synem partyzantem i małoletnim wnukiem prowadzi podwójne życie: w dzień muzykuje na ulicach miasta, nocą ukrywa się w lesie z bojownikami. Vargas uprościł dialogi tak, by brzmiały naturalnie, większość ról powierzył naturszczykom (wśród nich pierwsze skrzypce gra świetny indiański muzyk Don Angel Tavira), zdjęcia pozbawił koloru. Jednocześnie przełamał ów paradokumentalny realizm niesamowitymi opowieściami Don Plutarcha o bogach i życiu po śmierci. W rezultacie powstała prosta i wiarygodna historia z fascynującego świata rdzennych mieszkańców Meksyku. Ole!

OLA SALWA

●●●●●○

„SKRZYPCE", REŻ. FRANCISCO VARGAS, MEKSYK 2005, 98', AP MANANA, PREMIERA 2 MARCA

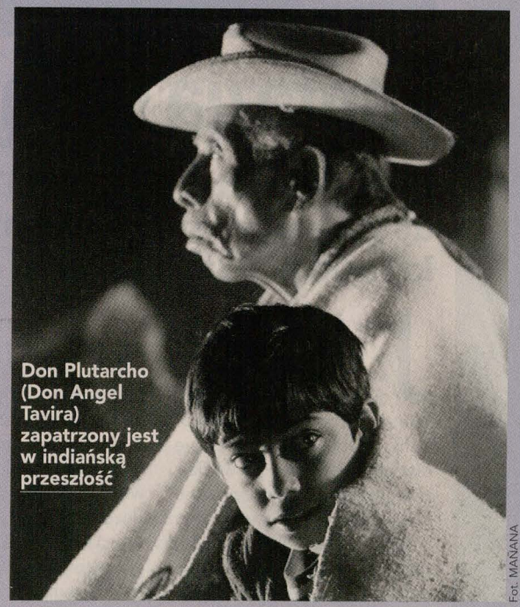

Don Plutarcho (Don Angel Tavira) zapatrzony jest w indiańską przeszłość

Fot. MAÑANA

79. ceremonia wręczenia Oscarów należała do przewidywalnych, gładkich i dość nudnych. Po 30 latach kariery Martin Scorsese doczekał się wreszcie pierwszego Oscara za reżyserię, ale choć „Infiltrację" uznano również za najlepszy film, nie da się ukryć, że to jedna z najsłabszych produkcji mistrza. Scorsese dostał więc statuetki raczej „za zasługi", a nie dlatego, że stworzył arcydzieło. Można się było spodziewać aktorskich Oscarów dla Helen Mirren („Królowa") i Foresta Whitakera („Ostatni król Szkocji"), którzy nie tylko świetnie zagrali, ale jeszcze odtworzyli na ekranie prawdziwe postaci, a jak wiadomo, Amerykańska Akademia uwielbia takie „wcieleniówki". Tym razem obeszło się bez politycznych wystąpień czy aluzji do wojny w Iraku, za to Hollywood zaczął poczuwać się do „misji" – nieprzypadkowo nagrodę za najlepszy dokument otrzymała „Niewygodna prawda", w której Al Gore uświadamia zagrożenia związane z globalnym ociepleniem, zaś Oscara honorowego odebrała Sherry Lansig, była producentka, dziś działaczka organizacji walczących z rakiem. To wyraźny sygnał, że Hollywood chce być dziś postrzegane jako zaangażowane w problemy świata. Ale takie gesty bardziej niż światu służą chyba poprawie samopoczucia hollywoodzkich gwiazd.

MASA

REKLAMA

Katherine G. SOWERBY

RUTHERFORD I SYN

(Rutherford and Son)

przekład: Małgorzata Semil

reżyseria: MARIUSZ WOJCIECHOWSKI

scenografia, kostiumy: JAGNA JANICKA

opracowanie muzyczne: JÓZEF OPALSKI

aktorzy: Bożena Borowska, Antonina Choroszy, Ewelina Dubczyk (gościnnie), Radosław Elis, Mariusz Puchalski, Waldemar Szczepaniak, Mariusz Wojciechowski (gościnnie)

7, 8, 9, 10, 11 marca 2007 roku

Teatr Nowy im. Tadeusza Łomnickiego w Poznaniu ul. Dąbrowskiego 5 Trzecia Scena

www.teatrnowy.pl

PATRONAT MEDIALNY gazeta arms

TŁOCZNIA

• Zmienna pogoda z dodatku **„Cztery pory roku"** (PC) odmienia wygląd „Simsów 2", wpływając na domowników i rośliny w ogródkach. A samodzielna gra „The Sims: Historie z życia wzięte" (PC) do znanej formuły dodaje romantyczną fabułę z jasno wyznaczonymi celami i wygodniejszą obsługę na laptopach. Dla przedsiębiorczyń, które mają mniej czasu.

Japoński wilk naprawi świat

• **„Okami"** (PS2) to zwiastun drugiej młodości konsoli Sony wśród nowatorskich gier z Japonii. W stylizowanej na dalekowschodnie malarstwo oprawie boski wilk naprawia świat niebiańskim pędzlem. Malunki ożywają, a skreślenia przecinają wrogów. Dla tych, którzy uwierzą mi na słowo, że ten zaczarowany ołówek to natchniony pomysł.

• 1942 rok na Pacyfiku w grze **„Battlestations: Midway"** (PC) byłby powtórką z tej samej wojny, gdyby nie skala działań i dołączenie ręcznego sterowania jednostkami. Dla omnidowódców, którzy po strategicznym rozmieszczeniu lotniskowców, niszczycieli i łodzi podwodnych sami wystrzelą z dział, poderwą samolot albo upolują wroga torpedą.

• Oryginalny symulator ekonomiczno-rodzinny **„The Guild 2"** (PC) to szkoła przeżycia w średniowiecznych realiach. Przechodzący z ojca na syna zakład rzemieślniczy, gospodarstwo rolne, pracownia alchemiczna albo bandycka szajka rozrastają się, aż ich drobiazgowa obsługa staje się męcząca. Dla stoików, którzy zniosą to i jeszcze kilka innych denerwujących błędów.

RGB

●●●●●● mistrzostwo
●●●●● na piątkę
●●●● warto
●●● może być
●● słabe
● dno

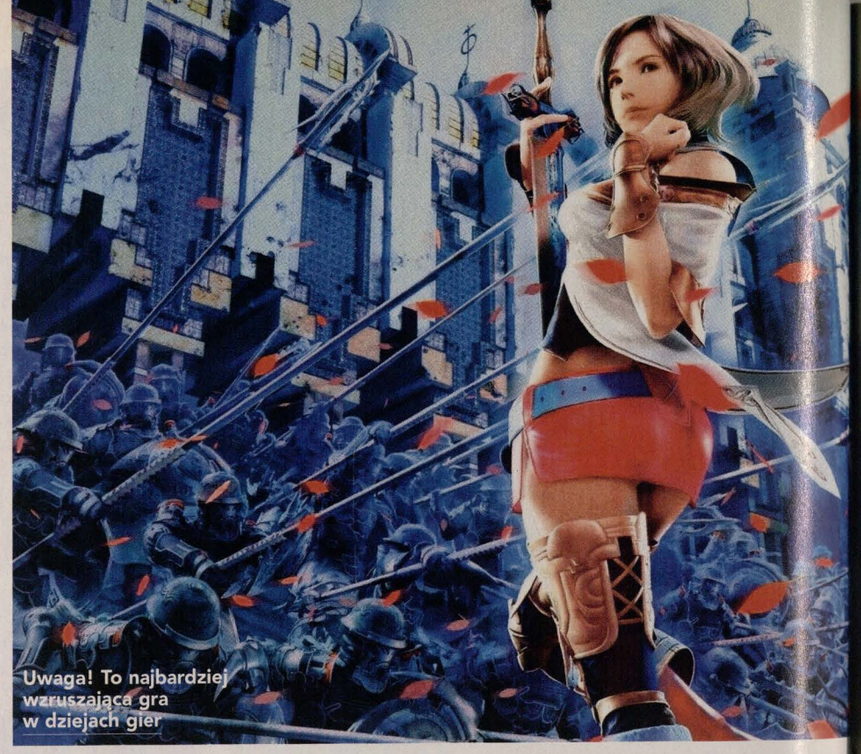

Uwaga! To najbardziej wzruszająca gra w dziejach gier

Fantazja wciąż bez finału

Dwunasta edycja „Final Fantasy" przejdzie do historii za sprawą kontrowersyjnych reform, którym poddano kultową grę

Japońskie gry role-playing to trochę inna para rycerskich trzewików niż produkcje z Zachodu. W tych ostatnich, choćby w sztandarowym „Oblivion", liczy się otwarty świat, gdzie prawa fizyki są ważne przy rozwiązywaniu problemów, a zajęcie można znaleźć jeszcze długo po dotarciu do finału wątku fabularnego. Tymczasem dalekowschodnie produkcje wciąż wyglądają jak przygodówki z doczepionym zarządzaniem postacią. Narzucają nam z góry bohatera, przez długi czas od startu ograniczają swobodę ruchu, wtrącają do akcji nierealistyczne minigry. Dlatego mają zagorzałych przeciwników odmawiających nawet określania ich terminem RPG.

Zwolennicy odpierają zarzuty, twierdząc, że wszystko to służy budowaniu wspaniałych, epickich opowieści. Fakt. Obchodzącą w tym roku dziesięciolecie „Final Fantasy VII" okrzyknięto najbardziej wzruszającą grą w historii. Ale już następczyni była jak opera mydlana dla nastolatków – zbyt stereotypowa i nachalna. Zaś „FF X" i „FF X-2" zalatywały mydłem jak nigdy dotąd. Na ich tle wydana właśnie część XII pachnie dezodorantem „Brutal" – to twarda, rycerska story. Pełen polityki, rozpisany na wiele osób dramat w okupowanym przez złe imperium królestwie.

Oczywiście nie przeszkadza to autorom w dodaniu do bestiariusza biegających kaktusów czy przyprawieniu drużynowej łuczniczce idiotycznych króliczych uszu. Takie rzeczy należą już do tradycji, podobnie jak wymieszanie imponujących zbroi z powietrznymi statkami. Mimo ograniczeń PlayStation 2 znany już choćby z gry „Vagrant Story" świat Ivalice wygląda tu pięknie jak nigdy dotąd, a odtwarzane z płyty animacje nadal nie mają sobie równych.

Pod maską mruczą też nowe mechanizmy. Największe zmiany przeszła technika starć teraz przypominających „FF XI" i inne masowe gry internetowe. Spotkanie z wrogiem nie przenosi walczących na oddzielny ekran. Zniknął podział na tury (choć czynności nadal wybiera się z menu, zatrzymując akcję), wkroczyły gambity, czyli wytyczne dla kilku autonomicznie działających postaci. Przykład: kiedy energia któregoś z sojuszników spadnie poniżej wskazanego poziomu, przerwij walkę i rzuć leczniczy czar. Druga osoba może oślepiać i spowalniać świeżo spotkane bestie, a trzecia stosować czary ognia czy wiatru tylko przeciwko wrogom wrażliwym na moc odpowiedniego żywiołu. System wspaniały taktycznie, ale w parze z nim przydałoby się dopasowywanie siły przeciwników do poziomu bohaterów – właśnie tak jak w „Oblivion". Za często zdarza się, że silna drużyna roznosi wrogów praktycznie bez naszej interwencji (co staje się nudne) albo – odwrotnie – zbyt słabą rozszarpuje większa banda, a my nie nadążamy z ręcznymi korektami. Dlatego „FF XII", chociaż oferuje soczystą, kilkudziesięciogodzinną opowieść, ideałem wciąż jednak nie jest.

RAFAŁ BELKE

●●●●●○

„FINAL FANTASY XII", SQUARE ENIX, DYSTRYBUCJA (PLAYSTATION 2) CENEGA POLAND, 219 ZŁ

Twarda skorupa

Niech wygląd nikogo nie zmyli – **„Sen żółwia"** nie jest grą dla początkujących zjadaczy przygodówek

Zgodnie z oczekiwaniami to przygoda z gatunku niedorzecznych. Bohater gubi przyjaciółkę na tropikalnej, ewakuowanej przez wojsko wyspie i trafia na kosmiczne technologie w starej świątyni. Po drodze komentuje decyzje gracza, niańczy lemura alkoholika, szuka pomocy u jednonogiego surfera-szamana, a w kamiennym tunelu znajduje szkielet przygniecionego wielką kulą archeologa w kapeluszu z batem. Wszystko w rysunkowej oprawie w stylu retro, ale osiągnięte nowoczesnymi środkami.

Z jednej strony mamy smakowicie archaiczny efekt przy przesuwaniu płaskich teł. Z drugiej – bohaterów poruszających się z naturalnością nieosiągalną w dawnych przygodówkach. Skuszeni tymi widokami niedzielni „klikacze" mogą się jednak odbić od łamigłówek, które okazują się dość złożone. Weterani będą zadowoleni, jeśli przełkną to, że nawet oczywistą czynność można tu wykonywać dopiero po odbyciu jakiejś zupełnie niepotrzebnej rozmowy.

RAFAŁ BELKE

●●●●○○

„RUNAWAY 2: SEN ŻÓŁWIA", PENDULO/ASCARON, DYSTRYBUCJA (PC) NICOLAS GAMES, 79,99 ZŁ

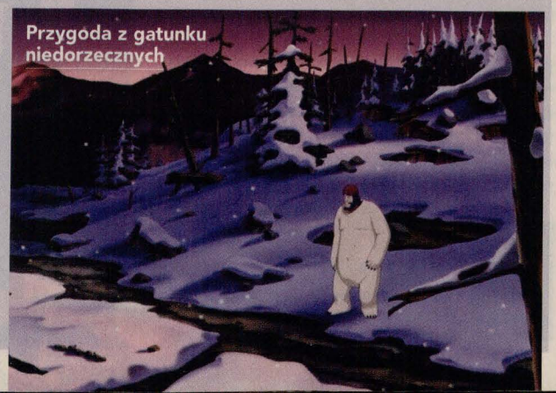

Przygoda z gatunku niedorzecznych

Miasto na sterydach

„Crackdown": komiksowa mieszanka nadludzkich akrobacji i ostrej strzelaniny

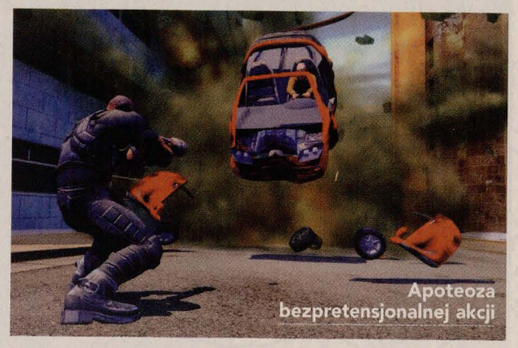

Apoteoza bezpretensjonalnej akcji

Generacyjna zmiana w konsolach przejawia się w rzeczach małych, ale ważnych. Pozwala na przykład na pokazanie stojącemu na dachu wieżowca graczowi całego miasta aż po horyzont, a w dole malutkich ludzi i pojazdów – bez sztucznej mgły! Dla Dave'a Jonesa, niegdysiejszego współtwórcy „Grand Theft Auto", to przyczynek do rozciągnięcia w pionie obszaru zwiedzania nowej metropolii. A że bohater jest genetycznie zmodyfikowanym gliniarzem, to z łatwością czepia się parapetów i wykonuje matriksowe susy po dachach drapaczy chmur. Ciągle się rozwija, więc nabiera także siły, biegłości w kierowaniu porywanymi pojazdami, strzelaniu i wysadzaniu. Przewaga nad złoczyńcami na ulicach jest ogromna właśnie po to, by bawić się sytuacją i próbować nowych, nawet absurdalnych pomysłów (a może by tak rzucić samochodem?). Za to twierdze bossów kryminalnego podziemia stanowią na tyle trudne wyzwanie, że warto połączyć siły z drugim graczem w Internecie. Na ołtarzu bezpretensjonalnej akcji złożono tu fabułę, no i życie wielu wirtualnych przechodniów, ale reszta jest tak dograna, że mam to w nosie.

RAFAŁ BELKE

●●●●●○

„CRACKDOWN", REAL TIME WORLDS/MICROSOFT, DYSTRYBUCJA (XBOX 360) CD PROJEKT, 259 ZŁ

REKLAMA

Radio ZET siła muzyki

gazeta zwierciadło FILMWEB zone INTERIA.PL

Rajskie więzienie

Krzysztof Owedyk, klasyk polskiego undergroundu komiksowego, polemizuje z chrześcijańskimi dogmatami

Autor „Ósmej Czary", która po raz pierwszy ukazała się w Polsce w 1994 roku, znany jest bardziej pod pseudonimem Prosiak, a jego twórczość od początku związana była ze środowiskiem sceny punkowej. Owedyk prowadził niezależną oficynę wydającą fanzin „Prosiacek". Tematyka pisma koncentrowała się wokół konfliktów punków ze skinami, problemów niezależnej sceny i krytyki państwa. Ale największą obsesją Prosiaka była religia, szczególnie polska dewocja i przywiązanie do rytuałów. Artysta jawnie demonstrował niechęć do dogmatów i kleru. O ile w „Prosiackach" krytyka religii miała postać doraźnej satyry, o tyle „Ósma Czara" jest poważną historią polemizującą z podstawami chrześcijańskiej teologii, a w szczególności z naturą Najwyższego.

Zawistny i pełen pychy Bóg postanawia unicestwić ludzkość, ocalając (wybranych losowo) 14 tysięcy wiernych. Umieszcza ich w nowym raju, gdzie archaniołowie wymazują wybrańcom wspomnienia i uczucia. Ich celem ma być wyłącznie modlitwa. Raj wygląda zresztą jak na ilustracjach w pisemkach świadków Jehowy. Wszyscy mili i uśmiechnięci. Szkoda tylko, że w tym wypadku to efekt działania narkotyku. Bóg bowiem, łamiąc pradawną umowę, odbiera ludziom wolną wolę, a raj staje się formą więzienia. Znajduje się jednak ocalały z zagłady grzesznik Pierre, który postanawia dostać się do Edenu i odnaleźć ukochaną, zanim słudzy boży zrobią jej pranie mózgu.

Rysunki nie przyprawiają o zawrót głowy, ale scenariusz należy do najbardziej ambitnych i przemyślanych historii we współczesnym polskim komiksie. Autor przeplata wątek miłosny z filozoficznym wywodem, w którym przeciwstawia się chrześcijańskiej koncepcji winy, kary i cierpienia, a religię traktuje jak uwodzącą tłumy ideologię. Owedyk o uczuciach potrafi opowiadać ciepło i szczerze, a antyutopię z egoistycznym Bogiem w roli głównej konstruuje, nie uciekając się do łatwego antyklerykalizmu. Wiele polskich komiksów o podobnym ładunku intelektualnym nie znajdziemy.

Mamy dziś niezłą koniunkturę na powieści graficzne, a ten album doskonale wpisuje się w ramy gatunku. Kiedy ukazał się po raz pierwszy, poznała go tylko garstka czytelników. Czy teraz zdobędzie uznanie w kraju, gdzie o religii lepiej nie dyskutować? Chyba tylko Bóg raczy to wiedzieć.

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

●●●●●○

KRZYSZTOF OWEDYK
„ÓSMA CZARA. GENESIS",
KULTURA GNIEWU 2007, S. 110, 27,90 ZŁ

Ezoteryczny Tybet

„Biały lama" – Jodorowsky patrzy na Tybet oczami Zachodu

Dla Alexandra Jodorowsky'ego przygoda z komiksem na dobre zaczęła się, gdy miał 51 lat. Znakomite przyjęcie „Incala" sprawiło, że pod koniec lat 80. stał się czołowym scenarzystą komiksu europejskiego. W Polsce znamy już tę słynną serię i kilka innych z nią powiązanych. Nadszedł czas na inne tytuły. „Biały lama" pochodzący z lat 1988–1993 to kolejna historia zawierająca elementy charakterystyczne dla całej twórczości Jodorowsky'ego.

To znów opowieść o mesjaszu – podobnym do tych, jakimi byli bohaterowie „Incala" (John Difool) czy „Technokapłanów" (Albino). Tu okazuje się nim Gabriel, Europejczyk. W jego ciele odradza się duch przeora tybetańskiego klasztoru, wielkiego lamy Mipama, który przed śmiercią doznał wizji nieszczęść, jakie mają spaść na jego ojczyznę. W rozgrywającej się na początku XX wieku historii kwestie polityczne (kolonializm brytyjski, widmo chińskiej inwazji) splatają się z opowieścią o odnajdywaniu sensu życia. Główny bohater to alter ego samego Jodorowsky'ego – mistyka, wyznawcy ezoteryki, wschodnich religii i prądów myślowych utożsamianych z New Age. Georges Bess, dla którego „Biały lama" był pierwszym dużym osiągnięciem, narysował komiks w sposób typowy dla lat 80. Klasyczny układ kadrów, kreska nosząca ślady wpływu arcymodnego wówczas Moebiusa, kolor nakładany ręcznie. To, co kilkanaście lat temu było standardem, dziś prezentuje się ciekawiej. W dobie komputerowo nakładanego koloru „Lama" wygląda niepowtarzalnie.

BARTOSZ KURC

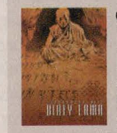

●●●●○○

„BIAŁY LAMA" (W SERII „PLANSZE EUROPY"), SCENARIUSZ ALEXANDRO JODOROWSKY, RYSUNKI GEORGES BESS, EGMONT POLSKA, WARSZAWA 2007, S. 296, 150 ZŁ

W jednoaktówkach Pintera dominuje naga opresja polityczna

Fot. TEATR IM. S. ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Radiotaxi, wiejmy stąd

Wędrówki z Pinterem po współczesnej polityce

Zaczyna się na liszajowatym podwórku teatru, za solidnie kutą bramą z ozdobnym napisem „Harold Pinter"od frontu. Widzowie podzieleni na grupy wędrują zapyziałymi schodami w różne zakamarki, by oddzielnie oglądać trzy miniatury angielskiego noblisty i zejść się na widowni przy czwartej. Bez owej podpórkowej włóczęgi po teatrze byłoby cienko: te późne drobiazgi Pintera nie dorównują dramaturgicznym osiągnięciom jego młodości. To sceniczne wizerunki nagiej opresji: jakiś śledczy znęca się nad opozycjonistą i jego rodziną, strażnicy nad ludnością okupowanego kraju. Portrety celne, przejmujące... acz w szlachetnej oczywistości dość jałowe (jeśli ktoś, rzecz jasna, nie ma już ochoty smagać Busha za Guantanamo i Abu Ghraib; Pinter, jak wiadomo, czyni to, gdzie może, choć tu akurat nie szło o Irak).

Najciekawsza miniatura jest najbardziej odlotowa. Londyński taksówkarz zrywa się z uwięzi centrali, sprawia wrażenie, jakby rozmyło mu się miasto (łącznie z tak niewzruszonymi punktami jak dworzec Victoria), coś wspomina o dziewczynie w samochodzie – i nagle także jego dyspozytor czuje nieprzepartą chęć ciepnięcia w diabły stanowiskiem dowodzenia. Ta anarchizująca scenka jest jednak bardziej radiowa niż teatralna i ginie wśród sekwencji widowiskowo sprawniejszych, choć tak słusznych, że w końcu nieznośnych.

JACEK SIERADZKI

●●●●○○

„NOWY ŁAD ŚWIATA" HAROLDA PINTERA, PRZEKŁAD BOLESŁAW TABORSKI, REŻYSERIA I PRZESTRZEŃ SCENICZNA PIOTR SZCZERSKI, SCENOGRAFIA JERZY STARZ, TEATR IMIENIA STEFANA ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

●●●●●● mistrzostwo
●●●●● na piątkę
●●●● warto
●●● może być
●● słabe
● dno

Nieprzytuleni

Gdzież są satyrycy z tamtych lat...

Gromadka Polaków pod wodzą Jana Matyjaszkiewicza

Fot. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Pies mojej mamy śmiertelnie obraził się na artystę Poniedzielskiego. A było tak. Obiecawszy, że mu wszystko opowiem, zasiadłem na widowni Ateneum, by posłuchać piosenek Jana Kaczmarka śpiewanych przez gromadkę szarych Polaków stojących w kolejce po nic. Szybko zorientowałem się, że to nie spektakl, ale koncert. Sytuacje naszkicowano minimalnie i pretekstowo. Co jakiś czas z lewej kulisy wyłaniał się Poniedzielski, konferansjer, ksiądz, błazen... w każdym razie artysta o twarzy na wieki wieków amen ucieleśniającej polską depresję. Sam brawurowo wykonał legendarną „Kurną chatę", zespół grzmotnął piosenkę o „Kryśce"... Jan Matyjaszkiewicz jako tak zwany staruszek z werwą sprawiał wrażenie, jakby to on osobiście rozmontował wokalnie wszystkie demoludy. Kiedy Anna Dereszowska śpiewała o reglamentacji wierszy Miłosza, wzruszyłem się mocno, bo przypomniał mi się samizdat tomiku „Gucio zaczarowany" czytany pod ławką na fizyce. Podśpiewując z aktorami co lepsze refreny, zrozumiałem, że tęskno mi do „kaczmarkowego" i „poniedzielskiego" typu humoru, który zszedł dziś pod ziemię, bo na co dzień rozśmieszają nas nie melancholijni satyrycy, tylko politycy idioci. Na szczęście uda się czasem wytropić wieczorek muzyczny taki jak ten, pełen smutnej radości. A co z tym łajdackim dalmatyńczykiem, który obraził się na Poniedzielskiego? Otóż żaden z artystów nie wspomniał kultowej ongiś pieśni Kaczmarka „Do serca przytul psa, weź na kolana kota…". Człowiek może się wściec, a co dopiero pies.

ŁUKASZ DREWNIAK

●●●●○○

„ALBUM RODZINNY" JANA KACZMARKA I ANDRZEJA PONIEDZIELSKIEGO, REŻYSERIA ADAM OPATOWICZ, TEATR ATENEUM W WARSZAWIE

dvd

„Plac Zbawiciela", reż. Joanna Kos-Krauze, Krzysztof Krauze, Best Film, 94', 44,50 zł
Niedaleko od zabytkowego kościoła rodzinny dom zamienia się w piekło na ziemi. Rozpętuje je Teresa, teściowa Beaty (fantastyczne Ewa Wencel i Jowita Budnik), która właśnie wprowadziła się z mężem i dziećmi do mieszkania „mamy". Niby nic się nie dzieje: tu kąśliwa uwaga, tam złośliwy komentarz. Z drobiazgów powstaje pętla psychicznej przemocy. Doskonały film. (SOL)

„Hawana – miasto utracone", reż. Andy Garcia, Best Film, 143', 39,90 zł
W pięknie tego filmu można się zatracić: śliczne kobiety, urodziwe krajobrazy, kubańska muzyka, wspominki o cudownej młodości... Pierwszy zatracił się reżyser, gdyż za wypieszczoną formą nie idzie równie wspaniała treść. Historia właściciela klubu w Hawanie, którego rodzina i świat rozpadają się z nadejściem Fidela Castro, nie wciąga. Gdy pierwszy zachwyt mija, film robi się przydługi i nudnawy, choć ogląda się go bez bólu. (SOL)

„Stoned" reż. Steven Wooley, Vision, 98', 47 zł
Film o Brianie Jonesie, tragicznie i tajemniczo zmarłym gitarzyście Rolling Stones. Stonesów tu niewiele – tak muzyków, jak muzyki. Próba rozwikłania zagadki śmierci? Niemrawa. Reżysera bardziej interesuje rozpustne życie Briana – narkotykowe orgie i seksualne przygody. Powierzchowne. (SOL)

KUPUJEMY
FILMY PAULA VERHOEVENA NA DVD

Przypominamy amerykańskie filmy holenderskiego reżysera

„Robocop" (1987), 98', Imperial Entertainment, 29,50 zł
Martwy policjant wraca do życia jako pół człowiek, pół robot. Pełny był za to sukces kasowy Verhoevena, który w formacie sci-fi zawarł opowieść o zemście i odkupieniu.

„Nagi instynkt" (1992), 127', Vision, 37,50 zł
Kto? Sharon Stone i Michael Douglas. Co? Seks i przemoc. A policjant nie wie, czy aresztować diaboliczną pisarkę, czy ją kokietować. Film wypromował Stone i ugruntował pozycję reżysera.

„Showgirls" (1995), 128', 24,50 zł (z magazynem „Kino domowe")
Verhoeven pokazuje ciemną stronę miasta Las Vegas i ciężkie życie tancerek rewiowych. Za co obsypano go gradem Złotych Malin, które osobiście odebrał.

„Żołnierze kosmosu" (1997), 129', Imperial Entertainment, 39,50 zł
Ziemianie kontra oślizgłe robale. Film najpierw zmiażdżony przez recenzentów za treści faszystowskie po latach wydał im się pamfletem na imperialistyczne zapędy Ameryki. (SOL)

muzyka

„Świadek koronny", EMI, CD1: 73'10, CD2: 50'47, 35 zł
Soundtrack filmu promowanego piorunującym hasłem „Miłość silniejsza niż mafia". W muzyce dramatów mniej, za to więcej absurdów. Dwupłytowy zestaw – składanka z przebojami plus ścieżka właściwa. Pierwsza część ułożona według niejasnego klucza: Republika, Roxy Music i Dandy Warhols obok kuriozów pokroju Sweet Noise i Agnieszki Chylińskiej. Druga – typowa i mało konkretna. Uwaga: Małaszyński śpiewa. Niestety. (AK)

Kasabian „Empire", Sony BMG, 39'24, 44,50 zł
Raz: polska publiczność dostaje tę płytę z potężnym opóźnieniem. Dwa: wbrew temu, co twierdzi brytyjska prasa, nie warto było czekać. Druga płyta pyskatych angielskich chłopców przynosi tyle rozczarowań, ile było mocnych refrenów na ich debiucie. Rodzime media okrzyknęły ich swego czasu odkryciem tanecznego, transowego rock and rolla. Kasabian niestety nie poszli tym tropem. „Empire" to więcej rockowych gitar, mniej narkotycznego transu. Teksty banalne. Całość męcząca, choć zdarzają się przebłyski. (AK)

PEANUTS © UNITED FEATURE SYNDICATE INC.

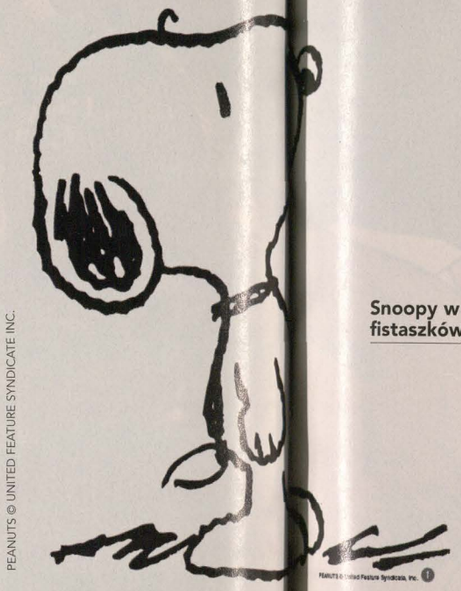

Snoopy w świecie fistaszków

Charles M. Schulz, „Snoopy i sprawy życiowe", Nasza Księgarnia, 128 stron, 20 zł
Charles M. Schulz, „Snoopy i zawsze stylu", Nasza Księgarnia, 104 strony, 20 zł
Snoopy, filozofujący pies, w PRL symbol lepszego świata – wreszcie oficjalnie (ukazywał się w drugim obiegu) po polsku! Snoopy jęczybuła mówiący: „Mam świetny pomysł na powieść, ale wszystkie dobre tytuły zostały już wykorzystane", co raczej Woody Allen niż Chuck Norris. Ponoć pieskie książki Schulza interpretowano jako dzieła filozoficzne i psychologiczne. Co nie przeszkadza w ich niezobowiązującym czytaniu. Kto wie, może będzie okazja, by skorzystać z cennych rad typu: „Nigdy nie ucinaj sobie drzemki w butach do golfa, kiedy wieje wiatr!". (AWH)

Frank Sinatra „Songs From The Heart", Capitol, 61'39, 64 zł
Walentynkowa kompilacja co się zowie. Częściowo honorująca obecność Franka Sinatry w wytwórni Capitol. Wybrane piosenki pochodzą głównie z drugiej połowy lat 50. Wszystkie pomogły Sinatrze podnieść się po nieudanej współpracy z Columbią – firma nie przedłużyła z nim kontraktu, podobnie opiekująca się Sinatrą agencja artystyczna, ale Capitol przygarnął osieroconego wokalistę, by znów wprowadzić go na listy przebojów. Elegancko, romantycznie i retro. Klasa. (AK)

Josef K „Entomology", Domino, 65'31, 67 zł
Wreszcie dostępna w Polsce kompilacja prezentująca dokonania jednego z najważniejszych zespołów szkockiej alternatywy wczesnych lat 80. Działali krótko, ale nie bez konsekwencji, bo echa ich twórczości słychać dziś w piosenkach noworockowych zespołów krzyżujących klasykę postpunku z dyskotekowymi rytmami – z Franz Ferdinand na czele. „Entomology" to najważniejsze utwory wymieszane z tymi dostępnymi trudniej. Warto. (AK)

książki

Rafał Dębski, „Czarny Pergamin", Fabryka Słów, 400 stron, 27,99 zł
Autor nałożył fantastyczną maskę na strukturę historycznej powieści przygodowej w stylu Waltera Scotta. Tytułowy czarny pergamin strąca ludzi w niebyt lub nakłada im korony, więc skupia uwagę możnych i maluczkich. Ich intrygi, pościgi i bitwy spowalnia, niestety, statyczny język autora. Mimo wszystko warto zajrzeć. (ŁO)

Antonina Fraser, „Maria Antonina. Podróż przez życie", Twój Styl, 656 stron, 35 zł
Podobno najsłynniejszą królową Francji na szafot zaprowadziła „piekarska" uwaga skierowana do ludu: „Jeśli nie mają chleba, niech jedzą ciastka". Bardziej znana jest śmierć Marii Antoniny niż jej życie, ale ta biografia (plus film Sofii Coppoli) może to naprawić. Warto dowiedzieć się więcej o największej „trendsetterce" XVIII wieku, Pani Modnej i Madame Deficyt! (ISZ)

WSZYSTKIE CENY PRODUKTÓW PODAJEMY ZA SKLEPEM INTERNETOWYM MERLIN.PL

listy bestsellerów

PRZEBOJE — boxoffice.pl — KINO

1. **„Ryś"**, reż. Stanisław Tym, **widzów**: 395 658 (w sumie: 398 004), Forum Film
2. **„Świadek koronny"**, reż. Jarosław Sypniewski, **widzów**: 282 934 (w sumie: 685 869), ITI Cinema
3. **„Dlaczego nie!"**, reż. Ryszard Zatorski, **widzów**: 180 356 (w sumie: 992 136), Interfilm
4. **„Noc w muzeum"**, reż. Shawn Levy, **widzów**: 55 944 (w sumie: 321 814), CinePix
5. **„Pachnidło"**, reż. Tom Tykwer, **widzów:** 38 106 (w sumie: 432 054), Gutek/Maxfilm

Widownia kinowa w okresie 9–15.02.2007 – Boxoffice.pl specjalnie dla „Przekroju"

BESTSELLERY — merlin.pl — GRY

1. **„The Sims – Historie z życia wzięte"**, Maxis
2. **„Civilization III – Złota edycja"**, Take 2
3. **„The Sims 2: Cztery pory roku"**, Electronic Arts
4. **„CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas – Mroczne motywy"**, UbiSoft
5. **„Europa Universalis III"**, Paradox
6. **„Extra Klasyka Next: Morrowind Złota Edycja"**, Bethesda Softworks
7. **„The Sims 2: Zwierzaki"**, Maxis
8. **„Zoo-mania: Zoo Tycoon. Podwodny świat"**, Microsoft
9. **„Call Of Duty Deluxe Edition PL"**, Activision
10. **„Extra Klasyka Next: Colin McRae Rally 04"**, Codemasters

Tygodniowe zestawienie sprzedaży gier za okres 12–18.02.2007 według danych sklepu internetowego www.merlin.pl

BESTSELLERY — PŁYTY

1. **Nelly Furtado „Loose"**, Geffen/Universal Music PL
2. **Norah Jones „Not Too Late"**, EMI/EMI Music PL
3. **Różni wykonawcy „RMF FM Najlepsza muzyka 2007"**, Izabelin/Universal Music PL
4. **Us5 „In Control"**, Universal/Universal Music PL
5. **Zbigniew Książek, Piotr Rubik „Psałterz wrześniowy"**, Magic Records/Universal Music PL
6. **Muzyka filmowa „Dlaczego nie!"**, Izabelin/Universal Music PL
7. **Ania „Kilka historii na ten sam temat"**, Sony BMG Music PL
8. **Różni wykonawcy „Radio Zet – Red Wine"**, Pomaton/EMI Music PL
9. **Piotr Rubik „Rubikon"**, Magic Records/Universal Music PL
10. **Marek Grechuta „Złota kolekcja – Dni, których nie znamy"**, Pomaton/EMI Music PL

Lista OLiS – sprzedaż w okresie 12–18.02.2007

OLiS — OFICJALNA LISTA SPRZEDAŻY — ZPAV

Lista OLiS przygotowywana jest na zlecenie ZPAV przez Instytut Pentor

ŻYCIE z „Przekrojem"

DZIENNIKARZE „PRZEKROJU" KOMENTUJĄ WYDARZENIA — TOK FM — czwartek, po 15.00 Blog FM

DZIENNIKARZE „PRZEKROJU" KOMENTUJĄ WYDARZENIA NAUKOWE, KULTURALNE I TEMATY SPOŁECZNE — Trójka Polskie Radio — wybrane czwartki w Klubie Trójki, godz. 21.00 — bis Polskie Radio — czwartek Popołudnik, godz. 15.00

„PRZEKRÓJ" W SIECI: najlepsze tematy z „Przekroju" do czytania i dyskusji co tydzień — onet.pl — wp.pl

„PRZEKRÓJ" w TV TALK-SHOW PIOTRA NAJSZTUBA I JACKA ŻAKOWSKIEGO — tvn — środa TOK2SZOK, godz. 21.30

Bimber w cieniu samolotu

Fragment najnowszej powieści **MIROSŁAWA M. BUJKI** „Czerwony byk", która właśnie trafiła do księgarń

Darrell z przyjemnością postawił stopy na ziemi, która jak zwykle po długim przebywaniu w powietrzu wydała mu się bardzo twarda. Wyszedł spod kadłuba i z irytacją spojrzał na ostrzeżenie wymalowane czerwoną farbą na pokrywie luku: „Nie palić w promieniu 100 stóp". „Szkoda – pomyślał – że japońska obrona przeciwlotnicza nie może tego przeczytać". Wsadził camele do kieszeni spodni i starannie ulokował mundurową furażerkę na głowie. Przesunął kaburę kolta na brzuch i sprawdził, czy zatrzask paseczka zabezpieczającego pistolet w pochwie lekko się odpina. Był zwolennikiem świadomego działania. Od czasów, gdy regularnie ćwiczył dżiu-dżitsu, pozbył się w relacjach z ludźmi pochopności i gwałtowności. Koreańczyk prowadzący małe dojo*, który był jego pierwszym mistrzem, mówił mu często: „Nie spiesz się. Tylko bądź gotów. Trzeba reagować spokojnie, ale w dobrym momencie. I zawsze porządnie wyglądać. To robi dobre wrażenie. I nie napinaj się niepotrzebnie. Oddychaj". Oddychał więc, patrząc spokojnie, jak rosyjscy żołnierze wyskakują z samochodów, i nie zrobił ani pół kroku w ich stronę. Postanowił nie oddalać się od samolotu. W końcu RAMP TRAMP to było terytorium Stanów Zjednoczonych, niezależnie od tego, gdzie wylądował. W kilka chwil Rosjanie otoczyli go, ale nie wyglądało to groźnie. Pistolety maszynowe mieli zawieszone na piersiach lub na ramionach. Wydawało mu się, że pachną czymś dzikim, egzotycznym i trochę kwaśnym, ale był to raczej zapach spalonej słońcem, kamienistej i zakurzonej ziemi. Przypatrywał się im z ciekawością, a oni gapili się na niego tak zachłannie, jakby przed chwilą spadł z Marsa. Uczono go zauważać szczegóły, więc rejestrował wszystko po kolei: spłowiałą barwę bluz w kolorze khaki, pozbawionych kołnierzyka i zapinanych na kilka guziczków pod samą szyją, workowaty krój brunatnych bryczesów wpuszczonych w cholewy butów, które w Stanach uznano by za stosowne do konnej jazdy. Mimo upału wszyscy byli w głębokich, poobijanych z szarej farby hełmach. Wszyscy byli opaleni i starannie ogoleni, ale wielu z nich w rozdziawionych z zachwytu gębach brakowało uzębienia. Zauważył też, że nie dbają o dłonie i nie czyszczą paznokci, podobnie jak cholew swoich nieprawdopodobnych butów. Oni też rejestrowali zachłannie nieznany im widok. Stał wśród nich człowiek sprawiający ciepłe i sympatyczne wrażenie. Niewysoki, krępy i silnie zbudowany, o miłej, nieco dziecinnej twarzy i krótko przystrzyżonych, lekko już srebrzących się włosach. Nigdy nie widzieli tak dobrze skrojonego i dopasowanego munduru, a przecież był to zwykły roboczy komplet. Beżowokremowa koszula z patkami na dystynkcje. Spod rozpiętego swobodnie kołnierzyka wyglądała schludna, biała bawełniana koszulka. Spodnie wpuszczone w wysokie lotnicze buty z miękką, sznurowaną cholewką z żółtej skóry były o kilka tonów ciemniejsze. Całość wieńczyła zgrabna furażerka z dwiema srebrnymi belkami. Podziwiali wspaniale wyprawioną skórę pasa i kabury oraz imponujący liczbą cyferblatów i pokręteł zegarek firmy Constantin i Vacheron, prezent od żony. W pewnej chwili odniósł nieodparte wrażenie, że najchętniej by mu ten zegarek zabrali.

Rys. MAREK SIEŃCZYK

Ponieważ nikt się nie odzywał, uznał, że jednak do niego należeć powinien pierwszy ruch. Zsunął więc obcasy, przyłożył dłoń do czoła i salutując, wyrecytował:

– Kapitan Harold Darrell. Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Jestem dowódcą tego samolotu. Załoga czeka w środku. Czy ktoś mówi tu po angielsku? – Opuścił dłoń i czekał na reakcję Rosjan. Przez chwilę gadali w swoim języku wszyscy naraz. Ale nic z tego nie rozumiał. Sytuacja była patowa, na szczęście podjechał spóźniony, kolejny willys i odsuwając czerwonoarmistów na boki, podszedł ku niemu jeszcze jeden tubylec. Ten nie nosił bryczesów i wysokich butów. Ubrany był całkiem zwyczajnie, pomijając mundurową kurtkę bez klap, a jedynie ze śmiesznym kołnierzykiem w kształcie stójki. Na głowie nie miał hełmu, tylko czapkę, której denko było rozległe jak pokład lotniskowca, i był bez broni. Nie brakowało mu zębów, ale szeroki, serdeczny uśmiech, który wciągnął na swoją suchą i kostyczną twarz, odsłaniał kilka złotych protez. Na pagonach bluzy miał imponujące dystynkcje i Harold w lot pojął, że nowo przybyły jest tu najstarszy rangą. Postanowił więc bez zwłoki powtórzyć prezentację. Ten nowy także stanął na baczność i w odpowiedzi przyłożył naprężoną dłoń do daszka czapki. Oficjalnym tonem powiedział coś, z czego Darrell wyłowił tylko „lejtnant" i „Myszkin". To pierwsze brzmiało znajomo i Darrell domyślił się, że ma przed sobą porucznika, to drugie natychmiast przywołało skojarzenia z „Idiotą" Dostojewskiego, którego jako dwudziestolatek namiętnie czytywał. Przypomniał mu się nawet stosowny do sytuacji cytat z tej sceny, w której napastliwy siostrzeniec Liebiediewa podejrzliwie krytykuje Myszkina: „Książę coś nie za mocny w arytmetyce albo może za mocny, chociaż chce wyglądać jak prostaczek"**.

Rosjanin, przedstawiwszy się, pokazał suchym palcem na rozpartą nad nimi superfortecę i spytał całkiem już bez sensu:

– Eto wasz?

Harold ledwo domyślał się istoty pytania, ale bez zahamowań, wskazując na wymalowany na dziobie napis nad malowidłem przedstawiającym niechlujnego włóczęgę gotującego sobie coś w kociołku, wyraźnie wyrecytował:

– RAMP TRAMP – I dla pewności, że zostanie dobrze zrozumiany, wymownie pokiwał głową. Rosjanin najwidoczniej uznał RAMPA TRAMPA za coś w rodzaju sowieckich deklaracji w stylu „Za Stalina" albo „Teatr Mały dla frontu", więc też aprobująco pokiwał głową. Tak gorliwie, że czapka opadła mu na oczy. Wszyscy, łącznie z lejtnantem, zaczęli rechotać i Darrell uznał, smętnie spojrzawszy na ostrzegawczy czerwony napis ze stoma stopami, że najwyższy czas otworzyć camele. Podziałało. Czerwonoarmiści jak jeden mąż przesunęli swoje groteskowe, talerzowe automaty na plecy i wyciągnęli ręce w stronę zapraszająco otwartej paczki: w kilkanaście sekund była pusta, choć Darrell dałby głowę, że Rosjan nie było dwudziestu. Najwidoczniej kilku wzięło przez pomyłkę drugiego papierosa dla kolegi. Wsadził pusty kartonik do kieszeni i z satysfakcją patrzył, jak delektują się smacznym dymem. Wziął Myszkina pod ramię i wyczuwając żylaste i muskularne ciało, zmusił go delikatnie, by znów popatrzył na samolot. Myszkin nie miał nic przeciwko temu. Stał w postawie pełnej grzecznego oczekiwania, wydmuchując elegancko strugi dymu prosto w twarz Amerykanina. Darrell desperacko machnął rękami, postanawiając odegrać to, czego nie mógł powiedzieć. Myszkin obserwował go uprzejmie i kiwał potakująco głową, gdy Darrell pokazywał pantomimicznie nalot na stalownię i uderzenie japońskiego pocisku. Wcielił się nawet w japońskiego artylerzystę, palcami odciągając kąciki oczu i wykrzywiając w małpie grymasy twarz na tyle udatnie, że czerwonoarmiści zaczęli mu bić brawo. Zakończywszy pantomimę, w której był działem, obsługą, wybuchającym pociskiem, samolotem i sobą samym sprzed kilku godzin, żeby porucznik mógł to lepiej zrozumieć, zaciągnął go pod czwórkę i pokazywał nastroszone łopaty hamiltona i smugi brudnego oleju na gondoli. Jego dłonie wytrenowane w chwytaniu, parowaniu i zadawaniu ciosów wymownie demonstrowały opór powietrza na śmigle i trudności w utrzymaniu maszyny na kursie. Wreszcie, gdy wyczerpał cały zapas narracyjnych gestów, ustawił porucznika naprzeciw siebie i stukając się w piersi między kieszeniami koszuli, powiedział wyraźnie

i głośno: „Darrell". Potem stuknął w kościsty tors lejtnanta i powiedział: „Myszkin". Na koniec chwycił dłoń Rosjanina i serdecznie, kilkakrotnie nią potrząsnął, mówiąc:

– Darrell, Myszkin, przyjaciele.

Myszkin podchwycił deklarację i potrząsając entuzjastycznie prawicą Amerykanina, powiedział zupełnie poprawnie:

– Przyjaciele. – I jakby komunikował rzecz niezwykle doniosłą, powtórzył kilkakrotnie swoim ludziom słowo, którego się właśnie nauczył. Nie omieszkał przy tym za każdym razem energicznie potrząsać dłonią i przy okazji całym Darrellem. Wreszcie, ku zdumieniu Harolda, chwycił go w objęcia i ucałował w policzek. Potem Myszkin poszeptał krótko z którymś z grenadierów, a ten wrócił po chwili z czerwono-perłową harmonią i bańką – zupełnie taką, w jakiej przewozi się świeże mleko. Tyle że nieco pordzewiałą. Po chwili pod zdumioną superfortecą zagrzmiała trzyrzędowa guzikówka, a Darrell musiał przyznać w duchu, że obsługujący ją czerwonoarmista jest mistrzem w swoim fachu. Muzyka była natarczywa i porywająca. Do tego stopnia, że Rosjanie zaczęli bez zachęty klaskać w dłonie, a dwóch, odłożywszy pepesze, puściło się w tany. Dreptali naprzeciw siebie z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wykonując szybkie, drobne i zapewne trudne technicznie pas. Myszkin patrzył na ów pospiesznie zorganizowany festyn z szerokim, pozłacanym uśmiechem i szukał aprobaty w twarzy swego nowego przyjaciela. Bańka okazała się pełna piekielnie mocnego, ale przyjemnie pachnącego fuzlem bimbru. Wobec niemożliwości konwersacji Darrellowi nie pozostawało nic innego, jak przyjąć poczęstunek w postaci nalanej po brzegi pokrywki od tej pordzewiałej trochę, ale jakże swojskiej bańki. Przejście od dramatycznych sekwencji smugowych pocisków z ławoczkinów do harmonii, alkoholu i tańca było tak niespodziewane i zaskakujące, że Darrell nie był zupełnie pewny swoich zmysłów. Z początku upił mały łyczek, ale ponieważ jego umysł tęsknił za alkoholem, z rozkoszą wyciągnął dobrą setkę bimbru z pokrywki i oblizał wargi. Napój, sądząc po zdrętwieniu języka, musiał mieć koło sześćdziesięciu procent. Rosjanom jego wyczyn najwyraźniej się spodobał. Tak bardzo, że Myszkin, zawładnąwszy na powrót pokrywką, nalał mu bimbru po brzegi. Darrell postanowił być dzielny i godnie reprezentować amerykańskie siły powietrzne, więc dokładnie na szerokość bioder, tak jak w sali ćwiczeń, ulokował stopy na powierzchni władywostockiego lotniska i bez pośpiechu opróżnił kolejną pokrywkę. Rosjanie zdawali się tylko na to czekać. Jak na zawołanie zjawiły się blaszane kubki i bańka napełniała je kolejno. Myszkin nie miał nic przeciwko temu. Darrellowi świat w jeden chwili wydał się bardzo zabawny i zachęcający. Sytuacja, w której się znalazł, z tragicznej przerodziła się niespodziewanie w komiczną i Harold zaczął klaskać w dłonie, starając się odnaleźć rytm rosyjskiego tańca. Pomyślał, że załoga nie może stracić przedstawienia. Klepnął więc porucznika w ramię i pokazując na przedni luk, spytał, zapominając, że Rosjanin ni w ząb nie rozumie jego języka:

– Poproszę kolegów? Niech też się napiją. – I nie czekając na zgodę Myszkina, wspiął się na kilka stopni drabinki i krzyknął w głąb samolotu: – Ej! Wiara! Chodźcie tu wszyscy na dół. Ale weźcie coś na zakąskę, bo jest gorzała. I jakieś szkło – dodał zapobiegliwie.

Nie minęło wiele czasu i załoga w komplecie wysypała się z TRAMPA. Nieśli ze sobą to, co zostało z zapasów. Czekoladę, suszone owoce, papierosy i konserwy. Darrell, ogarnąwszy wzrokiem ich zapał do integrowania się z nową rzeczywistością, ostrzegał:

– Ostrożnie, panowie. Ten bimber jest niebezpieczny.

Legenda wyglądał bardzo godnie na swoich lekko krzywych nogach. Myszkin, rozpoznając w nim kogoś niemal równie ważnego jak Harold, nalał mu z bańki jako pierwszemu. Fisher wypił z godnością i odchrząknął, oznajmiając Darrellowi:

– Znają się na pędzeniu. To jest cholernie dobre. Byłoby jeszcze lepsze, gdyby przedtem w tej bańce nie trzymali benzyny.

Myszkin, który był zapewne inteligentnym człowiekiem, odgadł aprobatę Amerykanina z jego twarzy i postawy i natychmiast postarał się o dolewkę. W pewnej chwili Darrell poczuł niepokój. Przypomniał sobie, jak zwykle w jego życiu kończyły się takie improwizowane, radosne pijaństwa, i postanowił podjąć stanowcze kroki. Ujął pod ramię Myszkina i starając się wymawiać wolno słowa, powiedział:

– Amerykański konsul.

Myszkin pokiwał głową w czapce przekrzywionej na bakier i potwierdził:

– Konsul.

Harold wskazał palcem na swoją pierś i wyrecytował:

– Chcę się widzieć z amerykańskim konsulem. Rozumiesz, Myszkin?

Lejtnant pokiwał radośnie głową jak pijany satyr i powtórzył mechanicznie: „Rozumiesz, Myszkin?". Nawet intonacja była prawidłowa i Darrell pomyślał, że Myszkin przy odrobinie wysiłku mógłby stać się prawdziwym poliglotą. Harold jednak chciał wiedzieć, że Rosjanin go zrozumiał. Pomyślał sobie, że musi znów uciec się do metody poglądowej. Wręczył więc najbliżej stojącemu czerwonoarmiście blaszany kubek z bimbrem i przyciskając łokcie do ciała, jak na defiladzie, zaczął ostentacyjnie maszerować w stronę hangarów. Recytował przy tym dobitnie:

– Idę na spotkanie z amerykańskim konsulem. Na spotkanie z konsulem! Słyszysz, Myszkin. Ty sukinsynu?

Nie uszedł daleko. Gdy tylko przekroczył granicę długiego o tej porze dnia cienia samolotu, Myszkin zakomenderował coś szczekliwie i dwóch grenadierów z automatami zdecydowanie zagrodziło drogę Amerykaninowi. Załoga z życzliwym zainteresowaniem patrzyła na występ dowódcy. Nie zdążyli jeszcze wypić tyle, co on. Legenda podbiegł i opiekuńczo, choć stanowczo, ujął Harolda pod ramię:

– Daj spokój. Bawmy się. To nie jest pora na dyplomatyczne rozstrzygnięcia. Jak będą chcieli, to sami nas zawiozą gdzie trzeba. Na razie pijmy.

Harold popatrzył na swego zastępcę z życzliwością człowieka wstawionego:

– Myślisz?

– Jasne. A kroki dyplomatyczne podejmiemy później. ■

* (JAP.) SALA ĆWICZEŃ, TAKŻE SZKOŁA SZTUK WALKI

** TŁUM. JUSTYNA GŁADYŚ

Rys. MAREK SIENCZYK

MIROSŁAW M. BUJKO, (ur. 1951) – muzykolog, doktor nauk humanistycznych. Szef Zakładu Komunikacji Społecznej w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia w Warszawie. Praktykuje iaido – tradycyjną sztukę japońskiego miecza (w roku 2006 uzyskał 2. dan) i wytwarza miecze tradycyjnymi technikami. Jako pisarz zadebiutował w 2003 roku napisaną 10 lat wcześniej „Księgą uczynków", którą Andrzej Drawicz – pierwszy czytelnik książki – nazwał »następnym tomem „Mistrza i Małgorzaty"« Bułhakowa. W 2005 roku opublikował drugą powieść, „Złoty pociąg", obecnie pracuje nad kolejną, zatytułowaną „Wyspy Szerszenia". „Złoty pociąg" ukaże się wkrótce w Niemczech i Brazylii, brazylijski wydawca pracuje także nad przekładem „Czerwonego Byka".

MIROSŁAW M. BUJKO „CZERWONY BYK", ILOŚĆ STRON: 480, PREMIERA: 15.02.2007, W.A.B., WARSZAWA

REKLAMA

Doskonała powieść sensacyjna z niebanalnym wątkiem miłosnym

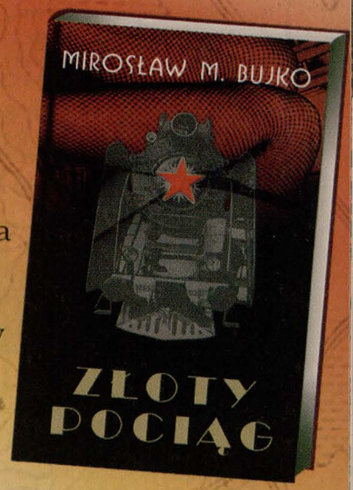

Rosja, rok 1918. Pociąg wyładowany 526 tonami złota Romanowów wyrusza w długą podróż przez Syberię. Akcja objęta jest przez bolszewików ścisłą tajemnicą, jednak agentom obcych wywiadów udaje się przeniknąć do załogi. O przejęciu carskiego złota marzą „biali", Brytyjczycy, Francuzi, Japończycy, Amerykanie i Żydzi.

Opowieść o największym plagiacie w historii lotnictwa

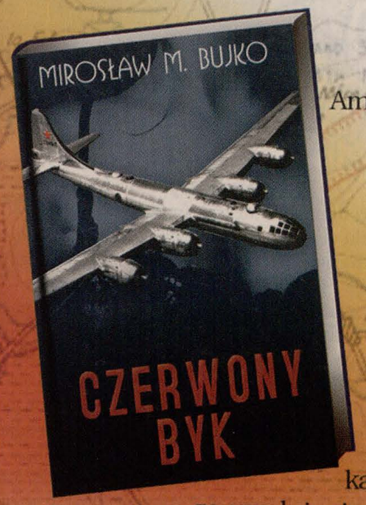

ZSRR, rok 1944. Amerykańska superforteca B-29 ląduje awaryjnie we Władywostoku. Rosjanie przyjmują lotników nad wyraz gościnnie, ale za nic nie chcą ich wypuścić... Tymczasem inżynier Tumiłow otrzymuje od Stalina rozkaz skopiowania B-29. Na współpracę z nim godzi się kapitan Darrell – w zamian za uwolnienie członków swojej załogi. Jego asystentką i tłumaczką zostaje piękna agentka, która prowadzi podwójną grę.

www.wab.com.pl

PATRONI MEDIALNI

PRZEKRÓJ · SKRZYDLATA POLSKA · MILITARIA · carpe noctem · QUIZ.pl · WP.PL

Bubloteka, czyli ekstremalny przegląd tygodnia

Zredagował główny technolog
KUBA WOJEWÓDZKI

Minus 1 – Prawie robi wielką różnicę

Nasz Wielki Roman miał w tym tygodniu swoje wielkie święto prawie jak wódz Korei Północnej. Podobno gdy 65 lat temu na świat przychodził Kim Dzong Il, jego nadejście zwiastowała podwójna tęcza nad górą Paektau. Koreańskie gazety donoszą też, że kwiaty rozkwitają, gdy Kim się do nich zbliża. We wtorek miały miejsce 36. urodziny Romka Giertycha. Z nieba spadały martwe ptaki, a uczniowie masowo spadali ze szkoły.

Minus 2 – 2:0 dla naszych

W kategorii rywalizacji męsko-damskiej Samoobrona jest naszym klubem pierwszoligowym. Częste gole, faule, gra ciałem i przytulanki na ławce rezerwowych. O figlach w szatni nie wspomnimy. Tym razem objawił się bardzo skuteczny nowy napastnik – Staszek Kaczoruk. Stacho jest reprezentantem klubu na USA i Kanadę. A że lubi dubeltową działalność, to żony też ma dwie. Jedną w Ameryce, drugą w Polsce. Po molestowaniu i bigamii czekamy na wątek sado-maso.

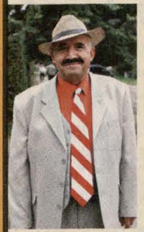

Minus 3 – Spodnie bojówki

W raporcie o zbrodniczej działalności WSI mającej na celu obalenie wszystkiego, co można obalić, znalazły się informacje naprawdę szokujące. W rozdziale „inne nieprawidłowości w funkcjonowaniu WSI" jest fragment donosu na pułkownika, który notorycznie się upija, a następnie załatwia w spodnie. Na szczęście dzięki prezydentowi poznaliśmy tę zbrodniczą działalność wroga ludu. Prawda zatriumfowała. W tym przypadku najrzadszy jej typ. Gówno prawda.

Minus 4 – Zero tolerancji dla emigracji

Długie ręce Romana Giertycha upomniały się o polskie dzieci uczące się za granicą. Pan minister pragnie utworzyć system sobotnich szkół w Wielkiej Brytanii, Irlandii i innych krajach UE, gdzie przebywają uciekinierzy z Polski, którzy zwiali między innymi przed takimi jak Romek. Cel jest taki, żeby dzieci mieszkające na stałe na obczyźnie zdawały polską maturę za karę, że ich rodzice wzgardzili IV RP. Europejska edukacja? Nie.
To się nazywa międzynarodowy terroryzm.

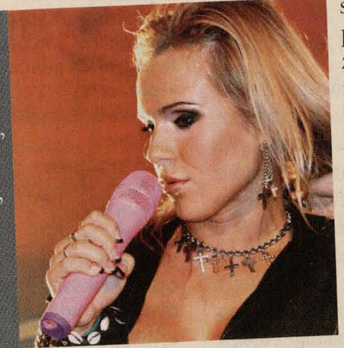

Wielkie Zero – Nie rzucim ziemi...

Pani Doda Elektroda rzuciła Radka Majdana. Stało się to tak nagle, że z wrażenia premier Jarek zapomniał wpisać do rejestru korzyści, że kieruje radami nadzorczymi dwóch fundacji. Aż strach pomyśleć, co wypłynie na wierzch, jak Foremniak rzuci Maseraka.

Minus 5 – Źródło prawdy

Meksyk (nawet Nowy Meksyk) to niby dziki kraj, fasola, sombrera, poncha i sporo podchmielonych gringo. A jednak nie – znów błysnęli wysoką kulturą i cywilizacyjnym obyciem. Wymyślili gadające pisuary. Podczas oddawania pisuarowi tego, co mu należne, on nawija w te słowa: „Hej, gringo! Wypiłeś kilka drinków, to lepiej zadzwoń po taksówkę albo trzeźwego kumpla...". Czyli generalnie ty go olewasz, a on marudzi. Jak w domu. Departament transportu zamówił 500 sztuk takich elokwentnych porcelanowych doradców. U nas w parlamencie też by się przydali. Kilku posłów wreszcie znalazłoby rozmówców na swoim poziomie.

Minus 6 – Włodek trzymający fason

Mieliśmy już „Powrót Jedi", „Powrót taty", „Powrót człowieka zwanego Koniem" (to nawet blisko), „Powrót do przyszłości" czy „Powrót króla" (to już bardzo blisko). A teraz mamy powrót Włodka Czarzastego. Lider grupy, której wydawało się, że coś trzyma, postanowił powrócić do wielkiej polityki. Jak przystało na kumpla filmowca Rywina, Włodi chce „zacząć pisać scenariusz współczesności i znaleźć sobie w niej rolę i miejsce". Czas wyczuł znakomicie, bo właśnie Mirek Pęczak zwolnił pokój przy ulicy Smutnej w Łodzi.

Minus 7 – O mój borze!

A teraz news o trudach pracy ludzi pilnujących, aby inni źli ludzie nie ukradli nam rządu. 25 funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu trenowało swą kondycję na obozie w Krynicy. Jak donosi prasa, najczęściej w restauracji Adria, gdzie ćwiczyli gry taktyczne, rzuty oraz pełzanie bojowe pod ostrzałem. Po wyjściu z lokalu trenowali chodzenie slalomem, wężykiem oraz zygzakiem. Mimo 45-procentowej przewagi wroga twierdza Adria nie padła przez dwa tygodnie.

Minus 8 – Dur brzuszny

Program całego narodu pod tytułem „zero tolerancji" bije rekordy powodzenia. Każdy chce do niego coś dorzucić, aby wykarczować resztki stringów z oświaty. Posłanka PiS Maria Nowak zgłosiła ostatnio projekt, aby ustawowo zapisać schludny strój nauczyciela. Maria przeprowadziła żmudne badania i analizy, z których wynika jasno, że „nauczycielki czasami przychodzą do szkoły z gołymi brzuchami". A stąd, jak powszechnie wiadomo, już blisko do tańca brzucha, Al-Kaidy czy innego Hezbollahu. A ich nie chcemy, bo rząd IV RP nie lubi konkurencji.

Minus 9 – Bić albo nie bić

Do wesołego procesu doszło ostatnio w stolicy. Wesoły staruszek lat 61 dorabiający sobie do skromnej renty statystowaniem w filmach porno pozwał swego producenta za zbytnią popularność. Leszek Ś., magister fizyki stanu wolnego, co i raz lubił sobie stanąć na planie i poimprowizować nieco. Jego filmografia jest obfita, bo i warunki Lecha ponoć takowe. Grał i w „Analnych krasnalach", i „Brzydkiej podniecie 2" oraz znany był z tego, że lubił bić. Bił seksualny rekord Polski, a potem rekord świata. Jego emploi zawsze ubogacał kaptur, maska tudzież torba reklamowa z folii nasunięta na spracowane oblicze. Niestety, raz wdzianka twarzowego zapomniał i teraz bije się z myślami, co począć z nag(ł)ą sławą.

Minus 10 – W sieci nienormalności

No i wyszło zboczone szydło z worka perwersji. Internauci swymi lepkimi rączkami zmajstrowali ranking pocałunków filmowych. Myli się ten, kto myśli, że wygrała Marusia z Jankiem, co miał czołg i długą lufę. Nie wygrała też Ingrid Bergman, co całowała Humphreya na lotnisku w Casablance tak, że aż Niemcy wojnę przerżnęli. Wygrali teksascy homopastuszkowie z „Tajemnicy Brokeback Mountain", co to się lubili nawzajem dosiadać. Wojtek Wierzejski już podobno chce wprowadzić do konstytucji zakaz Internetu, wizy dla kowbojów i delegalizację Johna Wayne'a.

raczej **RACZKOWSKI**

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

EDIPRESSE POLSKA

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES WYDAWNICTWA I DYREKTOR WYDAWNICZY „PRZEKROJU":** Ewa Redel-Bydłowska **DYREKTOR FINANSOWY:** Paweł Satkowski **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Alicja Modzelewska **ZASTĘPCA DYREKTORA ZARZĄDZAJĄCEGO:** Izabela Bochenek **DYREKTORZY ARTYSTYCZNI WYDAWNICTWA:** Elżbieta Strzałecka-Żochowska i Bogdan Żochowski **DYREKTOR KREATYWNY:** Piotr Najsztub **PUBLIC RELATIONS:** Marcin Fedisz **DYREKTOR BIURA REKLAMY:** Agnieszka Ziemiańska **Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY:** Małgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz **PROMOCJA „PRZEKROJU"** promocja@przekroj.pl, Iwona Zabielska-Stadnik – dyrektor, tel. 584 25 22; Anna Wyszkowska – Product Manager, tel. 584 25 74; Magda Kotowska, tel. 584 22 96; Anna Romotowska, tel. 584 22 96 **DZIAŁ REKLAMY „PRZEKROJU":** reklama@przekroj.pl, Małgorzata Golba – dyrektor, Artur Dudek, Agnieszka Marcisz -172, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594, **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Grzegorz Barej **DYREKTOR PRODUKCJI:** Danuta Kamińska **KIEROWNIK PRZYGOTOWALNI:** Paweł Szpygiel **DRUK:** Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin **PRENUMERATA WYDAWNICZA** – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.–pt., godz. 8–16). **Dodatkowe informacje i reklamacje** TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.–PT., GODZ. 9–17). PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL **PRZEZ POCZTĘ** – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU **PRZEZ RUCH SA** – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 25 33 FAKS (0-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL. E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

REDAKTOR NACZELNY: Mariusz Ziomecki (mariusz.ziomecki@przekroj.pl) **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Jacek Kowalczyk (jacek.kowalczyk@przekroj.pl) **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska (magda.gedziorowska@przekroj.pl), Magda Papuzińska (magda.papuzinska@przekroj.pl), Maria Świetlik (zastępca) **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myśluk (anna.mysluk@przekroj.pl) **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska, tel. 584 25 25 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Marcin Sendecki (szef), Bartek Chaciński, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Wojciech Mazowiecki (szef), Sylwia Czubkowska, Juliusz Ćwieluch, Joanna Gorzelińska, Agnieszka Jędrzejczak, Cezary Łazarewicz, Milena Rachid Chehab, Aleksandra Pawlicka, Grzegorz Rzeczkowski, Krzysztof Szczepaniak, Anna Szulc, Paweł Wieczorek **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Wawrzyniec Smoczyński (szef), Marcel Andino-Velez, Agnieszka Chądzyńska, Joanna Woźniczko, Łukasz Wójcik; stale współpracują: Jonatan Cook (Jerozolima), Piotr Kowalczuk (Rzym), Brendan O'Neill (Londyn) **NAUKA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Piotr Kossobudzki, Piotr Stanisławski **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński (jacek.zieminski@przekroj.pl) **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Beata Ciuruś, Piotr Gidlewski, Maria Klich, Adam Szymański, Krzysztof Żakrzewski **FOTOEDYCJA:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Jakub Dąbrowski, Bogdan Krężel, Olga Pilśniak, Marek Szczepański **KOREKTA:** Sylwia Raczyńska (szef), Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Wanda Lacrampe (szef), tel. 584 25 51, Dominika Bok, tel. 584 25 61 **OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

JOLKA NR 9

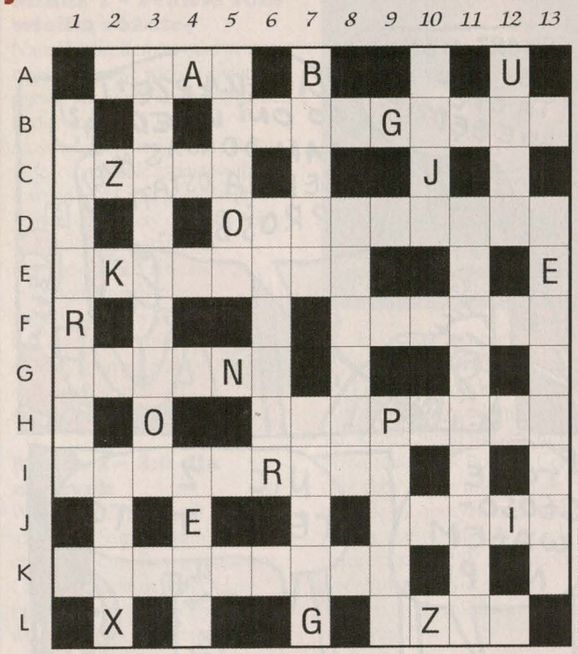

AUTOR: JERZY BUCZEK

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

L4 _ C4 _ B12 _ E6 _ A10 _ G13 _ I1 _ F9 _ / K9 _ D3 _ J11 _ I8 _ I13 _ / F10 _ E5 _ G4 _ / D1 _ B13 _ D9 _ E11 _ / H8 _ A2 _ B1 _ K6 _ J10 _ C7 _ K1 _ G2 _ .

WYRAZY 9-LITEROWE:

• ZEJŚCIE PO ZEJŚCIU • KULTURALNE CZOŁO • BAZYLISZKOWE 180 X 70 X 150 • UŁÓŻ I RUSZ • TCHNIE RZEŚKOŚĆ W PIERZEJE • O PACYFIKU WYKUŁ WSIO

WYRAZY 8-LITEROWE:

• E951 – SŁODKA SZTUCZKA • STAROCIE W GABLOCIE • BIERZE NA TAPET CECHY POCIECHY • DO JEZIORAKA LEPSZY OD FRAKA

WYRAZY 6-LITEROWE:

• SŁODKI KRYSZTAŁ • TESTAROSSA HELIOSA • SZMARAGDOWA PORZECZKA • KRES ICH GROM POŁOŻYŁ GROM

WYRAZY 5-LITEROWE:

• PEJS GÓR • GRZĄSKI SPOD GĄSKI • SŁOWO SŁOWNYCH • ZBIORNIK Z KUCZKĄ • LASSO BEZ PĘTLI • ORSZAK NA PŁOZACH

WYRAZY 4-LITEROWE:

• JOE NA TROPIE • MOŻNA JE PODAĆ Z KOLANKAMI • KOMÓRKA KUKUŁKI • EKSJUGOL, CO MA RS • TRZY O I PO BAKCYLU • SZCZEBELKI Z MAJTKAMI

KAKURO NR 9

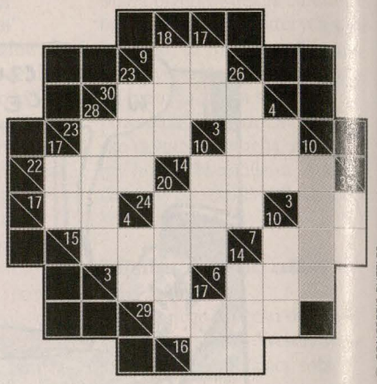

© CONCEPTIS PUZZLES

Uzupełnij diagram, wpisując w puste kratki cyfry od 1 do 9, tak aby w każdym poziomym wierszu i w każdej pionowej kolumnie suma wpisanych cyfr była równa liczbie w czarnej kratce. Odpowiedzią są cztery cyfry w zaznaczonej kolumnie.

REBUS NR 9

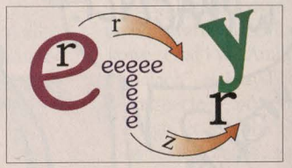

AUTOR: JERZY BUCZEK

Odgadnij hasło przedstawione na rysunku.

ROZWIĄZANIA Z NR. 7

JOLKA: WRÓBLOWI KAZANO ZOSTAĆ, SŁOWIK Z GŁOSEM ODPĘDZONY (z Adama Naruszewicza).

Rzędami: as, smak, om, żubrowół, lido, forteca, surowość, suma, ubaw, Franklin, żeglarz, owca, dziewczę, si, płeć, oś.
Kolumnami: su, luby, Ra, figowiec, automobilizm, Amor, krzesło, samogon, wieś, półtorarocze, ściskacz, ul, imię, An.

KRZYŻÓWKA: PARADA SERC
Poziomo: 1.oko 3.USA 5.pasjans 8.szefowa 10.tornado 13.lektura 15.sadza 16.adresat 18.bambosz 20.rzęsa 21.płyta 22.niebo 23.bezpiecznik 27.telewizja 29.afekt
Pionowo: 2.kujon 4.sufit 6.akord 7.siostra 8.szlaban 9.wirus 11.abstynent 12.zdjęcie 14.kamienica 17.ropa 19.owoc 24.palma 25.zrzut 28.wieko

KAKURO: 21739

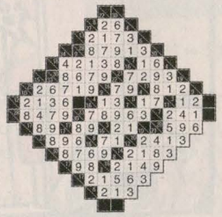

KRZYŻÓWKA NR 9

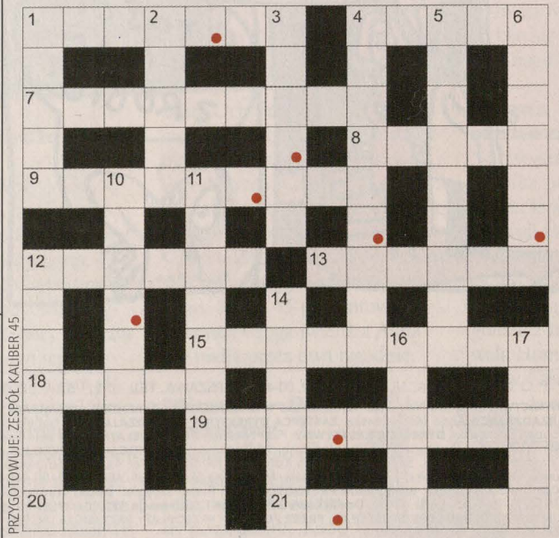

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:
1. CZŁOWIEK Z GLINY
4. PIWNICZKA W POKOJU
7. CZŁOWIEK Z ŻELAZA
8. BIJE DO KOŃCA
9. PRZECIWNIK PANA KLEKSA
12. NIE OLEWA
13. ULUBIONA REAKCJA
15. REPUBLIKANIN
18. BÓJKA WOŁOWA
19. BRAK SŁÓW
20. KATAREK
21. WEJŚCIE DO KOŚCIOŁA

PIONOWO:
1. POWÓD W SĄDZIE
2. KAŻDA MATKA
3. SROGI W ROSJI
4. SROGI W ROSJI
5. ACH, JAK PRZYJEMNIE KOŁYSAĆ SIĘ WŚRÓD FAL
6. ŚWIĄTYNIA WIEDZY
10. ZSYP
11. MĘSKA PRZYTULANKA
12. SAMOTNY BIAŁY NIEDŹWIEDŹ
14. PĄCZKUJĄCY TŁUSZCZ
16. JEST COŚ NA NIEJ
17. ŚWIADECTWO MŁOTKA

LAUREACI Z NR. 5

JOLKA:
Ewelina Bartosik, Warszawa; Janina Bukowska, Bydgoszcz; Barbara Czernowicz, Gdańsk; Zofia Kalata, Łomianki; Adela Polaska, Węgrów.

KRZYŻÓWKA:
Elżbieta Chmielewska, Szczecin; Małgorzata Ciba, Dwikozy; Marek Konieczny, Świdwin; Janusz Wyjątek, Nowy Tomyśl; Urszula Zwolska, Siedlec Duży.

REBUS:
Urszula Bargiel, Będzin; Stanisław Komisaruk, Szprotawa; Paweł Krawczyk, Warszawa; Stanisława Kwiacińska, Kraków; Piotr Mosiężny, Turek.

KAKURO:
Maria Lapott, Wrocław; Anna Niepsuj, Lelów; Adela Szczepaniak, Ostrów Wielkopolski; Antoni Ziemba, Tychy; Urszula Zwolska, Siedlec Duży.

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em!
Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO JOLKI lub PRKK.HASLO KRZYZOWKI, lub PRKK.HASLO REBUSU, lub PRKK.4 CYFRY na numer **72606** (netto: 2 zł; brutto: 2,44 zł/SMS). Spośród czytelników, którzy do niedzieli 11 marca nadeślą prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), wyłonimy 20 zwycięzców, którzy otrzymają książkę Zsuzsy Bánk „Najgorętsze lato" (Czarne).

Nasz adres: „Przekrój", ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem: jolka 9/ krzyżówka 9/ rebus 9/kakuro 9

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

KONKURS SMS
do wygrania:
wycieczka na Majorkę
10 x 500 złotych
5 eleganckich walizek
5 biletów lotniczych
do Paryża!

Klimaty
jak z „Pachnidła"...

Biała Dama
do zdobycia... w 3 dni

...czyli dawka oszałamiającej adrenaliny

Sięgnij po miesięcznik „Podróże" i poczuj radość przygody. Przybliżymy Ci smaki, zapachy i klimaty najciekawszych miejsc świata. Dzięki praktycznym wskazówkom bez trudu zaplanujesz wymarzoną wyprawę. Wybierz się z nami w fantastyczną podróż.

Zamów prenumeratę
przez telefon: 022 590 55 55
lub internet:
klienci@murator.com.pl
www.podroze.pl

PODRÓŻE Wybierasz to, co lubisz

na czczo **IGORA ZALEWSKIEGO**

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

Nagle zrozumiałem, że osobowości wielkiego i małego ekranu zlewają mi się na podobieństwo pracowników budek z chińszczyzną: nie odróżniam ich

Deficyt mordziastych

Niestety, przekraczam granicę stetryczenia. Po czym to poznać? Po rozpoczynaniu zdania od „kiedyś". Właśnie złapałem się na tym, że coraz częściej mi się to przydarza. Kiedyś... była fajniejsza muzyka, lepsze filmy, bardziej ambitne programy w telewizji i gry na PlayStation 2. Z tym ostatnim chyba się zagalopowałem. Ale opery na pewno były lepsze.

Brr... Nie sądziłem, że i mnie to dopadnie. Jeszcze niedawno broniłem współczesności. Zwolenników Humphreya Bogarta przekonywałem, że jest bezpłciowym dupkiem w za małych butach, i zachęcałem do obejrzenia „Matriksa". Co mnie ostatecznie przekonało? Mordy. Nie w sensie, jaki nadał temu słowu premier Jarosław Kaczyński. Czyli nie masowe zabójstwa. Mordy w znaczeniu gęby. Ciekawe fizjonomie. Twarze ze skazą. A właściwie ich kompletny brak.

Oto bowiem zdałem sobie sprawę, że nie odróżniam polskich gwiazd filmu i telewizji. Przy okazji szumnie reklamowanych przebojów kinowych pod tytułem „Dlaczego nie!" oraz „Świadek koronny" zrozumiałem, że osobowości wielkiego i małego ekranu zlewają mi się na podobieństwo pracowników budek z chińszczyzną: za cholerę nie jestem w stanie ich od siebie odróżnić. Wszystko to przystojni, bezpłciowi kolesie (z krostowatym wyjątkiem Więckiewicza i łysiejącym wyjątkiem Szyca) albo piękne, bezpłciowe blondynki z rudym wyjątkiem Joanny Brodzik (tę odróżniam, a jakże). Acz zwracam uwagę, że rozpoczyna się chyba inwazja post- czy też neo-Brodzików. Podobnie jest w telewizji. Dominują w niej dwa rodzaje klonów: Tomasza Lisa oraz Roberta Ziemca, aczkolwiek podejrzewam, że już Ziemiec jest klonem kogoś wcześniejszego, tylko nie pamiętam kogo. W każdym razie budzący zaufanie spiker/prowadzący musi być albo niebieskookim blondynem, albo piwnookim brunetem o kształtnej, nijakiej twarzy. Takich jest teraz na pęczki. Jeśli ktoś szuka pracy w TVN24 albo TVP3, musi należeć do któregoś z dwóch podstawowych gatunków. Tyle ich na ekranie, że można wręcz odnieść wrażenie, iż gdzieś ich tam w lasach hodują, jak konie czystej krwi arabskiej w Janowie Podlaskim.

W polskiej telewizji i filmach brak jest mordziastych. Ludzi brzydkich, groteskowych, specyficznych, ale przez to oryginalnych i niepowtarzalnych. Dzisiaj do szkoły teatralnej ani do serialu nie załapałby się chyba ani Jan Kobuszewski, ani Wiesław Michnikowski, ani Ludwik Benoit, ani Wiesław Gołas, ani Jerzy Stuhr. Pięknisiem nie był ani Łomnicki (knypek), ani Olbrychski (rudy), ani Holoubek (odstające uszy!), ani Cybulski (końska szczęka). A jednak bez ich mord, odbiegających od klasycznego ideału, malarstwa włoskiego quattrocenta, a przede wszystkim amerykańskich telenowel nie byłoby polskiego kina, które kiedyś – przepraszam za to słowo – naprawdę było całkiem, całkiem.

Zatem żeby filmy i programy telewizyjne były bardziej zjadliwe niż obecnie, wystarczy sobie przyswoić myśl zawartą w „Shreku": uroda to nie wszystko, a brzydota może być fascynująca. Stąd moja prośba do producentów: wpuśćcie na duże i małe ekrany więcej brzydkich ludzi. Gwarantuję, że my będziemy mieli więcej frajdy, a wy – pieniędzy. ■

łżem i wobec **ROMANA KURKIEWICZA**

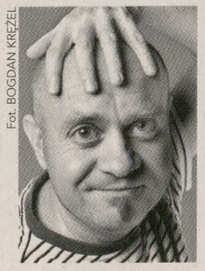

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

Może przydałaby się nam lekcja polityki historycznej z perspektywy Europy, a nie z ambony tradycyjnych wzruszeń, urazów, pretensji

Europa nauczycielką historii czy historia nauczycielką Europy?

Zadziwił mnie odpór, jaki natychmiast po upublicznieniu informacji o projekcie powstania wspólnego europejskiego podręcznika historii dał pomysłowi minister dziedzictwa narodowego. Wydaje się, że pomysł jest karkołomnie trudny, ale też z drugiej strony niezwykle pasjonujący i oferujący zupełnie nieprawdopodobne wyzwanie dla autorów (autora?). Mamy wspólną historię, ale różne wizje historii – miał stwierdzić minister Ujazdowski. I tu pełna zgoda. Podobnie zresztą jak w Polsce – mamy jedną wspólną historię, ale różne jej wizje. Podobnie jak w Warszawie czy Poznaniu – jedna historia nie istnieje. Nawet historii rodziny często nie da się opowiedzieć w sposób zadowalający jej wszystkich członków. Gdyby para małżeńska miała opisać wspólne życie – powstałyby pewnie dwie różne książki. Więc po cóż taki pomysł?

Podręcznikowy zapis, szkolarska oferta, zawsze jest wypośrodkowany, uproszczony. Ale wszak nie jesteśmy wciąż społecznością historyków. Historia jest tylko jednym z kształtujących nasze życie czynników, z rzadka możemy powiedzieć, że nauka historii jest tym najważniejszym z nich. Czego moglibyśmy więc oczekiwać od takiej książki? Chyba innego spojrzenia na nas samych, różnego od tego, czym się zasładzamy, pysznimy, a czego nie doceniamy, nie widzimy z bliska. Ryszard Kapuściński mówił, że inne kultury są ważne dla nas jako zwierciadło, w którym może się przejrzeć nasza kultura. To może miejmy się odwagę przejrzeć. Może bolesne fragmenty powinny zostać opisane z kilku punktów widzenia. Wikipedia wypracowała taki system kompromisów lub zaznaczania rozbieżności w przypadku kontrowersji. Może uda się ustalić bezsporne fakty (1 września 1939 Niemcy najechały na Polskę, 17 września wkroczyli Sowieci), liczby, daty i wielkości. A do tego dorzucić „wizję". Dlaczego tak się stało? Co kim kierowało, skąd się brało, dokąd wiodło? Może nam, Polakom, przydałaby się właśnie lekcja polityki historycznej z perspektywy Europy, a nie z ambony tradycyjnych wzruszeń, urazów, pretensji, może dobrze byłoby przeczytać o nas samych nieznane słowa zamiast tych z katalogu narodowego cierpienia i męczeństwa, wielkości, chwały. A może i udałoby się zobaczyć nasze zalety na nowo? Tak jak widzą je CI INNI, CI EUROPEJCZYCY.

Dlaczego najpopularniejsze książki o historii Polski napisał w ostatnich latach Norman Davies, Szkot z Oksfordu? Dlaczego film o strajku w stoczni w 1980 nakręcił Niemiec Schlöndorff? Dlaczego nie wziąć udziału w takim projekcie? Jeśli planuje się wprowadzenie matury z religii (katolickiej), to dlaczego nie można by zdawać z historii takiej, jaką ją dzisiaj może wypracować Europa? Jak mamy tworzyć niezwykły projekt wspólnej Europy przyszłości, jeśli nie bylibyśmy w stanie wziąć udziału w powstaniu jednej książki historycznej? Może oprócz zgody na dopłaty i dofinansowania honorowo byłoby się zgodzić na rozmowę o własnej historii widzianej przez sąsiadów? Poza tym może dowiedzilibyśmy się także więcej o tych pozostałych.

Zadziwia mnie tak szybkie dostrzeżenie trudności zamiast szansy na nowy gatunek rozmowy, rozmowy współczesnych o historii w imię budowania przyszłości. Nikt jedną książką nie unicestwi uprawiania przez Polaków historii, a niezgoda na taką współpracę nosi znamiona lękowe. Nie lękajcie się – padło ważne zdanie w najnowszej historii Polski. Ale kto o tym wie poza nami? A może mógłby się dowiedzieć? ■

A co na to DZIECI? rozmawiała Katarzyna Stoparczyk, dziennikarka radiowej Trójki

ZDROWA ŻYWNOŚĆ

Co to jest zdrowa żywność?
– To są owoce z morza?
– Nie! Z morza się nie jada ani nawet nie pija, bo jest słono.
– Ja nie jadam barwników. One tylko zapychają dziurki w organizmach. Nawet nie pomaga mieszanie palcem. To są tak zwane bakterie z coli i z McDonald's.
A co daje człowiekowi jedzenie mięsa?
– Pamięć! Bo moja babcia przeżyła aż jedną wojnę światową i mama stwierdziła, że my teraz se zrobimy kult babci.
– Jak się dużo zje mięsa, to jest się dzikim!
– Ludzie lubią świnie, ale jako wołowiny!
– Ale w psie i kocie nie ma mięsa do jedzenia!
Dlaczego?
– Bo nie można się zaprzyjaźniać z mięsem kota. Ale jest gorzej, kiedy mięso wejdzie do szczerbatej jedynki. Na szczerby pomagają owoce i warzywa, ale nie z morza, tylko z działki babki Tereski.
A kto to jest wegetarianin?
– Moja mama była weterankę: cztery lata na bezrobotnym była, a teraz jest w domu.
– A mój tata postanowił, że będzie pracował jako bankiet. Ale kiedy odkrył moją mamę, to się wypisał z tej pracy. Wtenczas się pobrali, ale niestety, tata je mięso.
Dlaczego niestety?
– Bo mięso daje tłuszcz. Popatrz na mojego tatę, to zaraz ci się rzuci w oczy!
– Mój tata je dużo jaj. Ale w tym roku nie ma szans na ptasią grypę, bo Unia zabroniła.
Co to są kalorie?
– Kalorie zjada mój tata w fotelu. A potem nie może wstać na nogi, więc woła mnie i Renatkę do podnoszenia.
– Jak dziewczyna jest w ciąży, to ma dużo kalorii!
– Ale zawsze jest jedna różnica. Jak zobaczysz, że nie jesz nic tucznego, to oznacza, że jest ciąż!
A co to są kupki smakowe?
– Nie wiem. Ja nigdy nie smakowałam kupki.

Rys. MAREK RACZKOWSKI

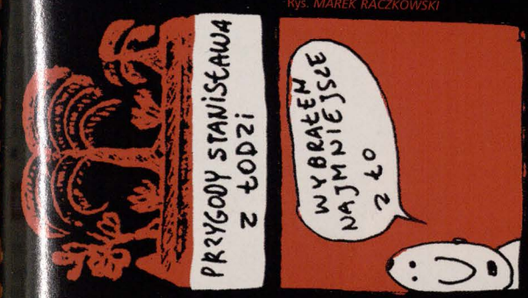

Andrzej Jędrasik

Spotkania...

Spotkały się dwa radyjka:
– Co tak cicho?
– Bateryjka...

Rys. CULLUM/NEW YORKER

– Czy nie przeszkodzi panu, jeśli zaśpiewam?

KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA

Ryś

czyli silnie zmetaforyzowana bajka zwierzęca

Występują:

LICZNE GAGI & ŻARTY – w postaci sfory niezdyscyplinowanych ratlerków
GWIAZDY POLSKIEGO KINA – w postaci stada królików australijskich
STANISŁAW TYM – w postaci dobrodusznego niedźwiedzia grizzly
oraz PUBLICZNOŚĆ

LICZNE GAGI & ŻARTY: *(błyskawicznie rozbiegają się po scenie i zaczynają kąsać kogo popadnie)*
GWIAZDY POLSKIEGO KINA: *(mnożą się w oczach)*
STANISŁAW TYM: *(bezskutecznie próbuje nad wszystkim zapanować)*
PUBLICZNOŚĆ: *(stara się zrozumieć, o co chodzi, ostatecznie jednak baranieje)*

KURTYNA staje na głowie, w związku z czym nie opada.

Z głowy... Krzysztofa Bilicy:

Nawet w Związku Sprzedawców znajdzie się jakiś sprzedawczyk.

Rafał Bryndal

WIADOMOŚCI PO CAŁOŚCI

Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej poinformował, że porywiste wiatry, które w tym roku nawiedzały Polskę, były spowodowane tym, że coraz bardziej rozwiewają się nadzieje na wcześniejsze wybory. Jednocześnie Instytut podał, że ogromny wpływ na warunki pogodowe ma fakt, że wszyscy stąd wieją.

***

LPR ma mieć większy wpływ na telewizję publiczną. Dlatego już dziś planuje szereg nowych pozycji w wiosennej ramówce. Na antenie pojawią się między innymi programy dla młodzieży – „Za mundurkiem panny sznurkiem" oraz „Od przedszkola do doktora" – poradnik dla gimnazjalistek w ciąży.
Władze partii chcą przeforsować jeszcze inne pozycje: w publicystyce politycznej – „Panoromana", a w redakcji rolnej „Liga Polskich Roślin" oraz „Jakie to nasienie?".

Last Minute *Krzysztof Płyta*

Hollywoodzkie echa raportu Macierewicza: Oscara dostały „Infiltracja" oraz „Życie na podsłuchu".

tp
dla biznesu

tata ma pracę,
a ja mam tatę

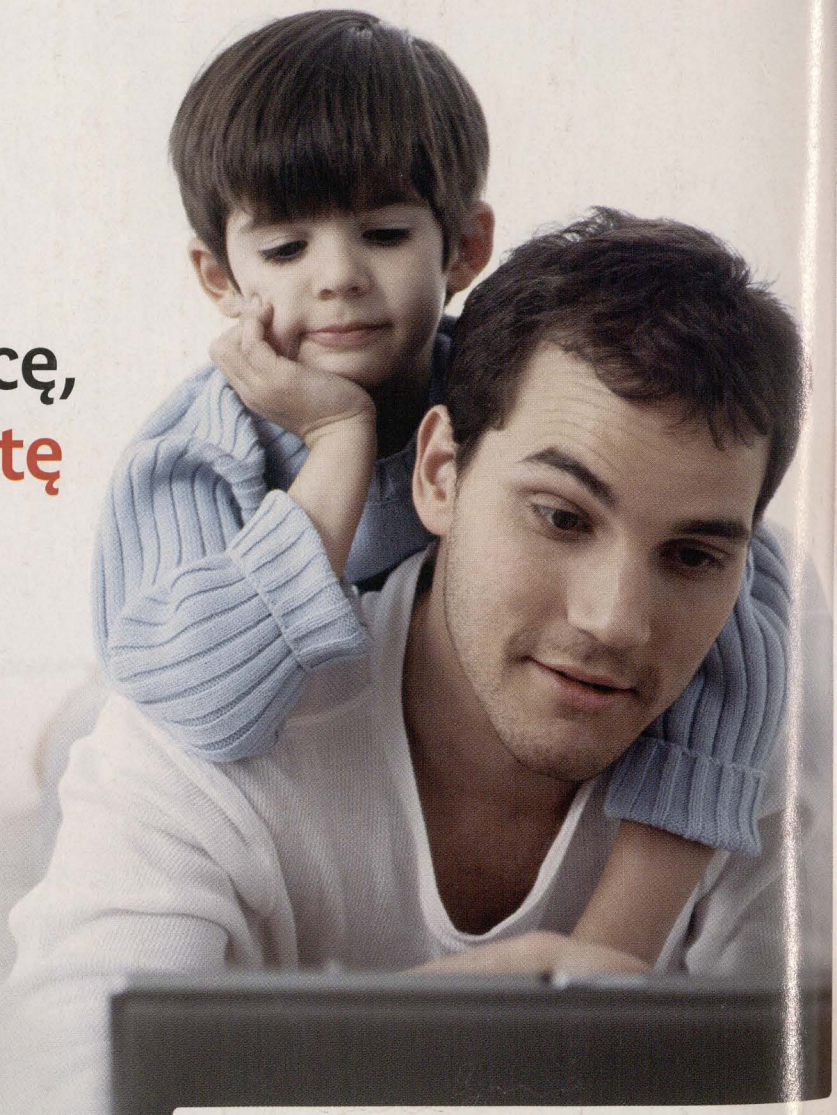

Business
Everywhere
Intranet

Zyskaj bezpieczny dostęp do wszystkich aplikacji firmowych z domu.

Dzięki Business Everywhere Intranet możesz pracować w domu, kiedy tylko zechcesz, tak jakbyś był w biurze.

Żaden dostęp do Internetu nie da Ci takich możliwości.

Nasz wkład w Twój biznes.

www.tp.pl 9330

Twój świat. Cały świat